

Najnowsza powieść autorki bestsellerów „New York Times”

# *Elizabeth Adler*

## *Moje miejsce na ziemi*



# *Adler Elizabeth*

## *Moje miejsce na ziemi*

**Emocjonująca i emocjonalna opowieść o zaczynaniu wszystkiego od nowa, o miłości i nienawiści, o sekretach, jakimi się dzielimy, i o tych, jakie zachowujemy tylko dla siebie**

**Zacząć wszystko od nowa bez pieniędzy, bez męża, za to z piętnastoletnią córką, rozżaloną, że samowolnie kierujesz jej życiem. Niełatwa decyzja. Lecz Caroline ją podejmuje. Woli rozstać się z wygodnym życiem niż znosić dalej kłamstwa i zdrady męża. Prowadzenie pubu w małym angielskim miasteczku pełnym sympatycznych dziwaków okazuje się nie takie złe, zwłaszcza że jest wśród nich pewien interesujący mężczyzna. Tylko Issy wciąż tęskni za ojcem i za przeszłością... Przeszłością, która niespodziewanie daje o sobie znać. Morderstwo popełnione na drugim końcu świata wstrząsa Carolyn i Issy. Czy zniszczy budowane z takim trudem ich nowe życie?**

## CZEŚĆ I

### Rozdział 1

CAROLINE EVANS WYRWAŁA SIĘ NA JEDEN DZIEŃ Z wynajętego londyńskiego mieszkania i w towarzystwie milczącej, nadąsanej piętnastoletniej córki przemierzała zalane deszczem hrabstwo Oxford.

Zwiedziły już Oxford, „miasto rozmarzonych wieżyczek”, w którym było chyba więcej samochodów niż na trasie wylotowej w godzinach szczytu, a wąskie uliczki wypełniały tłumy młodych ludzi - palili, sączyli kawę, wystawali pod pubami. Issy pozostała niewzruszona, za to Caroline się zakochała w zalanych deszczem dziedzińcach, wiekowych budynkach ukrytych za wysokimi ogrodzeniami. Zapewne wiele z nich pamięta jeszcze czasy sprzed panowania Henryka. Henryka VIII, oczywiście. Caroline była przekonana, że nie mógł być zły do szpiku kości, mimo siedmiu żon. Bądź co bądź, jej mąż miał dwie, i to jeszcze przed nią.

„Seryjny mąż”, stwierdziła z powątpiewaniem, gdy James oznajmił, że się z nią ożeni. Co prawda miała ogromną ochotę powiedzieć „tak”, bo naprawdę ją zauroczył, widziała wszystko jak przez mgłę -i to mimo okularów.

Bo James Evans, jeśli tylko chciał - a chciał często - mógł oczarować każdego i każdą. Caroline pamiętała, jak tłumaczyła sobie, że jego dwie poprzednie żony nic nie znaczą; ona będzie ostatnia. Tak jej powiedział, a ona mu uwierzyła. Miała wtedy dwadzieścia dwa lata.

Teraz miała trzydzieści osiem, rozwód za sobą, a u boku nastoletnią córkę Isabel, znaną jako Issy. Issy czasami odzywała się do matki, czasami nie, była podobna do ojca jak dwie krople wody i, jak podejrzewała Caroline, potajemnie paliła. Nie miała natomiast tatuażu, w każdym razie nie w miejscu, do którego docierał matczyzny wzrok.

- Oxford bardzo się zmienił od moich czasów - stwierdziła, gdy ich wiekowy land-rover przebijał się przez zatłoczone miasteczko na autostradę A34, na zachód, w stronę Cheltenham. Nie wiedziała, dokąd teraz pojedą.

- Nic dziwnego. To było dawno temu. - Córka spojrzała na nią z ukosa. - Powinnaś się malować - oceniła. - Szminka i tusz do rzęs.

Caroline westchnęła i przypomniała sobie wcale nie tak dawne czasy, gdy w oczach córki była doskonała. Sięgnęła do torebki po szminkę, a wtedy Issy prychnęła, że nie powinna tego robić podczas jazdy. Chyba już do niczego się nie nadaje, pomyślała.

- Pieprzony deszcz - burknęła Issy, wpatrzona w wycieraczki rozmazujące strugi deszczu na przedniej szybie.

Caroline zerknęła na nią ostro, zobaczyła zjazd do Burford i skrzyła w jedną z piękniejszych szos w Cotswolds. Jak z bajki: po bokach ciągnęły się

małe sklepiki z pamiątkami i pocztówkami, a wśród nich przycupnęły galerie sztuki i antykwariaty, piekarnie i cukiernie, i drzewa, z których gałęzi deszczowe krople spadały na parasole nielicznych śmiałków, brnących przez kałuże w poszukiwaniu schronienia.

Caroline zahamowała gwałtownie, gdy tuż przed nimi auto włączyło się do ruchu.

- O, popatrz, mamy miejsce do parkowania. To zrządzenie losu. Napijmy się herbaty.

Issy westchnęła dramatycznie, teatralnie zwiesiła ramiona, niechętnie wysiadła z samochodu i stała w potokach deszczu, w nowej parce od Marksa i Spencera, jak obraz nędzy i rozpaczy, stwierdziła Caroline z bólem serca. Deszcz spływał po ciemnych włosach, w piwnych oczach malował się smutek. Był w nich, odkąd półtora roku temu wyjechały z Singapuru. Caroline nie miała pojęcia, jak się z nim uporać.

Teraz jednak wzięła ją za rękę i pociągnęła za sobą przez jezdnię do pierwszej z brzegu kafejki. Wbiegły po schodkach, weszły do środka, usiadły przy ostatnim wolnym stoliku, ale nie myślała wtedy o herbacie, którą miała zamówić, tylko o Jamesie. Po raz kolejny zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, odchodząc od niego.

- Mamo, idę rozejrzeć się w sklepiku - oznajmiła Issy, ledwie usiadły.

Kawiarnia mieściła się nad sklepem z biżuterią.

- Jasne. - Caroline odprowadzała ją wzrokiem.

Podano herbatę - na plastikowej tacy z wizerunkami ptaków, występujących w tym regionie. Przyniosła ją dziewczyna zapewne niewiele starsza od jej córki, ale ta przynajmniej uśmiechała się grzecznie,

mówiąc, że ma nadzieję, że będzie jej smakowała herbata earl grey.

Caroline mruknęła, że na pewno, a kelnerka postawiła na stoliku małe porcelanowe filiżanki i wskazała paterę z ciasteczkami - były tam ekierki, tartinki, lukrowane bułeczki. I jeszcze miseczka dżemu truskawkowego oraz śmietanki tak gęstej, że można ją było kroić nożem.

- Super, dziękuję bardzo. - Caroline poczuła, że się uśmiecha. Nalała bladej herbaty do filiżanki w kwiatuszki. Dorastała w Londynie; była Angielką, która wyszła za męża i wyjechała do Singapuru, żeby tam zamieszkać z ukochanym mężem i cudowną małą córeczką, w imponującym apartamencie z widokiem na rzekę i panoramę miasta, mieniącą się milionami świateł.

„To, co najlepsze z obu światów”, powiedział James, gdy oglądali go po raz pierwszy. Byli wtedy świeżo po ślubie; Amerykanin po trzydziestce, zbijający fortunę na inwestycjach i funduszach hedgingowych, tak przystojny i czarujący, że nie musiał mieszkać w wieżowcu, by poczuć się panem świata. I ona, tak oszołomiona miłością i seksem, że o niczym innym nie była w stanie myśleć.

Tak było wtedy. Teraz to angielski deszcz, ciasna kawiarenka i wiecznie milcząca córka, która w końcu wróciła, przeskakując po dwa drewniane stopnie za jednym razem. Usiadła, starannie przekroiła bułeczkę, posmarowała ją dżemem i śmietanką, pochłonęła błyskawicznie i zaczęła pisać esemes.

Caroline nie miała pojęcia, do kogo pisze Isabel, ale z uśmiechem sięgnęła po bułeczkę.

- Pyszna - stwierdziła.

- Mhm. - Choć Issy cały czas pisała esemes, Caroline czuła na sobie jej krytyczne spojrzenie, gdy usiłowała posmarować kremem kruche pieczywo i jednocześnie nie upaprać się dżemem.

- Trzeba przekroić - zauważyła Issy.

- Mówisz jak moja mama - odparła Caroline, a Issy się uśmiechnęła. Po raz pierwszy tego dnia.

- Proszę, to dla ciebie. - Dziewczyna pchnęła w jej stronę małą paczuszkę w różowym papierze.

- Naprawdę? Dla mnie?

- Chyba powiedziałam, nie?!

Issy odwróciła głowę. Chyba się spieszyła, wie, że mówi za głośno i że wszyscy na nią patrzą, pomyślała Caroline.

- Prezent - szepnęła, odwijając różową bibułę. - Dzięki, Issy.

Była to mała broszka, tandetna i tania, a jednak urocza. Musnęła palcem metal. Nieważne, czy to srebro, czy aluminium - dla niej była bezcenna.

- Ptak w locie - powiedziała.

- Jak my. Ptaki w locie, bez własnego gniazda.

- Chodzi ci o to, że nie mamy prawdziwego domu? - Caroline poczuła znajomy już ucisk w sercu. - To się niedługo zmieni, obiecuję.

W jej głosie było więcej pewności siebie niż w duszy. Ich sytuacja finansowa była, delikatnie mówiąc, mało optymistyczna. Caroline wyszła za Jamesa jako młodziutka dziewczyna - nie miała o niczym pojęcia i bez wahania podpisała intercyzę, która oznaczała, że po rozwodzie dostała tylko niewielką sumkę i alimenty na córkę, póki Issy nie skończy osiemnastu lat.

Rozejrzała się po ciasnej herbaciarni, patrzyła na innych gości - byli to zwyczajni ludzie, za ich plecami parowały przemoczone kurtki i płaszcze przeciwdeszczowe - ciepło z kaloryfera sprawiało, że szyby zasnuła mleczna mgła. Ich życie jest poukładane, rozmyślała Caroline, jest w nim pewien wzór, rutyna i zapewne żadnych zmartwień. To widać, gdy tak beztrąsko zajadają bułeczki z dżemem i rozprawiają o deszczu, jak to Anglicy, bo przecież tu zawsze pada.

- Zjedz ostatnią ekierkę z czekoladą - zaproponowała energicznie. Wzięła się w garść. - A potem pojedziemy na wieś, rozejrzemy się po Cotswolds.

Issy westchnęła ze światowym zblazowaniem, które piętnastolatki opanowały do perfekcji.

- Jak chcesz - mruknęła. Caroline wzięła to za zgodę.

## *Rozdział 2*

WRÓCIŁY DO SAMOCHODU. Caroline włączyła ogrzewanie i wycieraczki. Jechały High Street, przejechały wąski kamienny mostek nad rzeką, jak się domyślała, Tamizą, wąską, mętną i bystrą w ten ponury deszczowy dzień.

Issy nawet nie spojrzała w tę stronę. Nie interesowała jej wspólna wyprawa. Nie podobał jej się mały, tani hotelik, w którym Caroline zarezerwowała pokoje, gdy zobaczyła reklamę - był to czarno-biały szkic ślicznego domku z murem pruskim. W rzeczywistości okazało się, że to paskudny, ponury dom,



tak posepny, że chciała uciekać, zanim przekroczyła jego próg. Miał jedną zaletę - był tani.

Klucz wręczyła jej znużona, znudzona kobieta. Caroline minęła ponury salonik, w którym na niby--kominku tlił się gazowy płomyk, i z torbą podróżną w ręku powędrowała krętymi schodami na piętro. Issy szła za nią, taszcząc swój plecak.

- Będzie cudownie - zapewniła Caroline z nadzieją, otwierając drzwi do ich pokoju. Głęboko zaczerpnęła tchu. Dwa wąskie łóżka nakryte zielonymi narzutami i cienkimi kocami, które nie zapewnią ciepła w nocy. Na każdym pościeliu - pojedyncza poduszka w poszewce z zielonego poliestru. Między łóżkami - nocny stolik z plastikowym brązowym blatem i miniaturową nocną lampką. O czytaniu w łóżku nie ma mowy, chyba że będzie trzymała lampkę nad książką. Górne światło było niewiele lepsze - pod sufitem wisiał jeden z tych abażurów, które odsłaniają żarówkę, oślepiając patrzącego. W pokoju panował chłód dawno nieużywanego pomieszczenia.

- O cholera - mruknęła Issy. Nawet nie odstawiła torby.

- Nie będzie tak źle - zaczęła Caroline, choć wiedziała, że będzie tylko gorzej.

- Mamo! - W głosie Issy pojawiły się błagalne nuty. - Wracajmy po prostu do Londynu.

Caroline zwróciła uwagę na to, że nie powiedziała: „Do domu”.

Przez chwilę stały bez ruchu, a Caroline myślała intensywnie. Zapłaciła z góry i tak naprawdę nie było ich stać na szukanie innego noclegu. Poza tym, to Oxford i weekend; pewnie nigdzie nie ma wolnych

miejsc. Kiedy ostatnio tu była - wydawało się, że od tego czasu minęły całe wieki - zatrzymali się w hotelu Randolph, cudownie ciepłym i staroświeckim, z barem i atmosferą nonszalanckiego snobizmu. Powróciły wspomnienia dawnego życia - wiedziała, że o tym samym myślała jej córka. Ten pensjonat to już koniec. W żadnym wypadku tu nie zostaną.

Podniosła swoją torbę, skinęła głową i stwierdziła: - Masz rację. Nie możemy tu zostać. Ale nie możemy też odwrócić się na pięcie i uciec do Londynu. Rozejrzyjmy się po okolicy. Wrócimy później, kiedy nie będzie takich korków.

Issy przerzuciła sobie torbę przez ramię i zawróciła na dół. W ciasnym przedpokoju nikogo nie było. Caroline po prostu położyła klucz na ladzie i wyszła za córką.

I tym sposobem wylądowały w Burford na herbacie, a teraz jechały przez zalane deszczem wioski. Issy z zapaląm pisała esemesy do przyjaciółek w Singapurze, do świata, z którego, jak twierdziła, matka brutalnie ją wyrwała.

Wyrzuty sumienia doskwierały Caroline o wiele bardziej niż chłód w ponurym pokoiku. To wszystko jej wina.

Skreśliła w wąską uliczkę, minęła potężne gmaszysko za ogrodzeniem z kutego żelaza, z kamiennymi lwami na podestach. Przejeżdżały obok pól, na których zboża kładły się pod wpływem wiatru. Minęły łąkę, na której pasły się najbardziej nieszczęśliwe owce, jakie w życiu widziała. Z drugiej strony, nigdy im się tak naprawdę nie przyglądała, więc może owce zawsze wyglądają ponuro, nieważne, suche czy prze-

moczone. Brązowe krowy ze zdumieniem odwracały łby, gdy Caroline tak gwałtownie wcisnęła pedał hamulca, że Issy upuściła iPhone'a - prezent od ojca, z czasów gdy jeszcze uważał ją za swoją córkę.

- Przepraszam - mruknęła Caroline i wysiadła. Patrzyła na tabliczkę „Na sprzedaż” koło starej kamiennej szopy, stojącej tuż nad rzeką.

To nie była miłość od pierwszego wejrzenia.

### *Rozdział 3*

OCH, MAMO! - Caroline rozpoznała ten ton Issy; oznaczał: „Co my tu robimy, do cholery?” No właśnie; gdzie one właściwie są? Na zimnie, wietrze i deszczu, chociaż mogły przecież zostać w Singapurze, z Jamesem, i dalej żyć sobie beztrósco.

Narzuciła na głowę wełnianą chustkę, zdjęła okulary w kocich czerwonych oprawkach. Nie rozstawała się z nimi, bo bez nich nie widziała właściwie nic. Starła ze szkieł krople deszczu. Szczerze mówiąc, nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Zalane deszczem pole z mokrymi owcami i przemarzniętymi krowami to nie to samo co disnejowska wersja sielanki na angielskiej prowincji. A przecież w Singapurze, w ich dawnym życiu, zawsze świeciło słońce. A deszcz? Jeśli już, spadał monsunowym potokiem; potop trwał kilka godzin, a potem wracały błękitne niebo i ciepła bryza, a ulice z rwących strumieni ponownie stawały się ulicami; handlarze kusili złocistymi owocami, ze straganów wabiły lokalne smakołyki; ręcznie robione

makarony, pieczone mięso, chińskie krewetki i ma-lajskie curry. Posiłek na ulicy Singapuru to niezapomniane przeżycie, kulinarna rozkosz niemająca sobie równych. Herbatka z konfiturą w deszczowej kawiarence to kiepska alternatywa.

- Moim zdaniem to urocze miejsce - stwierdziła z całym optymizmem, na jaki było ją stać. Co ona, oszalała? Stara kamienna szopa, która lata świetności dawno miała już za sobą, nad błotnistą rzeką, ocieniona jednym drzewem o brązowych liściach, które starało się złagodzić surowy krajobraz. - I jest na sprzedaż - dodała. - Może powinniśmy rzucić na to okiem.

- Dlaczego?

Córka zadała pytanie, które, co Caroline dobrze wiedziała, sama powinna była sobie zadać. Czasami podobieństwo Issy do ojca zapierało jej dech w piersiach. Te same głęboko osadzone oczy, zmarszczka między brwiami, prosty, niemal agresywny nos. Ale usta miała po matce. Co akurat wcale nie było zaletą; odrobinę za szerokie, zdecydowanie zbyt wrażliwe. Issy nie była klasycznie ładna, w każdym razie jeszcze nie - na razie była ponura, niezdarna, chuda, długowłosa. Być może pewnego dnia stanie się piękną, najpierw jednak musi porzucić wieczne dąsy i rozpacz w ciemnych oczach. Caroline popatrzyła na nią i nagle wpadła na wspaniały pomysł.

Wspaniały? Raczej postradała rozum. Ale zawsze taka była, zawsze działała pod wpływem impulsu, pakowała się we wszystko całym sercem, bez namysłu. Jej życie to seria stereotypów wcielonych w życie. Przecież właśnie dlatego wyszła za mąż.

Złapała Issy za rękę.

- Chodź, rozejrzyjmy się. - Pociągnęła ją za sobą, nie zważając na jej opór, po zarośniętej, dawniej zwirowanej ścieżce, która prowadziła przez pola do szarej kamiennej budowli.

Caroline wiedziała, że w hrabstwie Oxford domy nie są szare; wznoszono je przecież z pięknego, miodowego kamienia z Cotswolds. Podejrzała, że ten tutaj był tak mokry i stary, że dał sobie spokój i poszarzał, ze starości i smutku. Stał na niewielkim wzniesieniu, tuż nad wąską, błotnistą rzeczką, która otaczała go miękkim zakolem. Była to prostokątna bryła, z bliska wydawała się solidniejsza niż z daleka. Deszcz przestał padać, ale szum wody nie ustawał.

Issy została przed budynkiem, nieszczęśliwa i przemoknięta jak owce, a Caroline obesza szarą kamienną szopę - i za rogiem zobaczyła taras otoczony niskim murkiem, który oddzielał brzeg od rzeki. Po prawej stronie rzeczka nabierała tempa, spływała po spiętrzonych kamieniach. Caroline nie wiedziała, czy sprawił to wartki prąd, czy kamienny taras, ale nagle oczyma wyobraźni zobaczyła siebie, jak w pogodny letni wieczór siedzi na kamiennym murku z kieliszkiem wina w dłoni i obserwuje leniwie sunącą rzekę. Ciekawe, pomyślała smętnie, czemu w jej marzeniach zawsze są piękna pogoda i kieliszek wina.

Upomniała się surowo, że pora wracać na ziemię. Ma córkę, którą samotnie wychowuje, nie ma pieniędzy, pracy ani męża. Przygnębienie ciążyło jej kamieniem, jak zawsze, ilekroć uświadamiała sobie, że nie jest już zabawną beztroską dziewczyną, która poznała mężczyznę swoich marzeń. Ani żoną

i panią pięknego domu w Singapurze dysponującą mnóstwem wolnego czasu.

Już dawno przestała przeklinać przy córce (choć kilkakrotnie słyszała, jak Issy rzuca soczystą wiązkę przez telefon, gdy myślała, że matka nie słucha; nie wie, że matki zawsze podsłuchują? Inaczej przecież o niczym się nie dowiedzą, bo córki niczego im nie mówią). Stwierdziła więc tylko:

- Masz rację, skarbie, to nie dla nas. Może pojedziemy do Francji, zamieszkamy niedaleko dziadków.

Rodzice Caroline sprzedali swój dom w Londynie - na krótko przed tym, jak jej córce mógł się bardzo przydać. Darmowe mieszkanie w Londynie byłoby idealne. A może jednak nie? Issy, włócząca się po Londynie, jak teraz? Ucząca się w miejskiej szkole? Wśród najróżniejszych dzieciaków? Caroline z westchnieniem pomyślała, o ileż łatwiejsze jest życie, gdy jest się młodym, samotnym i podejmuje się decyzje, kierując się wyłącznie własnymi potrzebami i zachciankami.

- Popatrz, mamó.

Caroline tęsknie patrzyła na rzekę, Issy tymczasem zatrzymała się przy szopie. Masywne drewniane wrota, szare jak przemoknięte owce, zamknięto na przerdzewiałą zasuwę. Nie o to jej jednak chodziło. Nad drzwiami wisiał szyld, i choć nie oszczędzały go wiatry ani deszcze, nadal dawało się odczytać napis: „Bar, grill i tańce”.

Tańce? Tutaj? Zakręciło jej się w głowie.

- Jak myślisz, mamó, kto tu przychodził? - zapytała Issy, nagle zainteresowana. - No bo wiesz, tu nic nie ma. Nic a nic.

- To fakt. - Caroline musnęła dłonią deski, które, była tego pewna, tkwiły tu od lat. Wielu lat, które upłynęły, od kiedy to miejsce widziało bar, grill i tańce.

- Miejscowi - mruknęła. - Może też przybysze z Oxfordu, no wiesz, studenci.

- I co? Jechali pod wpływem alkoholu? - Issy skrzywiła się z niesmakiem.

Issy pogratulowała sobie w duchu córki - dobrze, że ma trochę zdrowego rozsądku.

- Pewnie pili tylko colę - podsunęła. - Ale popatrz na te drzwi. Jak myślisz, ile mogą mieć lat?

- Za dużo - ucięła Issy i odwróciła się powoli.

Caroline wiedziała, że wspomina dom w Singapurze, pełen światła i lekkości współczesnej architektury; chłodne marmurowe posadzki i drewniane drzwi, które nigdy nie skrzypiały, w przeciwieństwie do tych tutaj, była tego pewna.

- Tacie by się tu nie spodobało - orzekła Issy niechętnie, a Caroline serce ścisnęło się z bólu. Od rozvodu minął rok, półtora, odkąd wyjechały. Od czasu do czasu James pisał do córki esemesy, ale nigdy nie dzwonił. Caroline podejrzewała, że boi się jej uczuć. A może swoich?

Jak wiele kobiet przed nią, została z nim, nawet gdy wiedziała, że ich małżeństwo to fikcja - ze względu na córkę. Zadawała sobie pytanie: co będzie, jeśli James ponownie się ożeni? Jeśli będzie miał inne dzieci? Jeśli wykreśli Issy ze swojego życia? Jak mogłaby zrobić to córce? Tylko dlatego, że to ona, Caroline, popełniła błąd i wyszła za niewłaściwego mężczyznę?

Zresztą rozstanie oznaczało także rezygnację -z miłości, domu, poczucia bezpieczeństwa. Oznaczało odpowiedzialność. Samotność.

O romansie męża dowiedziała się jak wiele innych żon - widziała rachunki z hoteli, w których Jamesa nie powinno być, słyszała dziwne rozmowy telefoniczne, znalazła rachunek za drogie kolczyki. A do tego - zbyt częste noce poza domem. Aż w końcu uniosła się dumą, zabrała córkę i odeszła. Co jednak nie oznaczało, że przestała kochać Jamesa. Nadal był jej bliski. Pewnie zawsze będzie.

Pierwsza fala adrenaliny pozwoliła jej przetrwać pierwsze dni, pierwsze tygodnie. Potem, gdy uniesienie opadło i życie mniej więcej wróciło do normy, musiała w końcu przyjąć do wiadomości strach, który jak kamień ciążył jej w żołądku. Odpowiedzialność to wielkie słowo - i teraz w pełni spoczywa na niej. James powinien płacić alimenty i chesne, rachunki medyczne i tak dalej. Czasami płacił, czasami nie.

Najpierw zamieszkały u jej rodziców w Chelsea, ale starsi państwo wkrótce sprzedali dom i przenieśli się do Francji. Potem Caroline wynajęła ciasne mieszkanko i posłała Issy do miejscowej szkoły, za którą płacił jej ojciec, póki wyrok sądowy nie zmusił Jamesa do sięgnięcia do portfela - miał łożyć na wykształcenie córki i wypłacić Caroline sumę - bardzo niewielką, biorąc pod uwagę szesnaście lat małżeństwa - ustaloną w intercyzie. Była idiotką, że to podpisała, ale skąd mogła wiedzieć? Była wtedy zakochana po uszy i nic innego jej nie obchodziło.



A teraz we dwie są tutaj - uciekły z ciasnego wynajmowanego londyńskiego mieszkanca na weekend za miastem i wylądowały przy na wpół rozwalonej kamiennej ruderze z szyldem „Bar, grill i tańce” nad drzwiami, które miały co najmniej dwieście lat, z widokiem na pastwiska owiec i krów, z zarośniętym, błotnistym podjazdem. I nagle zaczęła całkiem poważnie zastanawiać się, czy tego nie kupić. Chyba podziałała na nią wizja tańczących, może także fakt, że córka tak bardzo potrzebuje prawdziwego domu. A poza tym wiedziała, że posiadłość musi być tania -w takim stanie, na takim pustkowiu? A one tak bardzo potrzebują dachu nad głową.

- Wiem, że to szaleństwo - stwierdziła, zamykając zimną dłoń Issy w swoich. - Ale mi się tu naprawdę podoba.

- Och, mamó! - Issy mówiła zupełnie jak ona i Caroline się roześmiała.

Issy powtórzyła:

- Och, mamó! -1 wyrwała rękę. - Nie ruszaj się -powiedziała cicho. - Nie odzywaj się. Bądź cichutko.

Caroline obserwowała córkę zza kocich czerwonych oprawek. Patrzyła, jak Issy skrada się tak cicho, jak to możliwe w zielonych kaloszach, które mlaskały głośno przy każdym kroku. Jak klęka w mokrej trawie. Jak wyciąga rękę i dotyka czegoś, co się nie rusza.

- Och, mamó! - tym razem jęknęła stłumionym głosem i Caroline błyskawicznie do niej podbiegła.

Issy podniosła ciemny kłębek sierści i wyciągnęła w stronę Caroline kociaka, tak mokrego, jakby zaliczył kąpiel w rzece.

- Och, mamó - jęknęła przez łzy, z błaganiem w oczach. Tuliła małego kotka do piersi. - Możemy go zatrzymać?

Caroline nie miała wyjścia, musiała się zgodzić. Teraz przynajmniej Issy ma kogoś do kochania.

Tym sposobem dołączyła do nich Ślepa Brenda, kociak, którego jasnoblękitne oczka nie widziały nic a nic, choć o tym oczywiście Caroline dowiedziała się dużo później, po astronomicznych rachunkach od weterynarza.

## *Rozdział 4*

Po POŁUDNIU, o SIEDEMNASTEJ, TEGO samego dnia, weszły do pubu Pod Gwiazdym Pługiem w miejscowości Upper Amberley. Na ogromnym kominku buzował ogień, na ścianach wisiały zaaranżowane w jakiś dziwny, niepojęty sposób, meksykańskie sombrera. Przytulna, domowa atmosfera nie wpuszczała do środka wieczornego chłodu. Caroline i Issy zatrzymały się w progu, czując, jak zalewają deszczem świeżo umytą kamienną posadzkę. Wyglądały tak żałośnie, że sympatyczna kobieta stojąca za barem od razu się nad nimi ulitowała.

- Witajcie, *amigas!* - zawołała. - Wchodźcie, wchodźcie, mamy wolny stolik przy kominku, a trochę ciepelka chyba dobrze wam zrobi. A jeśli macie apetyt, ugotowałam rosół z tortillą. Zaraz was rozgrzeje.

Issy spojrzała w jej ciepłe oczy i wyciągnęła ręce z kłębkim futerka.

Kobiecie wystarczyło jedno spojrzenie.

- A to biedne, mokre maleństwo pewnie jeszcze bardziej potrzebuje ciepła i jedzenia niż wy. Już wiem, zagrzeję odrobinę mleka i zawołam córkę, żeby ci pomogła. Weźmiecie kociaka na zaplecze i spróbujecie go napoić. - Chciała pogłaskać maleństwo, ale zwierzak nawet nie uniósł łebka.

Issy i Caroline czekały, a nieznajoma wyjęła komórkę z kieszeni i szybko wybrała numer.

- Sammy - odezwała się. - Jest u mnie miła dziewczyna z bardzo zabiedzonym kociakiem. W kuchni, w szufladzie jest strzykawka, ta, którą dał nam weterynarz, gdy młody szpak wypadł z gniazda. Jest czysta, więc teraz możemy nakarmić nią to biedactwo.

Rozłączyła się, błysnęła zębami w uśmiechu, sięgnęła po koszyczek na pieczywo, wyciągnęła go czystą lnianą serwetką, którą zazwyczaj przykrywa się chleb. Posłanie dla niemal martwego maleństwa.

- Zdejmijcie te mokre płaszcze - zaproponowała. - A tobie, moja droga - orzekła, patrząc na Caroline - dobrze zrobi kieliszek wina. Wiem, wiem, jesteś samochodem, ale tylko jedna lampka, do ciepłego posiłku. Za kilka godzin nie będzie śladu po alkoholu. Potraktuj to jak lekarstwo.

Nigdy dotąd lecznicze zastosowanie wina nie wydało się Caroline równie kuszące, jak w tej chwili.

- Dziękuję - powiedziała cicho. Wchodząc do wiejskiego pubu, spodziewała się obojętności, z jaką wita się obcych i turystów, a tymczasem powitano je jak członków rodziny.

Po chwili zjawiała się Sammy, niska i pulchna jak matka, ale jasnowłosa i niebieskooka.

- To dziedzictwo azteckich przodków - oznajmiła matka dumnie, widząc ich zdumione spojrzenia. -Bo pochodzimy z Meksyku.

Dziewczynka kucnęła, spojrzała na kociątko, podniosła koszyk i razem z Issy pobiegły do kuchni.

- Operacja „ratujemy kociaka” - mruknęła kobieta. - Jeśli miłość sprawia cuda, kocię przeżyje.

Caroline nie miała pojęcia, co miała na myśli, ale w głębi serca wiedziała, o co jej chodzi - że miłość sprawia najróżniejsze cuda. Kiedyś sama w to wierzyła. Dawno temu.

I nagle zaczęła płakać. Czasami, choćby nie wiadomo jak starała się udawać, że wszystko jest w porządku, ze względu na Issy, coś w niej pękało i jej przerażenie i słabość wychodziły na światło dzienne. Nie chciała tego, a jeśli już, tylko w nocy, gdy kulila się sama w łóżku, nigdy przy córce, i nigdy, przenigdy publicznie.

Kobieta przyniosła butelkę brandy, ale Caroline podziękowała, mówiąc, że nie może pić, tłumaczyła się, że jej głupio tak płakać przy nieznajomych, i to właściwie bez powodu. A może tak naprawdę miała tych powodów aż nadto i wszystkie zebrały się jednocześnie. Samotność. Brak pieniędzy. Nadmiar odpowiedzialności. Wyrzuty sumienia.

Kobieta i tak postawiła butelkę na stole i krzyknęła do męża, żeby stanął za barem. Dorzuciła drew do kominka, wsunęła je na miejsce pogrzebaczem, a potem usiadła naprzeciwko Caroline.

- Dokąd jedzicie? - zapytała spokojnie; najwyraźniej nie chciała zwracać na nich uwagi trojga pozostałych gości, z których dwoje i tak bez reszty

pochłaniała partyjka domina. Trzeciego zaś interesował jedynie jego border collie, który leżał u jego stóp z wywieszonym językiem. Zapewne czekał na smakołyk - kawałek szynki albo kiełbasy.

- Domyślam się, że nie chodzi tylko o kocię -zaczęła. - Moja córka jest w tym samym wieku co twoja, więc wiem, przez co przechodzisz. I powiem ci co odkryłam, *amiga*. Póki nie zacznie się szkoła, dziecko jest twoje, tylko twoje. Kocha tylko ciebie. Potrzebuje tylko ciebie. Ty jesteś całym jego światem. A potem, ot tak - pstryknęła palcami - nagle odkrywa innych ludzi, inne wzory do naśladowania, innych przyjaciół. Wychowanie dziecka to praca na pełen etat i niektóre kobiety w ogóle się do tego nie nadają. Ale powiedz mi, kto właściwie ma wiedzieć, jak to zrobić? To tylko instynkt. I co, mam to sobie

wpisać w CV?

I nagle, mimo fatalnego nastroju, Caroline poczuła, że się uśmiecha.

- Fakt - przyznała. - Kiedy dziecko idzie do szkoły, władza matki się kończy. A kiedy twoja córka staje się nastolatką, to już koniec.

Kobieta uśmiechnęła się ciepło, poklepała dłoń Caroline, kazała jej napić się brandy i zapytała, czy ma ochotę na rosół z tortillą. Caroline pokręciła głową.

- Dzięki, ale czeka mnie jeszcze jazda samochodem.

- Dokąd? To znaczy dokąd się tak spieszycie? Caroline zamyśliła się nad jej słowami i poczucie

beznadziei wróciło z pełną siłą. No właśnie, dokąd? Jakie to ma znaczenie? Przecież nie do Londynu,

nie w taką pogodę. Więc do kolejnego taniego hoteliku w Oxfordzie, do pokoju z podwójnym łóżkiem i telewizją, której nie chce oglądać w towarzystwie córki, zachowującej się, jakby wolała być gdziekolwiek, byle nie z nią. Musnęła palcem srebrną broszkę - niespodziankę od córki. No, może jednak czasami Issy chce z nią przebywać.

- Mamy tu niedrogie pokoje do wynajęcia - usłyszała. - Będzie wam ciepło i wygodnie, i nie będziesz musiała prowadzić. Co ty na to?

Caroline poczuła, jak kamień spada jej z serca.

- Dobrze - zgodziła się i upiła spory haust brandy, krztusząc się, gdy mocny alkohol palił ją w gardło. Border collie szczeknął niespokojnie i troje pozostałych gości zerknęło w jej stronę, ale zdążyła już otrzeć łzy.

Kobieta wyciągnęła rękę i przybiła z Caroline piątkę.

- Idę po zupę - powiedziała. - A potem zobaczymy, co z kociakiem.

Caroline odprowadzała ją wzrokiem.

- Jak ci na imię?

- Maggie.

- Caroline.

Przyglądały się sobie przez chwilę. Caroline przerwała ciszę.

- Nie chodzi tylko o moją córkę - wyznała. -Również o byłego męża.

- Wiedziałam - mruknęła Maggie.

## Rozdział 5

MAGGIE GONZALEZ PROWADZIŁA PUB Pod Gwiezdnym Pługiem od szesnastu lat. Był to stary, niski budynek, o ścianach z pruskiego muru, pożółkłych od upływu lat, i kamiennej posadzce, z kominkiem tak wielkim, że można by w nim upiec wołu albo uwarzyć kocioł bigosu. W pubie był nowiutki kontuar z mosiężnymi kurkami, z których lało się piwo, i sala główna, nazywana po prostu salą, a także drugie, mniejsze pomieszczenie, czyli norka, którą upodobali sobie miejscowi i samotne starsze panie, zwłaszcza gdy w sali tłoczyli się młodzi ludzie z Oxfordu i głośno grała muzyka. Błyszczące szklanki odbijały się w lustrach za barem, a powietrze zawsze przesycił zapach świeżutkich tortilli.

Maggie naprawdę miała na imię Mercedes, ale wywoływało to sporo zamieszania wśród miejscowych i skutkowało serią dowcipów „samochodowych”, więc w końcu skróciła imię do Maggie.

Z jej mężem nie poszło tak łatwo - miał na imię Jesus i oprócz pracy barmana był też, w razie potrzeby, miejscowym złotą rączką i budowlańcem. Kłopoty zaczynały się, gdy okoliczni mieszkańcy sprawdzali pocztę głosową i słyszeli, że „dzwonił Jesus”; niejeden starszy mieszkaniec przeżył wtedy niemały szok.

- Nieco za wcześnie, moja droga - oznajmiła Veronica Partridge, która miała co najmniej siedemdziesiąt pięć lat. Starannie zapinała sweter aż pod szyję. - Jeszcze nie czas, żeby Jezus do mnie dzwonił.

Biedna Maggie musiała po raz kolejny tłumaczyć, że to kwestia jakości nagrania, bo imię jej męża wymawia się „Hesus”.

Ich córka, Samantha, była niemal w tym samym wieku co Issy i jakimś trafem jej imię także skrócono.

Maggie zaprowadziła Caroline do kuchni na zapleczu, posadziła ją za stołem nad talerzem zupy i opowiedziała, jakim cudem ona i mąż stali się właścicielami pubu. Była to długa, skomplikowana historia, która zaczynała się nad Zatoką Meksykańską, gdzie Maggie, wówczas uboga miejscowa dziewczyna, pracowała w zajeździe jako pokojówka.

Jesus był rybakim, znał się na łodziach, wychował na morzu. I właśnie dlatego pewnego dnia zaproponowano mu pracę na jachcie, który miał popłynąć za morze, do Monte Carlo na południu Francji.

Wyładowali i pobrali się w deszczowej Anglii. Znaleźli pracę w pubie w Surrey, potem zaproponowano im prowadzenie pubu Pod Gwiazdym Pługiem w małej wiosce w Cotswolds, za rzeką, koło Burford. Tym sposobem znaleźli się tutaj. I zostali, gdy urodziła się Samantha. Podawali miejscowe specjały i tacos z kurczakiem.

- Mamy tu dom i przyjaciół - zakończyła Maggie.

Caroline zdawała sobie sprawę, że zazdrość to niskie, podłe uczucie, zdaje się nawet, że to jeden z siedmiu grzechów głównych, ale oddałaby wszystko, by jej życie wyglądało podobnie. Maggie zaznała biedy, ale ciężko pracowała i cały czas miała męża u boku.



- A czy ja też mogę zostać waszą przyjaciółką? zapytała.
- Przecież już jesteś - odparła Maggie.

## *Rozdział 6*

TEGO SAMEGO WIECZORU, DUŻO później, Issy leżała w łóżku, w przytulnym pokoiku nad pubem. Ukośny sufit opadał do okienka, umieszczonego nad podłogą. Białe ściany poprzecinane były czarnymi belkami, które stykały się nad łóżkami. Niebiesko-białe narzuty w kwiaty dobrano do zasłonek w oknie i dywanika na podłodze. Przy oknie stała malutka biała toaletka, między łóżkami biały stoliczek, a na nim lampa z różowym abażurem. W pokoju było dwoje drzwi - jedne prowadziły na korytarz, drugie do saloniku, w którym królowały niebieska aksamitna kanapa i przepastny, miękki fotel. Mama spała w identycznym pokoju po drugiej stronie saloniku. Sam poszła do siebie, na końcu korytarza, a kociak leżał w koszyku koło łóżka Issy, która rozmyślała o swoim życiu.

Miała przeczucie, że dzisiaj zmieniło się po raz kolejny, a stało się to, gdy razem z mamą wysiadły z samochodu i oglądały rudere z szyldem „Bar, grill i tańce”. Tańce przesądziły sprawę. Za żadne skarby świata nie mogła sobie wyobrazić, by ktoś mógł tam tańczyć. Nawet duchy, a założy się o każdą sumę, że tam są duchy. W takich domach zawsze straszy.

Kiedy mama powiedziała, że jej się tam podoba, było jasne, że zupełnie oszalała. Litości, od dawna

zachowywała się dziwnie: tak po prostu odeszła od ojca, wyrwała córkę z domu i znanego świata, wyróciła jej życie do góry nogami. (A przecież piętnaście... no, dobra, wtedy miała czternaście lat - to kawał czasu, do cholery).

To małe słówko, „cholera”, okazało się bardzo przydatne, bo nie musiała mówić „pieprzony”, co z kolei budziło w niej niepokój, bo wiedziała, co oznacza, ale tylko w teorii, a nie w praktyce, czaisz. Lubiła to powiedzonko: „czaisz”, takie slangowe, niepoprawne. Ilekroć go używała, miała wrażenie, że staje się częścią większej całości, że jest jedną z masy raperów, a nie porzuconą, bezdomną osobą. Nie myślała o sobie jak o dziecku. W dzisiejszych czasach piętnastolatka to nie dziecko. Dziecko ma pięć, sześć lat i wierzy, że świat zawsze będzie piękny, że wszystko ma swoje miejsce: mama, tata, dom. A to nieprawda. W pewnej chwili ziemia usuwa ci się spod nóg i możesz runąć w przepaść. Albo poszybować w przestworza. Chyba. Nie wiedziała, bo nie знаła innych osób w jej sytuacji.

W jej sytuacji. Bardzo dorosłe stwierdzenie. Słyszała, jak tata mówił podobnie, przez telefon, w gabinecie, prowadząc jedną z niezliczonych rozmów, pewnie w interesach.

Jej ojciec, James Evans, był naprawdę przystojny. Nie tak, jak jakiś gwiazdor czy celebryta; emanował męskością, taki wysoki, ciemnowłosy i śniady, z kwadratową szczęką i aurą władzy. Zawsze nosił świetnie skrojone garnitury, szyte na miarę w Hongkongu. I koszule z monogramem, JE, na spinkach. Jego jedwabne krawaty były zawsze doskonale do-

brane. Kiedy była malutka, przesiadywała w jego szafie, rozkoszując się ich pięknymi kolorami i cudowną miękkością. Żałowała wtedy, że nie jest chłopcem, bo mogłaby sobie pożyczać jego krawaty. Mogłaby być taka jak on.

Niezliczone mnóstwo razy zadawała sobie pytanie, czy zrezygnowałby z niej tak łatwo, gdyby była chłopcem. Tak po prostu. Spakowała małą walizkę i odeszła, bo mama ciągnęła ją za sobą jak statek kotwicę, żeby nie uciekła. Mama powiedziała, że skoro ona odchodzi, to Issy razem z nią.

I odeszły po wielkiej awanturze. Mama co prawda nie mogła dramatycznie trzasnąć drzwiami, bo mieszkali w apartamencie z osobną windą, więc stały i czekały, aż przyjedzie, a czas ciągnął się niemiłosiernie, zanim w końcu drzwi rozsunęły się bezgłośnie, jak zawsze, a potem zamknęły i zasłoniły ojca, który stał wpatrzony w nie, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Do ostatniej chwili patrzył.

Issy wierzyła, że to dlatego, że chciał zapamiętać jej twarz, jej nieszczęśliwą, wykrzywioną płaczem twarz, żeby odnaleźć ją, gdziekolwiek będzie. Tam, dokąd zabierze ją mama. A zabrała ją, jak się okazało, do hotelu Peninsula w Hongkongu.

Caroline powiedziała, że za żadne skarby nie pójda do hotelu Raffles w Singapurze, bo właśnie tam poznała Jamesa. Issy znała tę historię, a raczej obie jej wersje, bo wiele razy prosiła, by ją opowiadali. Uważała, że jest romantyczna i cudowna, i w przyszłości, gdy dorośnie, chciała poznać mężczyznę takiego, jak jej ojciec. Teraz oczywiście zmieniła zdanie.

On też, i to pierwszy. Nie przyszedł po nią. Nie szukał jej, nie walczył. Nie zjawił się nawet w sądzie.

Matka może mieć pełne prawo opieki, poinformował przez prawników. Tak będzie najlepiej. Dziecko powinno być z matką.

Co on sobie myślał, do cholery? Issy już od roku zasypiała, szlochając w poduszkę. No, od kilku miesięcy już nie. W pewnym momencie powiedziała sobie, że to pieprzy. O cholera, znowu użyła tego słowa, chociaż obiecała sobie, że nie będzie tego robić.

Przypomniała sobie niezliczone godziny spędzone przed lustrem w łazience, gdy wpatrywała się w swoje odbicie i usiłowała zrozumieć, co z nią nie tak, skoro rodzony ojciec nie chce jej więcej znać. Lewy profil, prawy, twarz z półprofilu, en face; czyżby miała za duży nos? A może za szeroki? I te usta; duże, ale w niczym nie przypominają pełnych warg gwiazd filmowych. I do tego jeszcze wypukłe czoło, krzywa linia włosów i nudne brązowe oczy. Słyszał ktoś o dziewczynie o ciemnych włosach i oczach, za to z jasnymi rzęsami? Nie? No proszę.

Ojciec już nie dzwonił. Czasami tylko pisał zdawkowe wiadomości: ma nadzieję, że się dobrze uczy, wysyła jej kaszmirowy sweterek, prosi o nowe zdjęcie, żeby nie zapomniał, jak wygląda. Ale zdjęcie chyba nie pomogło.

Za to sweterek był fajny. Nie włożyła go ani razu, przechowywała go w bibułce, w starej torbie z Hello Kitty, którą ojciec przed laty przywiózł jej z Japonii. I jeszcze ich wspólne zdjęcie. Mamy na nim nie było - pewnie to ona je zrobiła. Idą wiejską drogą, trzy-

mając się za ręce. Nie pamiętała, gdzie je zrobiono, ale pamiętała silny dotyk ojcowskiej dłoni i szczęśliwą beztroskę tamtej chwili. Myślała, że tak będzie już zawsze. Że nigdy nie wypuści jej dłoni.

Tak bardzo go kochała. Wtedy... i teraz.

Opowieści rodziców o tym, jak się poznali, nieco się różniły.

James twierdził, że wszedł do baru w singapurskim hotelu Raffles i od razu zwrócił uwagę na wysoką, ciemnowłosą, długonogą dziewczynę przy barze, która popijała mojito przez słomkę, różową, w odcieniu identycznym z jej szminką. Śliczna, opowiadał, od razu go zaintrygowała i poszukał jej wzroku. W miarę możliwości, bo zauważył, że nosiła okulary.

Miała też na sobie króciutką spódnicę i eksponowała nogi.

„Miała takie śliczne kolana, że od razu chciałem je całować”, wspominał. (Całować? Kolana? Faj! Pamiętała, że tak wtedy pomyślała). Zamiast tego zapytał ją, jak się nazywa i skąd pochodzi.

Przyjechała z Londynu, a nazywała się Caroline Muggins, Huggins czy jakoś tak. Ilekroć o tym mówił, zaznaczał, że wydawało mu się, że wypija o jedno mojito za dużo, ale potem uśmiechnęła się do niego i powiedziała, że za niego wyjdzie.

- Dlaczego? - zapytał. Dlatego że obiecała sobie, że wyjdzie za trzeciego mężczyznę, który tego dnia wejdzie do baru? A może bała się staropanieństwa? A może zwyczajnie jej się spodobał?

Zresztą on miał już za sobą małżeństwo.

- I to dwukrotnie - uprzedził.

- Hm. - W zadumie upiła łyk mojito przez różową słomkę. - Seryjny mąż. Ale jeśli za pana wyjdę, będę ostatnią żoną.

- Zauważ - zaznaczał James, ilekroć opowiadał córce tę historię, a Issy słuchała z przejęciem, skulona pod kołdrą - że to twoja mama poprosiła mnie

o rękę, a nie ja ją.

Mama nie chciała podpisać intercyzy. Issy pytała, czy to ważne, a tata odpowiadał, że wtedy wydawało się nie mieć znaczenia.

Oczywiście teraz wiedziała już, co to intercyza i co oznaczała - że mama nie ma pieniędzy.

W każdym razie wersja mamy była nieco inna: siedziała sama w barze w hotelu Raffles.

- Sącyłam mojito - opowiadała. - Po raz pierwszy w życiu. Kiedy miałam osiemnaście lat, wolałam dżin z tonikiem.

- Nie mogłaś pić, kiedy miałaś osiemnaście lat! -oburzała się Issy. - Musiałaś mieć co najmniej dwadzieścia jeden!

- No tak, oczywiście. - Mama głęboko zaczerpnęła tchu. - Oczywiście, miałam już wtedy dwadzieścia jeden lat. No więc sącyłam to cholerne mojito... oj, przepraszam, nie powinnam się tak wyrażać. Po prostu już nigdy więcej nie wezmę mojito do ust.

Issy sądziła wtedy, że pewnie dlatego, że jest bardzo niedobre.

A mama opowiadała:

- Miałam na sobie czarną wąską spódnicę, skromnie zasłaniającą kolana...

- Tata mówił, że odsłaniałaś uda.

Caroline zamknęła oczy, pogrążona we wspomnieniach.

Uśmiechnęła się; był to właściwie ledwie zauważalny grymas.

- No, może i tak - przyznała. - Do tego miałam czarną bluzeczkę z Zary, ze śliskiej dzianiny. Ciągłe zsuwała mi się z ramienia i odsłaniała różowe ramiączko od stanika. Jak można włożyć różowy stanik pod seksowną bluzeczkę?

Issy nie miała pojęcia, ale i tak słuchała zafascynowana. Matka jest taka piękna, że mogłaby wystąpić w samym szlafroku, a i tak wyglądałaby zjawiskowo: wysoka, szczupła, o wydatnych piersiach, z niesforną ciemną grzywką, która opadała na zielone oczy i zaczepiała się o czerwone ramki kocich okularów. Do tego wystające kości policzkowe i pełne, różowe usta, które zaraz pocałują ją na dobranoc. I smukłe dłonie, zawsze splecione, ilekroć opowiadała tę historię. „Złożone w małdrzyk”, jak mawiała mama.

W każdym razie historia płynęła dalej.

- Siedziałam tam, przycupnęłam na wysokim barowym stołku, nieprzyzwoicie odsłoniłam udo, i wtedy wszedł ten facet. Zatrzymał się kilka kroków ode mnie i zamówił mojito, zupełnie jak ja. Spojrzał na mnie - wspominała Caroline z uśmiechem. - Nasze spojrzenia spotkały się i pomyślałam: O Boże, jaki on jest przystojny, jaki... No a potem - szybko zmieniała temat. - Potem zapytał, czy może się do mnie dosiąść. „Oczywiście pod warunkiem, że jest pani sama”. A ja byłam, Issy, byłam w Singapurze samiutka jak palec. Akurat skończyłam dwuletnią szkołę gastronomiczną i uciekałam przed chłopakiem, który moim zdaniem nie był dość światowy.

Wybierałam się do Hongkongu, żeby się zatrudnić w jakiejś nudnej restauracji, ale widzisz, nawet tam nie dotarłam, bo twój ojciec powiedział, już wtedy, „Ożenię się z panią, chociaż nie wiem nawet, jak pani na imię”.

Więc powiedziałam mu, jak mi na imię. I nagle, ani się obejrzałam, nie byłam już Caroline Meriton, tylko Caroline Evans.

- Było wspaniale? - Mała Issy zawsze zadawała to samo pytanie, ssąc kciuk, w półśnie. Wiedziała, co będzie dalej. Mama otuli ją kołdrą, zgasi nocną lampkę, pocałuje ją i powie:

- Tak, kochanie, było tak cudownie, że nigdy tego nie zapomnę.

Oczywiście teraz wiedziała, co mama miała na myśli. Seks. Wtedy była za mała, by mieć pojęcie, czym jest pociąg seksualny. Teraz też nie do końca wiedziała, co to jest, wiedziała tylko, że ma to coś wspólnego z pieprzeniem.

Podejrzewała, że jest trochę opóźniona w rozwoju, bo na razie wcale nie chciała tego wiedzieć. Wolałaby, żeby mężczyźni byli słodcy, mili, nosili eleganckie garnitury i mokasyny, pachnieli wodą kolońską, jak jej ojciec. Szczerze mówiąc, była śmiertelnie przerażona na samą myśl, że mężczyzna rozbiera się i pokazuje nagi. Niby kto chciałby coś takiego oglądać?

Teoretycznie wiedziała już wszystko. Wysłuchali pogadanki w klasie, obejrzeliby demonstrację z ogórkami i prezerwatywami, wysłuchali wykładu, jak to się robi; dziewczynki chichotały i zaklinały się, że nigdy, za żadne skarby, inne prychały i mruczały pod nosem: „Ta, jasne...”.



A potem przyszło trzęsienie ziemi, rozpacz mamy, coraz częstsze, coraz dłuższe nieobecności taty, a potem ich wyjazd, tak po prostu, bez względu na to, jak to odbije się na niej. Nie zdążyła się nawet pożegnać z przyjaciółkami, ze szkołą, z drużyną pływacką, z koleżankami. To wszystko się skończyło. I teraz nie wiedziała, co robić. Co gorsza, mama też nie.

A teraz wylądowały tutaj, w wynajętym pokoiku nad pubem w Cotswolds. Deszcz nadal bębnił w okna, kociak niespokojnie wiercił się w koszyku.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała niechlujny kłębek szarej sierści. Mleko nadal było ciepłe; wsunęła końcówkę strzykawki do małego pyszczka, nacisnęła tłok. Kociak zaczął ssać. A więc jednak chciał żyć.

Issy, która prawie nigdy nie płakała - sama się tego nauczyła - nagle zaczęła szlochać.

## *Rozdział 7*

CAROLINE, W POKOJU OBOK, TEŻ NIE SPAŁA. Myślami, jak zawsze, wróciła do Jamesa, do tego, co się stało. Pamiętała to wszystko tak wyraźnie.

Kiedy od niego odeszła, poleciały z Issy do Hongkongu i wynajęły pokój w hotelu Peninsula. James zawsze się tam zatrzymywał - zawsze miał to, co najlepsze, więc uznała, że to, co najlepsze, nada się też dla jego żony i córki.

Wynajęła nieduży apartament i zapłaciła za niego kartą kredytową Jamesa. Jak to James miał w zwyczaju, zamówiła jedzenie do pokoju i jak on dała

kelnerowi bardzo suty napiwek. Wypiła martini - i powtarzała sobie, że poprzestanie na jednym, bo ma dziecko pod opieką. No, może nie dziecko, tylko czternastolatkę. Kiedy Issy w końcu zasnęła, znużona płaczem, zamówiła kolejne, a potem i ona zasnęła zapłakana na kanapie. Ze snu wyrwał ją dźwięk telefonu. To on, pomyślała. Obudziła się niespokojna, zdziwiona, że nadal ma na sobie pogniecioną białą spódnicę i żółty sweterek - tak stary, że z wiekiem wyblakł, ale był pierwszą rzeczą, która wpadła jej w ręce, a była wtedy zbyt wściekła, by myśleć racjonalnie. Już wyciągała rękę do słuchawki, ale się zawahała. Dlaczego James nie dzwoni na komórkę?

Ale telefon nie przestawał, więc podniosła słuchawkę.

- Nazywam się Gayle Lee - usłyszała kobiecy głos. - Musimy porozmawiać.

- A my się znamy? - Caroline odgarnęła rozczochrane włosy i wsunęła na nos okulary, jakby dzięki nim mogła lepiej widzieć tę kobietę albo chociaż przypomnieć sobie kto to. Czyżby James ją przysłał? Może to prawniczka? Każe im natychmiast wracać i zapewni, że wszystko będzie dobrze? Jak dawniej?

- Idę na górę - powiedziała nieznajoma tak stanowczo, że Caroline nie miała wyjścia, musiała się zgodzić.

Kilka minut później uchyliła drzwi, a kobieta weszła do apartamentu i nawet się z nią nie przywitała, nie podała ręki, nic. Caroline przyglądała się ze zdumieniem, jak nieznajoma omiata wzrokiem nieduże, zabałaganione pomieszczenie. Ubranie Issy poniewierało się na środku saloniku; po raz pierw-

szy w życiu Caroline nie posprzątała po córce. Pewnie dlatego, że od razu przypominał jej się James, po którym też zbierała rzeczy. Rzucił wszystko na podłogę, przekonany, że kto inny po nim posprząta.

- Witam - odezwała się znacząco, bardzo zimno i bardzo angielsko, a kiedy Anglicy są oziębli, większość rozmówców od razu to wyczuwa.

Ale nie ta kobieta. Bez słowa podeszła do okna, odwróciła się, spojrzała na Caroline. Mierzyły się wzrokiem.

Była to Azjatka, starsza, a zarazem jakby bez wieku, o zadziwiających platynowych włosach, miodowej karnacji i, o czym Caroline miała się wkrótce przekonać, umyśle ostrym jak brzytwa, gotowym do ataku. Była bardzo atrakcyjna, szczupła, zwinna, naprężona jak cięciwa. Miała na sobie tradycyjną chińską sukienkę z zielonego brokatu, zapiętą wysoko pod szyję, za to z rozporkiem do uda.

Gwałtowny ucisk w żołądku upewnił Caroline, że w końcu widzi na własne oczy kochankę Jamesa. Więc to z nią ją zdradzał.

- Jestem partnerką twojego męża - odezwała się Gayle Lee.

Caroline opadła na miękką kanapę. A więc tak to się dzisiaj nazywa. Poprawiła nieuczesane włosy, wsunęła okulary głębiej na nos. W tej chwili żałowała, że nawet nie musnęła ust szminką, zanim to wszystko się zaczęło.

- Od dwudziestu lat jestem partnerką Jamesa - powiedziała Gayle Lee.

A ona i James są małżeństwem od szesnastu! Czyli romansował z nią jeszcze przed ślubem.

Gayle Lee cały czas stała przy oknie. Caroline zauważyła, że bardzo rozsądnie ustawiała się tak, by mieć źródło światła za plecami, więc nie widziała dokładnie, ile kobieta ma lat. Była od niej starsza, to pewne, ale zarazem doskonała, więc wiek nie miał znaczenia. Platynowoblond włosy opadały klasycznym chińskim bobem z dłuższymi kosmykami. Miała ciemne oczy, wystające kości policzkowe i najbardziej czerwone usta, jakie Caroline kiedykolwiek widziała. Ugięły się pod nią nogi. Gayle Lee wyglądała wspaniale. I to przez wielkie W.

- Nie wiedziałam, że James miał innych partnerów biznesowych, oczywiście poza Markiem Santosem - odparła, ciągle się łudząc, że naprawdę chodzi tu tylko o interesy.

- Santos nie miał z tym nic wspólnego. Mieliśmy z Jamesem prywatną umowę.

- Umowę? - Głupio tak powtarzać cudze słowa, ale nie mogła myśleć. No bo jak? Stała przed faktem dokonany, o którym nie miała pojęcia, a przecież była żoną Jamesa przez szesnaście lat.

Gayle Lee mierzyła ją twardym spojrzeniem.

- Słyszałam, że odeszłaś od Jamesa. Jedyńm, od którego mogła to słyszeć, był sam James.

- Chciałam cię uprzedzić - ciągnęła Gayle Lee wyraźnie, zimno.

Caroline nagle opanował gniew. Za kogo ta cała Gayle Lee się uważa, do cholery? Wyprostowała się gwałtownie.

- Nie dostaniesz ani pensa z naszego majątku - wycodziła Gayle Lee. Podeszła bliżej, tak że góro-

wała nad Caroline. - Uprzedzam, nie warto próbować.

- Mamusiu?

W progu stała Issy, tylko w koszulce i majtkach, bo w takim stroju położyła się spać - zapłakana i nieszczęśliwa, bez prysznicza i pizamy. Ze zdumieniem wpatrywała się w platynowo-zielone zjawisko pochylone nad matką.

- Podobna do Jamesa - stwierdziła Gayle Lee i się odsunęła. Ruszyła do drzwi.

Zatrzymała się z dłonią na klamce. Zerknęła przez ramię.

- Radzę wziąć sobie moje słowa do serca. Nadchodzą zmiany, i to nie po twojej myśli. Dobrej nocy.

Po czym wyszła.

- Kto to był, mamo?

Głos Issy ściągnął ją z powrotem na ziemię.

- Och, stara znajoma tatusia, chciała się przywitać - odparła pospiesznie.

- Ze mną się nie przywitała - zauważyła Issy. I dodała: - Jesteś mi potrzebna, mamo.

Caroline objęła ją, zaprowadziła do łóżka i sama położyła się obok niej. A potem tuliła córkę przez tę najdłuższą noc w swoim życiu.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że ta cała Gayle Lee była kochanką Jamesa i przyczyną rozpadu ich związku. Przyszła, żeby ją uprzedzić, ale przy okazji śmiertelnie ją wystraszyła. Caroline nie pojmowała, o jakie tajemnicze interesy mogło chodzić, wiedziała jednak, że musi za wszelką cenę zapomnieć o tej zjawiskowej kobiecie z platynowymi włosami, w ciemnozielonej sukni. Gayle Lee to

przeszłość, teraz musi myśleć o przyszłości. Czeka ją wiele pracy, zanim ich życie znowu będzie takie, jak trzeba.

I następnego dnia wróciły do domu, do Londynu, do rodziców Caroline. Dokąd indziej mogłaby się udać?

## *Rozdział 8*

TERAZ, PONAD PÓLTORA ROKU PÓŹNIEJ, rozwiedziona i samotna w malutkim wynajętym pokoiku nad pubem, rozmyślała o tym, jak bardzo brakuje jej Jamesa.

Nie miała pojęcia, jak dokuczliwa może być cisza, póki nie zaznała ciszy pokoju, w którym nie ma jej męża. Zrozumie to tylko kobieta, która spędziła z jednym mężczyzną wiele lat. Cały splot ich wspólnego życia; gdzie właściwie kończy się on, a zaczyna ona? Zdania, niedokończone, bo przecież rozumieli się bez słów. Perfumy noszone tylko dla niego; sukienki kupowane tylko dlatego, że jemu się spodobają; wysokie obcasy, od których bolą stopy, ale on przecież uwielbia cię w szpilkach; depilacja, bo on tak lubi, choć ty nie, a odrastające włoski to istny koszmar.

Brakowało jej seksu z nim; tęskniła za jego zapachem, wyczuwalnym na poduszce, w którą wtulała twarz rano, gdy James już wstał. Brakowało jej tego, jak brał ją za rękę, ilekroć przechodzili przez jezdnię, bo bał się, że źle widzi i nie zobaczy nadjeżdża-

jącego samochodu. Brakowało jej dotyku jego dłoni na plecach, gdy puszczał ją przodem w drzwiach do restauracji; czułych słówek, które szeptał pod jej adresem, gdy zdawało mu się, że go nie słyszy. Brakowało jej nawet gotowania; mawiał, że ćwiczy na nim swoje umiejętności, bo choć miała dyplom szefa kuchni, nigdy nie pracowała w restauracji. Brakowało jej nawet pustki i ciszy podczas jego jakże częstych nieobecności. Czekala wtedy na dzwonek telefonu, wypełniała całe dni sprawami szkoły Issy i nigdy, przenigdy nie stawiała samej siebie na pierwszym miejscu.

Więc jak to jest, zastanawiała się. Co było pierwsze jajko czy kura? Czy przede wszystkim była kobietą? Czy żoną? Kogo James chciał w niej widzieć? Bo oczywiście byłaby taka, jakiej on pragnął. Mnóstwo kobiet w ten sposób zatracą się w małżeństwie. Ale teraz, gdy od niego odeszła i stanęła, teoretycznie przynajmniej, na własnych nogach, kim właściwie jest?

Pewnego ranka, kilka dni później, zadała to pytanie nowym przyjaciółom - Maggie i Jesusowi. Postanowiła wyprowadzić się z Londynu i razem z Issy wprowadziły się do maleńkiego mieszkania nad pubem.

Jesus to prawdziwy Meksykanin - miał południowy temperament i święcie wierzył w rodzinę. Był potężny, wąsaty, miał sterczące czarne włosy i niski głos. Siedział przy kuchennym stole i popijał własnoręcznie parzoną kawę - najpierw zmielił ziarna do kociołka stojącego na palniku, a potem przelewał wywar przez płócienną ściereczkę. Powstała w ten

sposób kawa była gęsta, mocna i nie do picia bez co najmniej sześciu łyżeczek cukru.

- To naturalne, że kobieta na pierwszym miejscu stawia mężczyznę - stwierdził, co jego żona skwitowała śmiechem.

- Kobiety nie są po to, żeby się wami opiekować - mruknęła. - Musimy kombinować, w jaki sposób trzymać was tam, gdzie wasze miejsce.

- Mnie się nie udało - burknęła Caroline ponuro. Roześmiali się.

Od tak dawna nie słyszała szczerego, beztroskiego śmiechu, że ten dźwięk sprawiał jej przyjemność, choć wcale nie siliła się na dowcip, mówiła szczerze. Przez cały okres małżeństwa jej rozum smacznie spał. Wołała go nie budzić, bo bała się, że wtedy będzie musiała się zmierzyć z rzeczywistością - niewiernym mężem i życiem zbudowanym na kłamstwie.

- Udzielę ci przyjacielskiej rady - oznajmiła Maggie. - Musisz mieć plan.

Caroline przyglądała się jej ze zdumieniem. Miała pustkę w głowie. A może po prostu zaczynała od nowa.

- Jesteś u nas już prawie tydzień - ciągnęła Maggie. - I możesz zostać, jak długo chcesz, ale od rozwodu minął ponad rok. Uważamy z Jesusem, że powinnaś mieć własny dom.

Przed oczami Caroline stanęła samotna kamienna szopa zalana deszczem, choć to chyba najmniej przytulny dom, jaki można sobie wyobrazić.

- Wspominałaś o niewielkiej sumie, którą dostałaś po rozwodzie. Musisz zaplanować, jak ją wydasz, oszacować, na jaki dom cię stać. Nie możesz też zapomnieć o remoncie, naprawach... Sama wiesz, jak zachowuje się kobieta w nowym domu.



Tym razem widziała się na progu ślicznego domku pokrytego strzechą, ale zaraz odepchnęła tę wizję od siebie. Nigdy nie przepadała za strzechami.

- Przede wszystkim jednak musisz wysłać Issy do dobrej szkoły - ciągnęła Maggie. - Chcę przenieść Sammy z miejscowej szkoły i jutro jadę z nią rzucić okiem na prywatną szkołę kilka kilometrów stąd. Może ty i Issy wybieriecie się z nami?

Issy podniosła głowę znad kociego koszyka.

- Zgódź się, mamó - poprosiła i Caroline po raz pierwszy od roku usłyszała w jej głosie coś na kształt zainteresowania. Zazwyczaj córka zbywała ją obojętnym: „Jak chcesz”, co doprowadzało ją do szału, bo sama nie wiedziała, czego chce.

- Pojedziemy razem - zawtórowała Sammy. Była jak jej matka, ciepła i uczuciowa, i od pierwszej chwili stały się z Issy nierozłączne.

- Dobrze - ustąpiła Caroline.

- To szkoła prywatna, będziesz musiała płacić chesne. - Jesus ściągnął ją na ziemię.

- No cóż, ojciec Issy powinien się tym zająć, tak jest w umowie: ma płacić za jej wykształcenie. - Nie dodała, że James nie najlepiej wywiązuje się z tego obowiązku i koszty edukacji Issy spadły na barki jej dziadka.

- A potem załatwimy ci pracę. - Maggie brutalnie wyrwała ją z resztek marzeń.

Caroline rozważała różne wyjścia i dochodziła do tego samego wniosku - jest w kropce. Strach dławił

ją w gardle. Bez finansowego wsparcia ze strony Jamesa sama musi zarobić na życie. Utrzymać siebie i córkę.

- Umiem gotować, nic więcej, ale w tym jestem naprawdę dobra.

Maggie energicznie podniosła filiżanki po kawie.

- No to świetnie. Kiedy Issy pójdzie do szkoły, zaczniesz pracę u nas. Zajmiesz się lunchem. Już od dawna chciałam wprowadzić nowe menu na kolację i teraz to będzie możliwe. Oczywiście nadal sama będę robiła pikantne tacos.

- To może mogłabym zaserwować moją singapurską zupę z pierożkami won-ton? - Caroline ożywiła się nagle i zaraz zmarkotniała... Bo gdzie ona dostanie składniki do tej zupy?

Maggie zdawała się czytać w jej myślach.

- W Oxfordzie - powiedziała. - Mają tam teraz wszelkie egzotyczne produkty.

Caroline przemknęło przez głowę, że kiedy człowiek odzyska kontrolę nad własnym życiem, wszystko jakoś się układa. Oczywiście nie bez pomocy nowych przyjaciół, dzieci i kociaka. Za to bez Jamesa.

Kiedy w końcu się odkocham? - zastanawiała się. I czy to w ogóle możliwe?

## *Rozdział 9*

KUCHNIA W PUBIE POD GWIEZDNYM PŁUGIEM to dwadzieścia metrów kwadratowych nierównej kamiennej posadzki, zalanej koszmarnym światłem z jarzeniówek,

i piec - staroświecki, piękny, olejowy, jasnoniebieski piec Aga z trzema piekarnikami, z których jeden zawsze, jakimś cudownym sposobem, utrzymywał temperaturę na tyle wysoką, że wszystko można było w nim upiec. W drugim potrawy dochodziły stopniowo, powoli, w trzecim trzymano gotowe dania, by nie ostygły. I jeszcze dwie płyty, też zawsze rozgrzane, choć w różnym stopniu - na jednej można było gotować, na drugiej dusić. I trzecia, idealna do podgrzewania smakowicie bulgoczącej zupy.

Te piece wymyślili sprytni Szwedzi, mieszkańcy zimnej krainy, którzy jak nikt wiedzą, jak najlepiej wykorzystać piec. Aga w pubie nigdy nie stygł, gotowano na nim wodę, wypełniał kuchnię przyjemnym ciepłem. Caroline nie pojmowała, czemu taki piec nie stoi w każdej kuchni w zimnej, wilgotnej Anglii. Ba, napisała to nawet w mejlu do rodziców, zagrzebanych gdzieś w Dordogne, na dwudziestohektarowym kawałku ziemi, którą ojciec całymi dniami kosił z wyżyn kosiarki John Deere, w panamie na głowie i z niezapalonym cygarem w zębach.

- Wykonałem dzisiaj kawał fantastycznej roboty - oznajmiał o osiemnastej, gdy wracał do domu na lamkę szampana; on i matka Caroline nabrali tego zwyczaju po przeprowadzce do Francji.

- Tutaj jest cudownie - zapewniała ją matka przez telefon. - Ojciec nigdy nie był równie szczęśliwy.

Caroline nie dziwiła się, że jej ojciec, inżynier, po czterdziestu latach budowania współczesnych cudów, takich jak mosty zawieszane nad przepaścią czy rurociągi przecinające skutą zimną tundrę,

rozkoszuje się leniwym dniem na dworze i wieczornym kieliszkiem szampana. A skoro ojciec jest szczęśliwy, matka także.

Domyślała się, że to po matce odziedziczyła ten syndrom dobrej żony - od dziecka obserwowała rodziców i układ, w którym mąż był królem, a żona wierną poddaną. A jednak jakimś cudem jej rodzice zawsze byli sobie równi. Ona miała swój świat, on robił to, co kochał. Byli szczęśliwi. Więc dlaczego jej się nie udało?

- Zamieszkaj z nami - zaproponował ojciec stanowczo, po tym, jak poinformował ją, że sprzedali londyńskie mieszkanie i przenieśli się na spokojną francuską prowincję. - Tutejsze życie towarzyskie bije Londyn na głowę. Na pewno są w okolicy wolni mężczyźni. Zaprosimy ich na kolację. Wiesz, jaka jest matka, wyprawi ucztę i żaden z nich nie będzie chciał odejść.

- Tak, ale od mamy - odcięła się. Choć tak naprawdę umiejętność gotowania była jedyną rzeczą, którą zawdzięczała matce, a która teraz okazała się przydatna. Bo to matka nalegała, by nauczyła się gotować. Przynajmniej będzie miała zawód w ręku, przekonywała, przerażona romantyczną wizją prawdziwego życia, jaką snuła jej córka.

Nic dziwnego, że pub Pod Gwiazdym Pługiem cieszył się coraz większą popularnością, skoro serwowano tu pyszne zapiekanki Caroline, słynne pikantne tacos z kurczakiem autorstwa Maggie, a w weekend tamales - takie prawdziwe, które w Meksyku podaje się na Boże Narodzenie. Przyrządza się je z *masa* - mąki kukurydzianej, duszonej

wieprzowiny, drobno pokrojonej, zmieszanej z cebulką, kolendrą i papryczkami jalapeño. Ten farsz zawija się w liście kukurydzy i piecze, aż powstanie smakowicie pikantny smakołyk. Nic dziwnego, że tamales cieszyły się ogromnym powodzeniem.

Oprócz tego Caroline smażyła steki oraz frytki i dołączyła do karty dań swojego kurczaka w cieście, podawanego po amerykańsku, w białych miseczkach, zapieczonego w cieście francuskim, które smakowicie piętrzyło się lekką pierzynką i kusiło zapachem. Zaczęła także piec chleb. Co wieczór zostawiała na piecu ciasto na okrągłe, ciężkie bochenki, przykryte płócienną ściereczką. Piekła je tuż przed lunchem.

- Przy dobrym chlebie i maśle goście spokojnie poczekają chwilę dłużej na główne danie - tłumaczyła Maggie. - I ani się obejrzą, a zamówią drugą butelkę wina. - Uczyła się wszystkiego w biegu.

A po długich godzinach na nierównej kamiennej podłodze czuła się naprawdę, jakby przebiegła co najmniej maraton. Marzyła jej się długa sesja w jacuzzi - wyobrażała sobie, jak ciepłe bąbelki masują jej stopy, a ona zamyka oczy, odcina się od całego świata i nie przejmuje tym, że od gorącej pary kręca jej się włosy. Odcina się od świata, którego istnienia nadal nie chciała przyjąć do wiadomości, świata, w którym cała odpowiedzialność: za siebie, za córkę, spoczywa tylko i wyłącznie na jej barkach.

Na razie żyły, jak to pięknie i tragicznie ujął Tennessee Williams w *Tramwaju zwanym pożądaniem*, dzięki dobroci nieznajomych. Wcale nie uważała się za Blanche Dubois, skądże. Blanche była sama jak palec, a Caroline ma Issy, która Bogu dzięki, była

zachwyconą szkołą Upperthorpe. Dyrektorka wzięła ją pod swoje skrzydła i Issy uczyła się dobrze, zakuwała do egzaminów i szykowała do wyjazdu do szkoły z internatem, choć James nie zapłacił ani dolara.

Koszty pokrywał ojciec Caroline. Nawet nie usłyszała od niego wymówki ani: „A nie mówiłem”, ani: „Co ty sobie myślałaś, podpisując taką intercyzę?” Powiedział co innego:

- Posłuchaj, James nie może tak postępować, ma prawny obowiązek łożyć na utrzymanie córki. Prawny i moralny.

Jej ojciec miał głębokie poczucie moralności. Tymczasem Caroline zmagala się z nowym życiem. Poznała wielu mieszkańców wioski - chyba wszyscy wiedzieli o niej więcej niż ona o nich - a to przez plotki, które w tak małej miejscowości rozchodzą się jeszcze szybciej niż w wielkim mieście. Wiele osób pozdrawiało ją radośnie, gdy robiła zakupy na High Street albo stała w kolejce na pocztę - zanim człowiek dotrze do okienka, spokojnie zdąży przejrzeć gazetę, bo wszyscy musieli pogawędzić i po-żartować z urzędniczką. Oczywiście najlepiej znała stałych bywalców pubu, których przyciągały tacos Maggie i jej zapiekanki. Rozpoznawała też młodych mężczyzn, którzy pożerali ją wzrokiem, gdy podchodziła do ich stolika, aż się czerwieniła, co oczywiście bawiło ich i prowokowało do dalszych żartów.

- Przypominam wam, że mogłabym być waszą matką! - zaznaczała surowo, krzyżując ręce na piersi.

- Akurat! - odpowiadali, albo coś podobnego; dawali jasno do zrozumienia, że jest za młoda, by być czyjąś matką.

Przyląpywała się coraz częściej na tym, że jednej twarzy zawsze wypatruje. Ten mężczyzna nie był stałym bywalcem - zaglądał do pubu czasami i nigdy nie stroił się specjalnie. Był średniego wzrostu, miał ciemne włosy i spory nos. Orli, powiedzieliby niektórzy. A jego usta? Może zmysłowe? Caroline nie miała pojęcia, bo o doznaniach zmysłowych w ogóle nie myślała. W każdym razie, jeśli się zjawiał, wpadał na piwo wcześniej, koło szóstej. Niemal zawsze miał na sobie sweter obsypany trocinami. Caroline domyślała się, że to stolarz, choć nikogo o niego nie pytała. Aż tak jej nie interesował. A może po prostu wolą zachować ostrożność?

Wstawiała wczesnym rankiem, podawała dziewczynkom śniadanie i odwoziła je do szkoły. Po południu odbierała je Maggie. Były nierozłączne. Razem odrabiały lekcje, jadły posiłki, plotkowały i flirtowały z chłopcami w sieci, chodziły do kina i na zakupy w Oxfordzie, spotykały się ze znajomymi w kafejkach. A potem, w domu, w pubie, razem oglądały telewizję, a Ślepa Brenda spała zwinięta w kłębek między nimi.

Minęły dwa miesiące i Caroline uznała, że czas wziąć sprawy we własne ręce. Zdobyła się na odwagę i kupiła zniszczoną murowaną szopę. Kosztowało ją to całą sumę, którą po rozwodzie dostała od Jamesa (dobrze przynajmniej, że wypłacił jej to od razu). Kupiła właśnie ten dom z prostego powodu - była to najtańsza nieruchomość w okolicy, jedyna, na jaką było ją stać. Właściciel przyjął jej ofertę - był zdesperowany, od lat usiłował sprzedać posiadłość nad rzeką. Patrząc na swój nabytek w świetle dziennym,

wiedziała, dlaczego kupiła ten dom tak tanio. Czekał ją gruntowny remont.

A jednak coś ją w tej ruderze urzekło; może samotność, wiek, historia, które dodawały jej otuchy. Pokochała leniwy szum rzeki, kamienie - jednak miodowe, a nie szare, cały budynek, który przycupnął na końcu krętego, zarośniętego podjazdu (strach pomyśleć, ile będzie kosztował nowy żwir). Czuła więc ze swoją nową posiadłością. Być może sprawiał to szyld „Bar, grill i tańce”. Od dziecka chodziła z głową w chmurach.

Ale na razie mieszkały z Issy w pubie, zastanawiały się, jak doprowadzić nowy dom do porządku. A kilka tygodni później złożył jej wizytę Mark Santos, partner Jamesa w interesach.

## *Rozdział 10*

DOCHODZIŁA SIÓDMA W PIĄTKOWY WIECZÓR i pub pękał w szwach. Przeważali młodzi ludzie; tłoczyli się przy barze, otaczali staroświecką szafę grającą, którą Jesus zdobył nie wiadomo gdzie, a która na pełny regulator grała jego ukochane przeboje z lat siedemdziesiątych, przekrzykiwali siebie i muzykę.

Wszystkie stoliki w obu salach były zajęte, zamówienia sływały wartkim strumieniem, a szczególnym powodzeniem cieszył się kurczak zapiekany w cieście pod puszystą pierzynką. Zapach chleba, piwa, *pico de gallo*, ostrej salsy i tacos przenikał na zewnątrz, na uliczkę, w której tłoczyły się zaparko-



wane samochody, a palacze, nonszalancko oparci o ścianę, zaciągali się dymem. Jak zawsze w piątkowy wieczór.

Caroline była w kuchni, krzątała się przy piecu, zaczerwieniona i zgrzana. Pomagała jej, jak co piątek, młodziutka samotna matka, Sarah, która mieszkała niedaleko z synkiem - Małym Billym. Przyprawiała go ze sobą do pracy. Malec zazwyczaj spał smacznie w nosidełku, mimo hałasu. Na zmywaku pracowała nastoletnia Lily, która czasami też opiekowała się Billym, a w kuchni najczęściej tłukła kolejne talerze.

Issy i Sam, za młode, by pracować w pubie, w piątkowe wieczory czasami pomagały w kuchni, tego dnia jednak miały wolne i siedziały na piętorku, bo skończyły już odrabiać lekcje. Ślepa Brenda leżała między nimi na kanapie, a one oglądały telewizję

i pisały esemesy do znajomych.

Caroline miała na sobie dzinsy, stary żółty sweter i białe drewniaki, w których jej stopy wydawały się olbrzymie. Upchnęła włosy pod czapczką bejsbolową, okulary w czerwonych oprawkach zsuwały się ze spoconego nosa. Ociekała potem, gdy do kuchni weszła Maggie ze stertą brudnych talerzy i informacją, że w barze czeka na nią mężczyzna.

Pod Caroline ugięły się nogi. Spojrzała Maggie prosto w oczy.

- To nie on - powiedziała cicho Maggie. - Ten tutaj to wysoki brodaty okularnik. W eleganckiej marynarce, kaszmirowej, to widać. Lepiej idź się umyć. On poczeka, a ja cię tu zastąpię.

Mimo wszystko Caroline denerwowała się na myśl o spotkaniu z Markiem, bo jego widok przywoła

przeszłość. Był starym przyjacielem Jamesa i jego wspólnikiem w interesach; solidny, porządny facet, na którym można polegać. Był pierwszym, do którego zadzwoniła z hotelu Peninsula w Hongkongu, by powiedzieć, że odeszła od Jamesa.

Od tego czasu byli w kontakcie - w mejlach i rozmowach telefonicznych pytał, co u niej słychać, czy nie potrzebuje pomocy. Czy James wywiązuje się ze swoich obowiązków? Czy Issy czegoś nie trzeba? Oczywiście Caroline zawsze grzecznie zapewniała, że wszystko jest w porządku. Dokonała pewnego wyboru i teraz musi z tym żyć.

Niespokojnie przyglądała się sobie w lustrze. Sweter jest za obcisły; odkąd pracuje jako kucharka, przybyło jej ze trzy kilo. Umyła twarz, spryskała się perfumami So Pretty Cartiera. Dostała je od Jamesa i nie używała ich od lat. Włożyła czystą białą bluzkę, złote sandaalki (choć na dworze było zimno, ona była rozgrzana pracą w kuchni), przeczesła włosy, poprawiła grzywkę, wyczyściła okulary w czerwonych oprawkach. I jeszcze szminka. Musnęła wargi pomadką, głęboko zaczerpnęła tchu i zbiegła na parter.

- Wcale się nie zmieniłaś - orzekł Mark Santos na jej widok.

## *Rozdział 11*

ISSY, KTÓRA SIEDZIAŁA NA KANAPIE i wymieniała wiadomości z Lysandrem, starszym chłopakiem (zabójczo przystojnym siedemnastolatkiem; liczyła na to,

że zaprosi ją na randkę), podniosła głowę w odpowiedniej chwili, by zobaczyć, jak jej mama przebiega korytarzem w czystej białej bluzce, z uczesаныmi włosami, i dałaby sobie rękę uciąć, ze szminką na ustach.

- Sam? - Spojrzała na przyjaciółkę i po raz kolejny uderzyło ją, że Sammy ma idealny nos, mały i prosty, i drobne usta z jakby za krótką górną wargą, przez co wyglądała, jakby zaraz miała się uśmiechnąć, i niebieskie oczy ocienione ciemnymi rzęsami. Cały czas nie mogła się nadziwić, że Sam, blondynka, ma niemal czarne rzęsy, a ona, szatynka, jasne. No, ale już dawno stwierdziła, że los nie jest sprawiedliwy.

- Co? - Sam błędziła wzrokiem między ekranem telewizora, na którym tancerka w nader skąpym kostiumie wirowała w ramionach mężczyzny w czarnym kombinezonie, a telefonem komórkowym; wymieniała esemesy z chłopcem, któremu się podobała, ale bez wzajemności. - Jak myślisz, czy ona ma bieliznę pod tym kostiumem? - zapytała.

Issy przyjrzała się uważnie.

- Nie sądzę. Przecież ona prawie nic na sobie nie ma.

Sam w zadumie bawiła się jasnym warkoczem.

- Chciałabym być taka, jak ona - mruknęła. -Chciałabym zostać tancerką.

- Jesteś za niska - sprzeciwiła się Issy, choć oczywiście za żadne skarby świata nie sprawiłaby przyjaciółce przykrości, mówiąc, że jest też za pulchna. Choć taka była prawda. Była. Troszeczkę.

- A ty za wysoka - odcięła się Sam. - Jak myślisz, czy Rob Maclean na mnie leci?

- Nie.

- Och.

Issy zmarszczyła brwi.

- Sam, z moją mamą dzieje się coś dziwnego. Przed chwilą popędziła na górę, a teraz wraca na dół, cała wystrojona.

Tym razem to Sam spojrzała zdumiona.

- W sukience? Na obcasach?

Issy nie widziała matki w sukience i na obcasach od wyjazdu z Singapuru.

- Nie. Ale przebrała się, uczesała i umalowała. Sammy parsknęła śmiechem.

- Nie rozumiesz? - Irytowało ją, że Sammy niczego nie pojmowała. - Mama poszła do pubu odpalona: w makijażu i uczesana. Czyli spotyka się z facetem!

- Jakim facetem? - Sammy nigdy nie widziała Caroline w męskim towarzystwie.

- Może to mój tata.

Sam zdumiona podniosła głowę.

- Naprawdę?

- A niby do kogo pobiegłaby tak szybko, że nawet do mnie nie zajrzała?

Podniosła kotkę i wtuliła twarz w miękkie futerko.

- Boję się tam iść i się przekonać - mruknęła. - Wyobrażasz to sobie, Sam? Boję się, że to mój ojciec.

- Ja pójdę. - Sam wstała, ściszyła telewizor, potknęła się o pudełko po pizzy. - Wiem, jak wygląda -zapewniła, bo Issy pokazała jej zdjęcie swojego przystojnego ojca, o którym Jesus, gdy sądził, że Sam go nie słyszy, mówił „kawał drania”.

Issy czekała, nerwowo głaszcząc kociaka. Wydawało jej się, że Sam nie było całe wieki, choć minęło zaledwie kilka minut.

- No i co? - dopytywała niespokojnie.

- To nie on, tylko wielki gość z brodą.

- Mark Santos. Jego wspólnik. Ciekawe, co tu robi.

Miała nadzieję, że przysłał go ojciec - żeby przekazał, że chce, żeby wrócili. I że każe mamie pozbyć się tej strasznej rudery. Tak bardzo chciała wrócić do dawnego życia, chciała być zwyczajną dziewczyną z dwojgiem rodziców. Marzyła, żeby wszystko było jak dawniej. Może Mark Santos potrafi sprawić, żeby tak się stało.

## *Rozdział 12*

KŁAMCZUCH - POWIEDZIAŁA, SŁYSZĄC TE SŁOWA. Uściskała go serdecznie i się odsunęła. Uśmiechnęli się do siebie.

Wyglądał tak samo jak zawsze. Był opalony, bo żeglował - miał swój jacht w zatoce Lantau, na dawniej cichej i spokojnej wysepce rybackiej, która nieoczekiwanie stała się turystycznym zagłębieniem u wybrzeży Hongkongu. Miał szare, a może piwne oczy? Nigdy nie wiedziała na pewno, bo nikły za okularami w prostokątnych rogowych oprawkach. No, ale on też pewnie nie wiedział, jakiego koloru są jej oczy. Okulary stanowią nieprzeniknioną barierę między przyjaciółmi i kochankami. Znała tę prawdę

doskonale; przecież nieraz zdejmowała je w imię miłości. Miała wrażenie, że Mark jest wyższy, potężniejszy, większy niż wszyscy pozostali mężczyźni w pubie. Był tu także stolarz, który odnalazł jej wzrok, gdy przepychała się przez tłum. Uśmiechnął się do niej.

Jesus stał za barem, bo Maggie zastępowała Caroline w kuchni. Podał jej kieliszek czerwonego wina, a ona przedstawiła mu Marka. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Wiele o tobie słyszałem - odezwał się Mark. - Jesteś jej zbawicielem.

- Za starych i nowych przyjaciół - zaproponowała cicho. Wzniesli toast.

- Chcesz mi opowiedzieć o Jamesie - domyśliła się, nagle przerażona tym, co usłyszy.

Wzruszył ramionami, upił łyk piwa.

- Właściwie przyjechałem, bo chciałem zobaczyć się z tobą.

Caroline uściskała go serdecznie, oparła mu głowę na ramieniu, zanurzyła się w znajomym zapachu - Egoistę od Chanel. Zawsze miała wrażenie, że Mark się w niej podkochuje; czuła na sobie jego spojrzenia, pamiętała, jak obejmował ją w tańcu, delikatnie, ostrożnie. Ale nigdy nie wykonał żadnego ruchu. Teraz jednak przyleciał tu do niej aż z Singapuru i domyślała się, że nie ma dla niej dobrych wieści.

- Przyjechałem, bo się martwię - zaczął. - James dowiedział się od prawnika, że zmarnowałaś wszystkie pieniądze, utopiłaś je w starej ruderze, gdzieś na końcu świata. - Pokręcił głową. - To kiepski pomysł, Caroline.

Panika wróciła. Mark to dobry biznesmen. Tak, ale nieważne, czy to kiepska inwestycja - szopa jest teraz jej i tak zostanie.

- Zobaczą, czy da się to odkręcić. - Mark zachowywał się, jakby wszystko teraz zależało od niego. - A potem poszukamy czegoś lepszego. Issy musi mieć normalny dom i twoim obowiązkiem jest jej to zapewnić.

Caroline poruszyło to do głębi. Więc to tak? Ona daje z siebie wszystko, haruje w kuchni, żeby zarobić na życie, kupuje dom, kombinuje, co zrobić, żeby zapewnić sobie i córce bezpieczną przyszłość, a on ją krytykuje?

- Pomogę ci - zaoferował.

Wiedziała, że mówi z głębi serca. Wystarczy, żeby skinęła palcem, a Mark anuluje umowę, znajdzie jej coś lepszego - i zapewni wsparcie finansowe, ma się rozumieć. Może się w niej kocha. I właśnie przez to „może” nie mogła przyjąć jego wsparcia. Musi zachować niezależność; dotarła już tak daleko, że teraz z tego nie zrezygnuje.

- Caroline, wiesz, że bardzo mi na tobie zależy - ciągnął. - I to nie od dziś. Wiesz, że mógłbym się tobą opiekować. Życie jeszcze może być piękne, dla nas obojga.

Co on, prosi ją o rękę? A jeśli tak, właściwie, czemu nie? - szeptał podstępny głosik w jej głowie. Zależy mu na tobie. Będiesz bezpieczna, zamieszkaś w pięknym domu, twojej córce będzie tam lepiej niż w ciasnym mieszkanku nad pubem, u boku wiecznie zmęczonej, niezamożnej matki. Nad czym się tu w ogóle zastanawiać? Która kobieta przepuściłaby taką okazję?

Ale nie była w nim zakochana, nie czuła do niego niczego specjalnego, między nimi nie było iskry, tej charakterystycznej iskry, która czasami łączy ludzi. Nie chciała Marka ani jako kochanka, ani jako męża.

- Dzięki, Mark - powiedziała szybko. - Przynajmniej na razie lepiej, żebym była sama. - I dodała po chwili: - Opowiedz, co u Jamesa.

Wzruszył ramionami.

- Właściwie rozmawiamy tylko o pracy. Spojrzała na niego zdumiona.

- Przez większość czasu jest gdzieś daleko, w Hongkongu, Makao... sam nie wiem.

- Pewnie z tą całą Gayle Lee Chen.

- Wiedziałaś o niej? - Uniósł brwi w zdumieniu.

- Nie mówiłam ci, ale przyszła do mnie, zaraz po tym, jak odeszłam do Jamesa. Chciała mnie ostrzec. Wiedziałeś, że jest kochanką Jamesa, i to od dwudziestu lat, a ja nie miałam o niczym pojęcia?

- Najłatwiej oszukać niewinnych.

- Ale w głębi serca chyba zawsze wiedziałam, że miał kogoś, po prostu nie przyjmowałam tego do wiadomości. - Caroline przełknęła łzy na wspomnienie tego upokorzenia. - Nie sztuka oszukiwać kogoś kto nie chce zmierzyć się z rzeczywistością.

- Są na świecie kobiety... - zaczął Mark, tak cicho, że tylko ona go słyszała, choć w pubie panował taki hałas, że i tak nikt nie podchwyciłby jego słów. - Kobiety, które potrafią opętać mężczyznę pochlebstwami i zmysłowością, do tego stopnia, że biedak całkowicie się zatracą. Robi, co mu każe, mówi jak ona, uśmiecha się jak ona, myśli jak ona w pracy, po-



sługuje się jej logiką. Oddaje się jej. Zapomina o całym świecie. A ona nie daje mu niczego, ani skrawka swego życia. W jej świecie nic się nie zmienia. To mężczyzna traci wszystko. James stracił ciebie i córkę.

Caroline ze smutkiem przypomniała sobie Jamesa takiego, jak na początku ich znajomości, bystrego biznesmena, bywalca, uwodziciela, troskliwego kochanka, czulego ojca.

- James ma kłopoty - wyjaśnił Mark. - Nie do końca wiem jakie, ale coś jest nie tak. Z konta zniknęły pieniądze, potem nagle znowu się tam znalazły. Nie zawsze jest tam, gdzie powinien. - Jego czoło przeciął grymas. - Nie zawsze robi to, co zaplanował. I przez to zaczynamy tracić klientów.

Przyglądała mu się zdumiona. James zawsze był biznesmenem doskonałym; punktualnie stawiał się na spotkaniach w najróżniejszych zakątkach świata, zawsze świetnie przygotowany, zawsze gotowy, zawsze skory spieszyć klientom z pomocą. Klientom i wspólnikowi.

- Właśnie dlatego pytam - przyznał. - Chciałem się upewnić, że wobec ciebie postępuje uczciwie.

- No, nie - mruknęła. - To znaczy, nie do końca. Czasami płaci, czasami nie, ale myślałam, że to czysta złośliwość, takie dziecinne zagrywki.

Mark się roześmiał.

- A skoro o dzieciach mowa: opowiadaj o Issy. Dorasta tak szybko, że następnym razem w ogóle jej nie poznam.

- Co ty?! - Sprzeciwiła się. - Issy zawsze będzie sobą.

- Zabiorę was jutro na obiad, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Skądże.

Mark musiał się zbierać. Czekał na niego czarny mercedes z szoferem; zaparkował, wbrew przepisom, po przeciwnej stronie ulicy. Tacy mężczyźni jak Mark nie zawracają sobie głowy przepisami, pomyślała.

- Zatrzymałem się w Oxfordzie, w hotelu Randolph - powiedział. - Zadzwoń rano, przyjadę po was.

Pomachała mu na pożegnanie i stała jeszcze chwilę, wpatrzona w miejsce, gdzie jeszcze niedawno stał jego wóz. Czy to wszystko działo się naprawdę? Czy rzeczywiście stary przyjaciel Jamesa zaproponował, że się nią zaopiekuje? Przecież mało brakowało, a poprosiłby ją o rękę. Spojrzała na drugą stronę ulicy, na pub Pod Gwiazdym Pługiem, na młodych ludzi opartych o murek. Palili, żartowali, śmiali się, flirtowali.

Drzwi otworzyły się i z wnętrza wysypała się kolejna grupka, a w niej - stolarz. Zobaczył Caroline, uniósł dłoń na pożegnanie. Odpowiedziała tym samym.

Nie flirtowała, skądże. Nie wiedziała nawet, jak to się robi, już nie. Ale mimo wszystko poczuła się lepiej.

### *Rozdział 13*

NASTĘPNEGO DNIA MARK PRZYJECHAŁ PO NIE wynajętym mercedesem z szoferem.

- Coś takiego - stwierdził żartobliwie, patrząc na Issy. - Dałbym sobie rękę uciąć, że masz co najmniej dwadzieścia trzy lata.

Caroline obserwowała, jak córka oblewa się rumieńcem. Nie uszło jej uwagi także to, że włożyła kaszmirowy sweterek z Hongkongu, prezent od ojca sprzed kilku miesięcy. Wiedziała, że Issy przechowuje go pod łóżkiem, w torbie z Hello Kitty.

Wiedziała, ile ten sweter dla niej znaczy; stanowił dowód na to, że ojciec myślał o niej na tyle intensywnie, że poszedł do sklepu, wybrał go i wysłał, z bilecikiem z napisem: „Od kochającego taty”. Choć tego nie okazywał, James chyba nadal kochał córkę; po prostu wyrzuty sumienia i poczucie winy nie pozwalały mu się z nią spotkać. Zresztą teraz miał inne sprawy na głowie.

Sweterek był jasnoniebieski, z okrągłym dekoltem. Na niego Issy włożyła parkę i zawiązała pod szyją czerwony szkolny szalik. Zebrała włosy w koński ogon i musnęła usta różowym błyszczakiem.

Caroline miała na sobie sukienkę z brązowej wełenki. Zastanawiała się w tej chwili, skąd kiedykolwiek przyszło jej do głowy, że brązowy to jej kolor. Kupiła ją pięć lat temu, w Hongkongu, w słynnym domu towarowym Lane Crawford. Były tam ładniejsze kreacje, ale tylko ta leżała idealnie, bez konieczności poprawek, a ponieważ była jej potrzebna na kolację tego samego dnia, kupiła ją. A teraz okazało się, że to jedyna sukienka, która na nią pasuje, a to przez dodatkowe kilogramy - efekt pracy w kuchni. Wczoraj wieczorem zdecydowała, że dieta jest niezbędna, ale czy pamiętała o tym postanowieniu, gdy

poszli na lunch do słynnej knajpki Manoir aux Quat' Saisons? Oczywiście, że nie.

Siedziała naprzeciwko Issy. Mark zajął miejsce między nimi, przy stoliku pod oknem z widokiem na trawnik ocieniony drzewami. Przemknęło jej przez myśl, że w oczach pozostałych gości są idealną rodziną: rodzice z córką w restauracji.

Ku jej zdumieniu Issy wybrała ostrygi, a już naprawdę nie wierzyła własnym oczom, gdy dziewczyna zjadła je z apetytem.

Caroline sączyła szampana i czuła się coraz lepiej. Brązowa sukienka wyglądała ładnie, Bogu dzięki, nie była zbyt obcisła, a modny naszyjnik z cienkich łańcuszków skromnie zasłaniał głęboki dekolt. Wąska spódnica ukazywała za to kolana. Stroju dopełniały złota bransoletka, kupiona dziesięć lat temu w Paryżu, i złote kolczyki. Na ramiona narzuciła szal; może to i niemodne, ale taki szal ma wiele zalet; ogrzewa i przy okazji maskuje małe grzeszki w figurze, a do tego ożywia nudny strój kolorem - był to intensywny, nasycony turkus. Ciemne włosy zczesała gładko, z przedziałkiem z boku, żeby grzywka nie zasłaniała okularów. Dzisiaj założyła okulary w rogowych oprawkach, podobne do tych, które nosił Mark. Bardziej pasowały do brązowej sukienki, choć Issy stwierdziła, że wygląda w nich jak nauczycielka.

„Lepsze to niż jak kucharka”, odcięła się wtedy Caroline.

- Widzisz, Issy - mówił teraz Mark. - Twój tata na pewno żałuje, że nie mógł ze mną przyjechać. Jest teraz bardzo zajęty, ale wiem na pewno, że często o tobie myśli.

- Zawsze był bardzo zajęty i nigdy nie miał dla nas czasu - odparła. Nie dała się zbyć banalnymi zapewnieniami o ojcowskiej miłości. - Mógłby chociaż czasem napisać albo zadzwonić.

Mark westchnął.

- Nic na to nie poradzę.

- Nic nie szkodzi. - Wydawała się taka dorosła, taka poważna, że Caroline zbierało się na łzy. A potem podano ostrygi i Issy uznała, że jej smakuja.

Wypili butelkę pysznego Pouligny Montrachet, żartowali, rozmawiali, jedli, a potem Caroline uznała, że czas pokazać Markowi jej nabytek.

Najpierw jednak poszły z Issy do łazienki, bardzo gustownie wykończonej - ładna tapeta, grube ręczniki i lustro, w których wyglądała całkiem nieźle, zwłaszcza po paru kieliszkach wina.

- Mamo? - Issy wyszła z kabiny.

Caroline poprawiła fryzurę i umalowała usta.

- Tak?

- Słuchaj, bardzo, naprawdę bardzo lubię Marka.

- Ja też - przyznała ostrożnie. Issy stanęła koło niej, umyła ręce.

- Mamo?

- Co znowu?

- Byłby z niego niezły ojczym. Zresztą wiem, że mu się podobasz. Widziałam, jak na ciebie patrzy.

- Mark to bardzo dobry przyjaciel - stwierdziła wymijająco. Czekwała, aż Issy wytrze ręce.

- To fakt i bardzo dobrze. Ale z Markiem mogłybyśmy znowu zamieszkać w Singapurze.

- Isabel Evans, przesadzasz! - Caroline była w szoku. - Dość tego! Chodź, teraz pokażemy Markowi nasz nowy dom.

Caroline stała na skraju zarośniętego podjazdu i myślała, że w wiosennym słońcu jej nowy nabytek wygląda o wiele lepiej. Drzewo zazieleniło się, rzeczka płynęła leniwie, połyskując w blasku słońca. Już tyle razy przyjeżdżała tu, by obejrzeć swoją posiadłość, że znała na pamięć historię szopy i jej rozkład.

- Pochodzi z początku XVII wieku - zaczęła i zobaczyła, że Issy odwraca wzrok i ostentacyjnie nie słucha. - Kamienie szlifowali miejscowi. Przypuszcza się, że to mnisi, którzy szukali schronienia w czasie prześladowań religijnych za Cromwella, ukrywali się wśród wzgórz i zbudowali mały domek oraz ukrytą kaplicę. Kaplicy oczywiście już dawno nie ma, choć pod murawą można do dzisiaj znaleźć resztki kamieni.

Pchnęła skrzypiące drzwi i weszła do holu wyłożonego kamienną posadzką, by po chwili znaleźć się w kolejnym przestronnym pomieszczeniu. Tu na podłodze leżało zniszczone linoleum, a w jednym końcu widniał niewielki podest, dla orkiestry, przygrywającej podczas potańcówek, jak się domyślała. Wąski korytarzyk prowadził do ciasnej kuchni z wiekowym piecykiem i kamiennym zlewem. Przez przeszklone drzwi wychodziło się na niewielkie patio. Kręte kamienne schodki prowadziły do pokoju o belkowanym stropie, pełnym pastelowego światła. Pokonała załom na schodach i na ostatniej kondygnacji czekały na nią jeszcze trzy pokoiki, a obok

nich różowa łazienka jak z lat pięćdziesiątych, równie kiczowata i tandetna jak kuchnia.

Na zewnątrz było niewielkie podwórko i za małą furtką stał miniaturowy domek, w którym mieściła się kuchnia, a na pięterku - sypialnia i łazienka.

Ale najwspanialszy był taras, stwierdziła z dumą, i widok na zakole rzeki. Wyobrażała już sobie, jak siedzi na niskim kamiennym murku w letni poranek, z kubkiem kawy w dłoni i marzeniami w głowie.

Jednak teraz, gdy tak patrzyła na córkę i przyjaciela, dotarło do niej, że nie rozumieją. Ze tylko ona widzi ten budynek na wskroś, dostrzega jego szkielet, pozbawiony paskudnego linoleum i paneli, tandetnej kuchni i łazienki. Tylko ona widziała oczyma wyobraźni ciepłe, przytulne wnętrza, w zimie z buzującym piecem Aga, w lecie - ożywczo chłodne i pełne światła, rozbrzmiewające śmiechem przyjaciółek Issy, które smażą hamburgery na tarasie i podsłuchują dorosłych.

Mark wpatrywał się w wyblakły szyld: „Bar, grill i tańce”.

- Pewnie mieli pozwolenie na wyszynk alkoholu - stwierdził. -  
Mogłabyś się o to postarać.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Chcesz powiedzieć, że mam tu otworzyć bar? Wzruszył ramionami.

- W końcu masz wykształcenie gastronomiczne, prawda? Mogłabyś otworzyć restaurację.

To dało jej do myślenia.

## Rozdział 14

KILKA TYGODNI PÓZNIEJ, W SŁONECZNY PORANEK, Caroline, Maggie i Jesus wybrali się do szopy, by w niej posprzątać.

Pierwsze słowo, której jej przyszło do głowy, gdy rozejrzała się dokoła to: koszmar. Zaraz potem - niemożliwe. Jesus z wysiłkiem otworzył drzwi wejściowe, bo drewno nasiąkło wodą podczas ulewnych deszczy.

- Boże! - To trzecie wypowiedziała na głos, gdy przekroczyła próg czarnej dziury, która miała stać się jej nowym domem. I restauracją, oczywiście jeśli dostanie pozwolenie na sprzedaż alkoholu. Zaczęła już batalię w tej sprawie. W tej wojnie słowa „inspekcja” i „nadzór” były na porządku dziennym.

- No tak. - Wyraźnie słyszała w głosie Maggie wymuszony optymizm. Przyjaciółka minęła ją, brnęła w ciemność, w stronę drzwi prowadzących na taras. Otworzyła je. Rozchyliły się z niemiłosiernym skrzypieniem. Para kaczek zerknęła na nie obojętnie i ponownie zajęła się czyszczeniem piórek, rozkoszując się porannym słońcem.

Przy drzwiach stały taczki, czekały na pierwsze partie śmieci i gruzu. Caroline spodziewała się brudnej roboty i dlatego włożyła stare spodnie od dresu z logo singapurskiej siłowni oraz pamiętny żółty sweter, w którym odeszła od męża.

Maggie zawróciła do furgonetki, przyniosła kaski i grube rękawice robocze.

- Nigdy nie wiadomo, na co trafimy - stwierdziła.



Jesus na kolanach zrywał stare linoleum. Trzeszczało głośno. Zapewniał, że to dobrze: oznacza, że podłoga jest sucha.

- A więc jest jakaś dobra wiadomość. - Caroline założyła grube rękawice. Maggie już buszowała na półkach: po prostu przesuwiała po nich ręką i z satysfakcją słuchała, jak wszystko z łoskotem spada do wiadra.

Caroline postanowiła zacząć od kuchni, najpierw jednak rozejrzała się na zewnątrz. Pośrodku podwórka dostrzegła zarośniętą rabatę, podzieloną na równe grządki. Pochyliła się, urwała jedną gałązkę. Lawenda, najprawdziwsza lawenda. A tuż obok... czy to możliwe? Bazylia? Tymianek? Pietruszka?

- Mags? Mags, będę miała własne zioła! - zawołała radośnie.

Maggie stanęła w progu, oparła ręce na biodrach i z przerażeniem patrzyła na kuchenny piec, tak brudny, że nie było szans, by jakikolwiek inspektor sanitarny dopuścił go do użytku.

- W życiu nie widziałam czegoś takiego - oświadczyła. - A widziałam wiele. Jestem w końcu ubogą dziewczyną z Meksyku.

Pod Caroline ugięły się nogi, gdy smutna prawda dotarła do niej w całej okazałości. Co ona najlepszego zrobiła? Issy miała rację; nie ma takich pieniędzy i takiego nakładu pracy, które zrobią z tej nory prawdziwy dom, a co dopiero restaurację, nawet gdyby miała doświadczenie w prowadzeniu kuchni, nawet gdyby Issy zechciała tu zamieszkać, czego, jak już zapowiedziała, nigdy nie robi. Nawet gdyby James zjawił się na ratunek i obiecał, że się

wszystkim zajmie, na co już na pewno nie mogła liczyć...

Jesus tylko zerknął na piec i zaraz złapał za komórkę.

Godzinę później na podjeździe zjawiała się wiekowa półciężarówka, pokaszująca na wyboistej drodze. Za kierownicą, ku zdumieniu Caroline, siedział stolarz, którego pamiętała z piątkowych wieczorów w pubie. A więc tym się zajmował? Wywoził rupiecie?

- Hej. - Podszedł do niej. Wsunął kciuki za szlufki džinsów.

Nie omieszkała zauważyć, że bardzo dobrze na nim leżą; właśnie tak powinien wyglądać facet w džinsach.

- Hej - odpowiedziała. Cały czas podziwiała jego sylwetkę.

- Chodzi o piec? - przypomniał.

- Znamy się. - Wzięła się w garść. Uśmiechnęła się. - Widzieliśmy się w pubie.

- Tak. - Pomachał do towarzysza, olbrzyma, który chyba jedną ręką mógłby wnieść cały piec. - To Georgki, murarz. Podobno przyda ci się pomoc. - Zerknął na szopę. - I to delikatnie mówiąc.

Caroline zaprowadziła go przez mały ogródek do starej kuchni. Z kciukami w szlufkach džinsów szacował sytuację.

- Boże, miej nas w swojej opiece - sapnął olbrzym o imieniu Georgki, patrząc na piec.

Stolarz stwierdził:

- Zjedzenie czegokolwiek ugotowanego na tym cholerstwie to murowany szpital.

- Albo i cmentarz - poprawił Georgki, z jak się wydawało Caroline, rosyjskim akcentem.

Stolarz uśmiechnął się do niej.

- Nie przejmuj się, zaraz się z tym uporamy. A tak przy okazji, jestem James.

- O nie! - wymknęło się Caroline, tępo wpatrującej się w rękę, którą do niej wyciągał. Ładną, silną męską dłoń o długich palcach i czystych paznokciach, co nietypowe u mężczyzny pracującego fizycznie.

- Spodziewałem się innej reakcji - stwierdził spokojnie.

- Och! - speszyła się. - Po prostu chodzi o to, że mój były miał... ma na imię James.

- To jak w końcu, miał czy ma? - zażartował sobie z niej.

- To znaczy mój były mąż. Nadal ma tak na imię.

- Jeśli to cokolwiek ułatwi, wszyscy mówią do mnie Jim. Jim Thompson.

Naprawdę ułatwiało.

- Dobra, Jim - mruknęła. Przystojny, co zauważyła już w pubie. Średniego wzrostu, umięśniony wskutek ciężkiej pracy, a nie ćwiczeń na siłowni. Krótkie, ciemne włosy, piwne oczy, które zdawały się wszystko widzieć i wszystko zauważać; w kolejnym zdaniu powiedział, że ma na sobie ten sam żółty sweterek, w którym po raz pierwszy widział ją w pubie.

- Nie mogłem o nim zapomnieć - dodał ze znaczącym uśmiechem.

Caroline wahała się, nie wiedząc, czy potraktować to jako obrazę, czy komplement, aż w końcu z uśmiechem wybrała to drugie.

- Czasy świetności ma już za sobą - odparła i skrzyżowała ręce na piersi, które sweter opinał zdecydowanie za bardzo. Obiecała sobie, że przestanie podjadać tacos Maggie w towarzystwie ślepej kotki. Jak się okazało pewnej nocy, gdy podjadała w kuchni, Ślepa Brenda także zagustowała w zimnych tacos.

Uśmiechnęła się promiennie, także do Georgkiego, który od pierwszego okrzyku nie odezwał się ani słowem, i zapytała, co sądzą o jej szopie.

- Dużo roboty - zauważył Georgki. Podszedł do ściany i przesunął po niej dłonią. Posypał się gruz. -Ale piękna - dodał, a Caroline zrobiło się lekko na duszy. W końcu ktoś poza nią dostrzegł urodę tego miejsca. - Zrobi się, Maggie. - Georgki patrzył na gipsowy sufit i czarne belki. - Szkielet jest dobry.

- Też tak myślę - zawtórowała mu.

- Georgki to murarz. Świetny. - Jim podszedł do pieca. - Dobra, ściągniemy sprzęt i pošlemy grucho-ta na spotkanie Stwórcy.

Wszedł Jesus, który chciał zobaczyć, co się dzieje, i zaraz zaczął mówić w imieniu Caroline; znał się na rzeczy, wiedział, co trzeba zrobić, żeby ta rudera na nowo stała się domem. Wiedział, jakie materiały będą potrzebne i gdzie znaleźć odpowiednich fachowców. Jednym z jego kontaktów był Jim Thompson, który znał wszystkich: elektryków i hydraulików, kierowców, cykliniarzy i dekarzy. I oczywiście Georgki, najlepszy murarz w całym hrabstwie, który zwierzył się Caroline, gdy Jesus naradzał się z Jimem:

- Dobry dom. On do mnie przemawia.

Była zachwycona. Zapytała, co mu powiedział.

- Mówi tak: dzięki Bogu, że mam dobre serce! -Uderzył się w pierś dłonią wielką jak bochen. Ważył co najmniej ze sto dwadzieścia kilo i kiedy uderzył się w klatkę piersiową, coś zabrzęczało. W pierwszej chwili obawiała się, że runie jak długi, bo dostał ataku serca, ale on tylko uśmiechnął się i wyjaśnił: - Pamiętka z czasów, kiedy mnie łątali na wojnie.

- Jakiej wojnie?

- Och, dawno temu, w Serbii, kiedy jeszcze trwała tam wojna. Jestem Rosjaninem, z Ukrainy, ale wylądowałem tam, w serbskim szpitalu. Byli dla mnie bardzo dobrzy. Fajnie.

Serbia? Szpital? Metalowe odłamki? Rosyjski murarz, najlepszy w okolicy, zarezerwowany hen, hen w przyszłość przez nieziemsko bogate żony milionerów, którzy osiedlali się licznie w Cotswolds. Miał mnóstwo zleceń na remonty wiekowych rezydencji, przy których szopa Caroline wyglądała jak domek dla lalek.

- Zgodzę się za mało pieniędzy - oznajmił. Nie pytał nawet, czy w ogóle jest zainteresowana, nie raczył też powiedzieć, co oznacza „mało pieniędzy”.

Caroline to nie obchodziło. Jest najlepszy. Zbuduje jej nowy dom. Załatwione. Zaufała mu.

Zresztą... - tłumaczyła sobie, gdy uścisnęli ręce, czy raczej gdy jej dłoń zniknęła w uścisku Georgkiego tak mocnym, że z trudem powstrzymała jęk bólu - ...zresztą może córka w końcu zmieni zdanie, gdy szopa zmieni się w prawdziwy dom.

## Rozdział 15

ISSY NIE CHCIAŁA ZEJŚĆ NA KOLACJĘ. Caroline zastała ją w pokoju, ciągle w ubraniu, z kociakiem przyciśniętym do piersi.

- Co jest, kochanie? - zapytała. Wyczuła, że nadciągają kłopoty.

- Nienawidzę. - Issy odwróciła głowę.

- Nienawidzisz naszego nowego domu?

- To nie jest nasz dom, mamó, tylko twój. Twój! W życiu tam nie zamieszkałam, w tej szopie.

- Och? - Caroline starała się nie okazywać po sobie żadnych emocji. Co znowu? W końcu udało jej się znaleźć im dom, a Issy zachowuje się, jakby robiła jej na złość. - No to gdzie zamieszkaasz?

- Kiedy skończę szesnaście lat, pójdę do szkoły z internatem.

Issy mocniej objęła kota, przyciskała go do piersi i starała się w jego miękkim futerku ukryć łzy gniewu, frustracji, bezradności - jest za młoda, by żyć na własny rachunek.

- W czasie ferii wsiadam w pierwszy samolot do Singapuru - oświadczyła. - Mogę się założyć, że kiedy tylko wrócę do domu, tata będzie szczęśliwy i zostaniemy razem. Bez ciebie.

- A jeśli nie? - Caroline czuła, że i ją ogarnia gniew.

- Zostanę w domu. Tutaj. W pubie, w Upper Amberley.

Przez dłuższą chwilę patrzyły sobie w oczy. Issy była przekonana, że matka nigdy nie zrozumie jej

gniewu i samotności. Tylko Sam wiedziała, jak jest naprawdę, i może jeszcze Lysander, chłopak, którego poznała w Oxfordzie. Mieszkał w Londynie. Jego rodzice rozwiedli się, kiedy miał dziesięć lat.

- Wiesz, jaki masz problem?! - krzyknęła. - Ciągłe ci się wydaje, że jestem małym dzieckiem, któremu możesz rozkazywać!

- Nigdy ci nie rozkazywałam. - Caroline w ostatniej chwili opanowała się na tyle, żeby nie podnieść głosu. - Byłam dobrą matką - dodała cicho. Sama nie wiedziała, kiedy to się zmieniło i została złą matką.

- Tak, jasne. Zawsze wszystko wiedziałas najlepiej. Matki z zasady niczego nie rozumieją.

Issy leżała na wznak. Przyciskała do siebie Ślepą Brendę.

Caroline pochyliła się, zsunęła z narzuty jej stopy - ciągle w butach.

- No cóż, tak się składa, że jestem twoją matką i masz tylko mnie, na dobre i złe. I do tej pory udało mi się przy tobie wytrwać.

- W przeciwieństwie do ojca, tak? - Issy mierzyła ją gniewnym wzrokiem. - Przypominam ci, mamó, że to ty od niego odeszłaś, nie ja. To ty mnie zabrałaś, bo nie chciałaś mnie z nim zostawić. To ty chciałaś go zranić. Chciałaś odejść i mnie wykorzystałaś, a teraz jestem w pułapce.

Objęła kotkę mocniej, ale Ślepa Brenda wyczuła napięcie i wyzwoliła się z uścisku.

- Widzisz? Nawet ten cholerny kot mnie nie chce! - wrzasnęła Issy.

Caroline opadła na łóżko koło niej, ale Issy odsunęła się niechętnie.

Caroline wstała, podeszła do krzesła, usiadła, ukryła twarz w dłoniach. Nie będzie płakała, o nie, w końcu to ona jest tą silniejszą, tą mądrzejszą. Matką.

Ślepa Brenda przycupnęła u jej stóp. Wzięła ją na ręce i z kotką podeszła do Issy, położyła ją na łóżku i zobaczyła, że córka wyciąga dłoń do zwierzaka.

- Przykro mi - zaczęła miękko Caroline. - Uwierz mi, skarbie, bardzo cię kocham. Zdaję sobie sprawę, że jesteś już prawie dorosła, ale dla mnie nadal jesteś moim maleństwem. Nie chciałam, żeby tak wyszło, ja po prostu... - Westchnęła, szukała odpowiednich słów, by to powiedzieć. - Jestem matką. Uczę się na własnych błędach, jak wszystkie matki. Mam nadzieję, że postępuję właściwie, ale zrozum, muszę spróbować. Nie mogę liczyć na twojego ojca, muszę sama o ciebie zadbać. Dasz mi szansę?

Ciszę przerwało ciche miauknięcie. Issy rozluźniła się, usiadła i zawołała:

- O rany, mamó! Ślepa Brenda zaczęła mówić! To było jej pierwsze miauknięcie!

A potem odwróciła się, ukryła twarz na ramieniu Caroline i się rozpłakała.

## *Rozdział 16*

PRACA W SZOPIE SZŁA PEŁNĄ PARĄ. Z drewnianych belek zdrapano warstwę brudu, aż odzyskały dawny wygląd - Caroline nie wiedziała, czym potraktowano je najpierw, ale potem przyjdzie kolej na cyklinowanie



i polerowanie. A to zapewne skończy się nie mniejszym tumanem pyłu niż ten, który co wieczór otaczał Georgkiego, gdy ten szlifował ściany, zdzierając z nich wieloletni brud i pająki, za co była mu szczególnie wdzięczna. Wolałaby zmierzyć się ze smokiem niż z pająkiem, zwłaszcza w łóżku, w nocy, z bosymi stopami.

Murarz miał na sobie ochronny kombinezon z płótna, z kapturem, do którego przymocowano plastikową zasłonę na twarz. Wyglądał jak chodzący namiot. Trzymał szlifierkę w wyciągniętych dłoniach. Pył otaczał go gęstym obłokiem.

Caroline stała w progu. Skrzyżowała ręce na piersi. Drzwi, wyjęte z zawiasów, oparto o ścianę mikroskopijnego domku. Musiała już wracać do pubu, do kuchni, smażyć steki.

Georgki zsunął z twarzy plastikowy ochraniacz.

- Dzisiaj pójdziemy do pubu w Pangbourne. Nad rzeką. Z łabędziami. Spodoba się. I dobrze gotują. Kupię wino.

Uśmiechał się promiennie i nagle do niej dotarło, że zapraszają na randkę.

- Pangbourne to straszny kawał drogi stąd, za Oxfordem - rzuciła szybko. - W hrabstwie Buckingham.

- Nie, to jeszcze Oxford. Wiem na pewno.

- Hm... Tylko widzisz, Georgki, ja dzisiaj pracuję. No wiesz, w pubie? Ale wiesz co? Wpadnij wieczorem, a upiekę specjalnie dla ciebie placek z kurczakiem. Ja stawiam.

Widziała, jak smętnie zwiesił potężne ramiona i była na siebie wściekła, że mu to zrobiła.

- Albo wiesz co? - dodała. - Jutro urządzimy sobie piknik. Zjemy tutaj, tylko my dwoje. Przyniosę twoje ulubione wino...

- Piwo - poprawił. - Lubię piwo.

No tak, wiedziała o tym, jak mogła zapomnieć!

- No dobra, więc pub dzisiaj wieczorem. Postawię ci piwo San Adams - zaproponowała ze szczerym uśmiechem, zadowolona, że spodobała mu się na tyle, że zdobył się na odwagę i zaproponował jej randkę.

- Wolę Watneys - mruknął, opuścił osłonę na twarz, włączył maszynę i ponownie zajął się pracą.

Wieczorem nie przyszedł do pubu i obawiała się, że sprawiła mu przykrość, ale następnego dnia jak gdyby nigdy nic stawiał się w pracy. Nie wracali do tego tematu.

Dzień później Caroline pojechała do Oxfordu do fryzjera, a gdy wróciła, Maggie posadziła ją za stołem, postawiła przed nią filiżankę herbaty i oznajmiła, że ma jej trzy rzeczy do powiedzenia.

- Trzy? Przecież nie było mnie tylko kilka godzin! - Caroline poprawiła fryzurę. - Co ty na to?

- Pewnie drogo, ale było warto - oceniła Maggie.

- Uff, to dobrze. - Caroline usiadła przy kominku, przerzuciła nogi w dżinsach przez poręcz fotela. - Jakie trzy rzeczy? Mów!

- Nie bój się, to nic złego. Po pierwsze, Issy jest zaproszona na imprezę. W sobotę. Zaprosił ją chłopak. Siedemnastoletni. Nazywa się Lysander Tsornin.

- Siedemnastoletni? Za stary! Zresztą, co to za nazwisko? Lysander Tsornin? Kto to jest? Skąd go zna?

- Ze szkoły, z imprez, przez koleżanki, sama wiesz.

Nie, nie wiedziała. Owszem, woziła dziewczyny do Oxfordu do kina i wiedziała, że często wpadają do kafejki na kawę, pizzę czy inne tanie smakołyki, ale są przecież za młode, żeby włączyć się po klubach. Zazwyczaj spotykały się z koleżankami w ich domach. Zawsze wiedziała, gdzie w danej chwili przebywa jej córka.

- Issy bała się sama ci powiedzieć, więc poprosiła mnie - ciągnęła Maggie. - To całonocna impreza w jego domu.

- W jego domu?

- Dzwoniła jego matka, nie on osobiście. Pani Tsornin. Arabella Tsornin, dokładnie mówiąc. Zostawiła swój numer, gdybyś się chciała z nią skontaktować.

- Mamo? - Issy stała w progu, nerwowo zaciskając dłonie. - Nie zepsujesz tego, prawda? Będę mogła pojechać?

- Tylko razem z Sam. - Caroline uznała, że lepiej wysłać dwie niż jedną.

- Ale Sam nie jest zaproszona.

- A czemu nie?

- No bo Lysander podrywa mnie. Błagalnie złożyła dłonie.

- Mamo, muszę czasami wybrać się gdzieś sama. Za kilka tygodni skończę szesnaście lat.

To fakt, a Caroline niemal o tym zapomniała. A przynajmniej nie myślała. Już po raz drugi córka będzie obchodzić urodziny bez ojca.

- Chcesz iść na imprezę do siedemnastoletniego chłopaka, którego nie znam, i przenocować w domu ludzi, których na oczy nie widziałam?

- Ale możesz ich poznać. Zadzwoń do jego mamy.

Maggie wręczyła jej karteczkę z telefonem pani Tsornin. Caroline spojrzała na kierunkowy.

- Londyn? Ta impreza jest w Londynie?

- Pojadę pociągiem do stacji Paddington - rzuciła Issy szybko.

- Musisz mnie tylko podrzucić do Oxfordu, na dworzec.

I nagle Caroline ustąpiła. Issy ma swoje życie i ma prawo iść na imprezę. Zadzwoń do tej kobiety i wszystko będzie dobrze.

- Co na siebie włożysz? - zagadnęła z uśmiechem.

Zadzwoń do Arabelli Tsornin, bardzo opanowanej i uprzejmej, która zapewniała, że rozumie, że dzwoni, i nie, nie ma się czym martwić, oczywiście zaopiekuje się jej córką.

- Będzie z pięćdziesiąt osób - dodała. - Lysander stwierdził, że musi się rozerwać, jest na kursie przygotowawczym w Oxfordzie i nic, tylko się uczy. Niech Isabel przyjedzie na podwieczorek, będziemy na nią czekać.

Caroline spojrzała na córkę, pobladała ze zdenerwowania, z nadzieją w oczach.

- Będą czekać na Isabel w porze podwieczorku.

- Och, mam, dzięki, dzięki, dzięki! - Issy rzuciła jej się na szyję.

Caroline spojrzała na Maggie.

- Mówiłaś o trzech sprawach. Mam nadzieję, że dwie kolejne są lepsze.

- Dzwonił Georgki, mówił, że skończyli większość robót murarskich. Zabrali się do sprzątnięcia.

- Czyli przewalają gruz z jednej sterty na drugą.

- Chce to oblać. Z tobą. W pubie Pod Starym Łabędziem w Pangbourne.

- Och!

- Powiedziała, że pracujesz, ale prosił, żeby ci to przekazać. I żebyś wpadła rozejrzeć się po swoim nowym domu, bo nie uwierzysz własnym oczom. Tak mi się przynajmniej wydaje, ma tak silny akcent, że nigdy do końca nie wiem, co mówi.

- Ja też. Boże, Mags, co mam robić?

- Moim zdaniem powinnaś iść - odezwała się Issy. - Jesteś mu to winna, mamó.

Miała rację.

- No dobrze, ale to ja go zaproszę na kolację.

- A po trzecie... - Maggie uniosła kolejny palec. - Dzwonił Jim Thompson.

Caroline wstrzymała oddech, czekając, co będzie dalej.

- Powiedziała, że do niego oddzwonisz. - Maggie z uśmiechem opadła na kanapę.

- Ha! - Caroline nie chciała powiedzieć za dużo przy Issy, ale nie zdołała powstrzymać uśmiešku zadowolenia.

- No to do niego też zadzwoń, mamó - stwierdziła Issy wielkodusznie. - Czas, żebyś trochę się rozerwała.

Chyba naprawdę zaczęło do niej docierać, że rodzice nie są już razem.

## Rozdział 17

NIE ODDZWONIĘ TAK OD RAZU. - Caroline naradzała się z Maggie. - Uzna, że jestem nachalna.

- *Amiga*, nie zastanawiaj się, tylko dzwoń. - Maggie posłała jej znaczące spojrzenie, które mówiło: dalej!

Wyszła na zewnątrz, żeby zadzwonić, i nerwowo postukiwała obcasem czarnych butów, wybierając numer. Sygnał. I jeszcze jeden. Jeszcze... jeszcze... Co on, nie słyszał o poczcie głosowej?

- Jim Thompson, słucham.

Zaskoczył ją jego głos w słuchawce. Nagle zdenerwowana, przeczesła palcami świeżo ostrzyżone włosy i skomentowała:

- Jak oficjalnie. Ja mówię tylko: halo. Roześmiał się, przyjemnie, nisko. Ciepło, stwierdziła.

- Nazywasz się Caroline Evans. Tak, dzwoniłem do ciebie. Słuchaj, przykro mi, że ostatnio tak rzadko się pokazuję, ale wyjeżdżałem służbowo. Zrobiłem, co w mojej mocy, załatwiłem ci najlepszych robotników. I Georgkiego.

O Boże. Przypomniała sobie kolację z Georgkim.

- Tak, bardzo dziękuję. Remont już dobiega końca. Wkrótce będę mogła się przeprowadzić, może nawet w przyszłym tygodniu.

- Znam kogoś, kto ci pomoże.

- Jeden pomocnik chyba nie wystarczy.

- Taki jak ja, młody i silny, który pracuje za dwóch?

Roześmiała się.

- Ile właściwie masz lat?

- Dwadzieścia siedem.

Jeżu! Dwadzieścia siedem. Żałowała, że zadała to pytanie.

- A ty? - usłyszała w słuchawce.

- Cóż, powiem tak: moja córka jest prawie w twoim wieku.

- Nieprawda. Issy ma piętnaście lat.

- Skąd wiesz?

- Mam swoje sposoby, stąd też wiem o tobie. Zamieszkał w małej wiosce, przesiaduj w pubie i to wystarczy, by wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. W Upper Amberley nie ma tajemnic. Najgorsza jest Veronica Partridge. Zdradziła mi, że wszystkie informacje zdobywa w kościele i na poczcie.

- Nigdy więcej tam nie pójde - oświadczyła, a zarazem pomyślała, że teraz on już przynajmniej wszystko o niej wie, więc równie dobrze może przestać się denerwować. - No więc mam trzydzieści osiem lat i jestem rozwódką - zakończyła.

- I nadal się z tym nie uporałaś - skwitował. Zesztywniała, jak zawsze, gdy rozmowa wchodziła na zbyt osobiste tematy.

- Właściwie dlaczego dzwoniłeś? - zapytała ostro.

- Chciałem zaprosić cię na kolację. Sobota wieczorem. Zainteresowana?

- Och. - Zamyśliła się. Od siedemnastu lat nie spotykała się z innymi mężczyznami, tylko z Jamesem. Nie wiedziała, czy jeszcze pamięta, jak zachować się na randce. - Na kolację - powtórzyła. - Jak

miło. Dziękuję. - Zgodziła się, nawet chwili wahania. Czyli wcale się nie zmieniła. Nadal pakuje się we wszystko bez zastanowienia. - Ale chwileczkę -dodała. - W soboty pracuję, nie dam rady.

- Nie przejmuj się, przekupię Maggie. Słuchaj, to takie małe przyjęcie, na szesnaście osób. Polubisz ich, przynajmniej większość. Może także mnie, na tyle, żeby się zgodzić?

- No, dobrze. - Teraz już śmiała się w głos.

- Przyjadę po ciebie o wpół do ósmej - zakomunikował. -A, i jedna prośba: nie wkładaj tego żółtego sweterka. - Rozłączył się ze śmiechem.

Caroline wróciła do pubu, zatraskując za sobą kuchenne drzwi.

- Mam randkę - powiedziała ze zdziwieniem w głosie.

- W takim razie tobie też będzie potrzebna nowa sukienka - stwierdziła Issy.

## *Rozdział 18*

OD SPOTKANIA z MARKIEM ROZWAŻAŁA, czy przyjąć jego propozycję pomocy finansowej. Gotówka była jej bardzo potrzebna, ale nie miała ochoty rezygnować ze świeżo zdobytej niezależności, a poza tym nie chciała, żeby pomyślał, że interesuje ją jakikolwiek bliższy związek. W końcu jednak uległa, gdy zadzwonił i oznajmił po prostu:

- Caroline, tu nie chodzi tylko o remont starej szopy. Potrzebna ci też kuchnia z prawdziwego zda-



rzenia, a to kosztuje. Dalej, musisz doprowadzić to miejsce do porządku. Umeblować. No wiesz, miękkie kanapy, wygodne fotele, zastawa stołowa, oświetlenie. Musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Potrzebne ci pieniądze.

- We wszystkich wiejskich restauracjach są miękkie kanapy i srebrne lichtarze - zachnęła się. - U mnie będzie inaczej.

- Inaczej czy nie, to wszystko i tak kosztuje. Caroline, jestem twoim jedynym wyjściem. Weź mnie na cichego wspólnika. Obiecuję, że nie będę się wtrącał, możesz robić, co chcesz. Przesyłam ci umowę i otwieram rachunek bankowy na naszą restaurację-

Nie wiedziała, czy to okaże się jej zbawieniem, czy gwoździem do trumny, ale ponieważ ciągle nie wygrała w totolotka, musiała zaryzykować.

Aż w końcu remont dobiegł końca i zaprosiła Maggie z Jesusem, by obejrzeni efekt końcowy. Zatrzymali się na końcu podjazdu, by podziwiać budynek z daleka. Ciszę przerywały jedynie porykiwanie krów i cichy szmer rzeczki. Tego dnia nie było kaczek, robotników, wiertarek. Cisza i spokój.

Więc dlaczego Caroline nagle poczuła, jak jej serce ściska się boleśnie? Ze strachu na myśl o tym, na co się porwała, o długach, pożyczkach, odpowiedzialności? Skąd jej w ogóle przyszło do głowy, że akurat ona, bez doświadczenia, odniesie sukces?

Georgki czekał - chciał ich oprowadzić. Jej restauracja in spe to na razie tylko puste pomieszczenie z białym sufitem i czworgiem przeszlonych drzwi na taras.

- Bardzo tu pusto - stwierdziła Maggie z powątpiewaniem.

- To przez ten sufit. W takich wiejskich szopach jest zazwyczaj bardzo wysokie sklepienie, ale tutaj, nie wiadomo dlaczego, wyszło to inaczej i powstały dodatkowe piętra. - Caroline wpatrywała się w nagi sufit i nagle wpadła na kolejny doskonały pomysł. - Już wiem - powiedziała. - Zakryjemy go żaglem. Kremowe płótno, wydymające się jak żagiel na wietrze. Bardzo romantyczne, prawda? - dodała, zachwycona własną kreatywnością.

- Hm - mruknęła Maggie z powątpiewaniem, a Jesus tylko pokręcił głową.

- I nie będzie żadnych słodkich fotelików z perkalem. Zamówię krzesła z serii Ghost, od Philippe'a Starka, obite ciemnobrązowym płótnem. Do tego obrusy taupe. Nienawidzę podkładek - dodała. - Wyglądają tandetnie, jakby restauracji nie było stać na pranie obrusów.

- Bo nie stać - zauważyła Maggie.

- Och. No, tak. - Caroline nie pozwoliła, by tak przyziemne sprawy jak pranie ściągęły ją na ziemię. - Pojedynczy kwiat w szklanej kuli - ciągnęła. - Dalia, może gerbera, ewentualnie róża z ogrodu.

- Przecież nie masz ogrodu różanego - wtrącił Jesus.

Wzruszyła ramionami.

- Wiesz, o co mi chodzi. Równie dobrze może to być powój albo koniczyna z łąki...

- Chcesz stawiać koniczynę na stole? - Maggie była oburzona. Caroline się spieszyła.

- No nie wiem, ale na pewno pod ścianami ustawimy długie ławy, będą potrzebne boczne kinkiety i różne drobiazgi. - Zdawała sobie sprawę, że brzmi to jak gadanina gospodyni domowej, której marzy się odrobina luksusu.

Poszli na górę, żeby obejrzyć jej nowe mieszkanie.

- Dobrze, tak? - upewniał się Georgki.

Oglądali gładkie posadzki z drewna kasztanowego, wapienny kominek, czysty i lśniący, błyszczące okna. Kolejne schody i oto ich oczom ukazała się malutka kuchenka. Piętro wyżej były dwie łazienki i dwie sypialnie. Caroline zaszalała i zamówiła drogą wannę z hydromasażem, ale wyobrażała sobie, jaką ulgę przyniesie obolałym stopom po kilkunastu godzinach na twardej kamiennej posadzce.

I nagle restauracja na odludziu wydawała się bardzo rzeczywista. Przeraziła się. Tkwiła po uszy w długach, zaciągnęła pożyczki w banku, u ojca i Marka, cichego współnika. A w jej restauracji jeszcze nawet nie ma kuchni.

Jesus poszedł po szampana, którego przyniósł, by mieli czym opijać tę chwilę. Usiedli na tarasie i wznieśli toast za przyszłość Caroline, a rzeka snuła się leniwie, obmywała głązy, jak zawsze, od zarania dziejów. I tak będzie po wsze czasy.

Nagle Caroline poczuła, że kamień spadł jej z serca. Obowiązki okażą się przyjemnością, praca - niezbędną częścią życia. Pokocha to miejsce, ten dom. I nareszcie będzie sobą.

## Rozdział 19

Z SAMEGO RANA CAROLINE ZADZWONIŁA do specjalistów od instalacji kuchennych, żeby potwierdzić poniedziałkowy termin, a potem ustaliła termin przeprowadzki z najtańszą firmą przeprowadzkową, którą prowadzili oksfordzcy studenci.

W ten weekend miała się odbyć londyńska impreza Issy. Caroline nadal nie była przekonana, że to dobry pomysł, zwłaszcza że to tak daleko do domu, a ten chłopak ma siedemnaście lat. Cóż, za późno, by zmienić zdanie. Teraz musi zabrać córkę na zakupy do Oxfordu. Sobie też musi coś kupić - idzie przecież na kolację. Na kolację na angielskiej prowincji, czyli perły i pogaduszki. Mimo wszystko cieszyła się na spotkanie z Jimem. Słodkim Jimem. Za młodym Jimem, upomniała się. A potem stwierdziła, że ma gdzieś konwenanse, będzie się po prostu dobrze bawiła.

Dziewczyny z wprawą przeglądały zawartość wieszaków w sklepach Miss Selfridge i Zara. Issy pokazała Caroline czarną sukienkę.

- Czerń? O nie - orzekła stanowczo.

- A czerwień? - Issy zademonstrowała spódniczkę pasującą chyba na sześciolatkę i jeszcze mniejszą bluzeczkę.

- Czerwień też nie - odparła Caroline jeszcze surowiej. - Zresztą w tym będziesz miała całe piersi na wierzchu.

Dziewczęta zaczęły chichotać. Caroline westchnęła, obawiała się, że nigdy ich stamtąd nie wy-

ciągnie. W końcu jednak znalazły coś, co podobało się Issy i nie budziło specjalnych sprzeciwów Caroline. Prosta niebieska sukienka, krótsza niż powinna, zdaniem matki, ale Sam tłumaczyła, że teraz takie się nosi. Była na ramiączkach, Caroline uparła się więc, że Issy musi coś na nią narzucić. Wybrały czarne bolerko i buty - mimo protestów matki, Issy udało się namówić ją na czarne koturny z paskiem w kostce. Według Caroline były za wysokie i za dorosłe.

- Ależ mam, mam już prawie szesnaście lat! - usłyszała w odpowiedzi.

Ponieważ nogi Issy były białe jak mąka, a uparła się, że za żadne skarby świata nie włoży rajstop, zwłaszcza do takich butów, wstąpiły do drogerii i kupiły złocisty samoopalacz. Na podróż Issy wybrała czarną spódniczkę i biały sweterek, Caroline obiecała, że pożyczy jej swój kremowy trencz. Potem przyszła kolej na zakup bielizny u Marksa i Spencera. Caroline nie wierzyła własnym oczom, gdy małolaty wybrały stringi. Zostawiła dziewczynki w kawiarni i poszła poszukać czegoś dla siebie.

Oczywiście jest za stara, żeby ubierać się w Żarze, ale wypatrzyła tam sukienkę. Nie śmiała jej przymierzyć pod krytycznym wzrokiem nastolatek, ale teraz zdjęła rozmiar czterdzieści z wieszaka i pobiegła do przymierzalni. Skrojona ze skosu, z jasnozielonej jedwabnej dzianiny, z głębokim dekoltem, krótkimi rękawkami i wąską spódnicą. Pod cienką tkaniną odznaczała się bielizna. I nie tylko.

Z przerażeniem patrzyła na swoje odbicie. Za żadne skarby tego nie włoży.

Do przymierzalni zajrzała sprzedawczyni.

- Proszę spróbować czterdzieści dwa - poradziła. - Ten model ma zaniżone rozmiary.

Rzeczywiście, czterdzieści dwa leżało lepiej, ale nadal nie wyobrażała sobie, że wkłada majtki pod taką kreację. Chyba że stringi. Kupiła tę sukienkę i beżowe zamszowe szpilki. Idąc po dziewczynki, kupiła też stringi, a potem już z Issy i Sam pojechała do domu. Miała nadzieję że jej karta kredytowa przeżyje to szaleństwo.

Oczywiście później miała wątpliwości co do sukienki, choć Maggie zapewniła ją, że wygląda fantastycznie, gdy się jej pokazała.

Ustalono plany na sobotę - Sam przenocuje u koleżanki, Sarah zajmie się kuchnią, przy pomocy Lily, której siostra zaopiekuje się Małym Billym w saloniku na piętrze.

Wszystko gotowe. Issy jedzie na imprezę. A Caroline idzie na randkę.

Ale w nocy, sama w łóżku, przyznała przed sobą, że wolałaby spotkać się z Jamesem, nie z Jimem.

## *Rozdział 20*

W DNIU IMPREZY ISSY STAŁA przed wielkim lustrem w pokoju Sam w nowej czarnej spódnicy. Co prawda nie ołówkowa, ale krótka i choć nikt inny tego nie potwierdził, Issy uznała, że ma ładne nogi.

- I co ty na to? - Niespokojnie patrzyła na obcisły biały sweterek, który udało jej się przemycić pod czujnym wzrokiem matki; w końcu to tylko sweterek,

więc cóż może być z nim nie tak? - Mam w tym za duże piersi?

- Za duże chyba nie - odparła lojalna przyjaciółka. - Ale jest chyba trochę za obcisły.

- Ale tak się nosi. - Issy przyglądała się sobie niespokojnie. - Właściwie mogę go rozpiąć i włożyć pod spód koszulę - stwierdziła. Nie była pewna, czy starczy jej odwagi, by tak paradować przed Lysandrem, że już nie wspomni o innych gościach na imprezie. Na pewno będą od niej starsi, w końcu Lysander jest starszy, a to będą jego przyjaciele.

- Kiedy mu powiesz, ile tak naprawdę masz lat? - Sam opadła na poduszki i skrzyżowała ręce na piersi. Ślepa Brenda z piskiem wysunęła się spod oparcia. - Och, przepraszam, malutka. - Przytuliła kociaka do piersi.

- On myśli, że mam szesnaście, ale moje urodziny są już za kilka tygodni, więc co to za różnica?

Mimo to nagle ogarnęło ją zdenerwowanie. Usiadła koło Sam.

- Słuchaj, a może nie powinnam jechać na tę imprezę? Przecież nie znam tam nikogo poza Lysandrem, a jego też kiepsko, tylko kilka razy widzieliśmy się w Oxfordzie.

- I to zawsze w miejscach publicznych, na papierosie.

- Wiesz, że nie palę.

- Jutro możesz zacząć. - Sam widziała to już nieraz i wiedziała, że presja otoczenia bywa nie do zniesienia. - Martwię się, że jedziesz sama - dodała. Wyprostowała się, zebrała jasne włosy w koński ogon.

- Lysander jest inny, wiecznie imprezuje. Przy nim czuję się jak mała dziewczynka. A my nie jesteśmy już dziećmi. Najwyższy czas, żebym zobaczyła, jak żyją normalni ludzie, a nie ograniczała się tylko do Oxfordu, szkoły i tej cholernej szopy, która według mamy ma być naszym domem i przynieść jej fortunę. - Wydawała się bardzo pewna siebie, ale w głębi serca była przerażona, że jedzie sama.

- Jeszcze nie jest za późno, możesz zrezygnować - zauważyła Sam.

Issy ponownie spojrzała w lustro. Może ten sweterek nie jest taki zły? Rozpięła trzy górne guziki, założyła złoty łańcuszek mamy. Mała torba podręczna leżała spakowana. Była gotowa. Caroline zawiezie ją na dworzec, a potem podrzuci Sam do koleżanki w Oxfordzie.

- Zadzwoń i wszystko ci opowiem - zapewniła. Włożyła najlepszy płaszcz Caroline, kremowy trencz, który wyglądał zabójczo do jej czarnych kozaczków i nóg, złocistych od samoopalacza.

- Nieźle, choć sama to mówię - stwierdziła i uśmiechnęła się nerwowo do Sam.

- Super - lojalnie zapewniła ją przyjaciółka.

## *Rozdział 21*

POCIĄG DO LONDYNU OKAZAŁ SIĘ wiekową ciuchcią, która zatrzymuje się na każdej stacji. Matka kupiła jej kolorowy magazyn na drogę, ale Issy była tak zdenerwowana, że nie mogła czytać.



A co, jeśli już zjedli podwieczorek, wszyscy się rozeszli i w domu Lysandra nikt na nią nie czeka? A jeśli w ogóle o niej zapomniał? Nie, to niemożliwe; dzwonił rano i mówił, że później się zobaczą. „Już niedługo, mała”, dodał.

Lysander zawsze zwracał się do niej „mała” i Issy bardzo się to nie podobało. Wolałaby, żeby mówił do niej po imieniu, ale wyśmiał je, kiedy poznali się trzy tygodnie temu w modnej kafejce i przedstawiła się właśnie jako Issy.

- Brzmi jak Bambi - stwierdził kpiąco. Zaczerwieniła się wtedy i wyjaśniła, że tak naprawdę ma na imię Isabel, ale ojciec zawsze nazywa ją Issy.

- A gdzie właściwie jest twój ociec? - Był na tyle bystry, że wychwycił nutę wahania w jej głosie, gdy o nim mówiła. Odparła, że pracuje w Singapurze, ale przyjeżdża, kiedy to możliwe.

- Jasne - mruknął. Domyślał się, jak jest naprawdę, że jej rodzice się rozstali. Opowiedział o rozwodzie swoich rodziców, o tym, że ma to już za sobą. Nonszalancko wzruszył ramionami, uśmiechnął się zawadiacko i poradził, żeby przestała zawracać sobie tym głowę.

Był na kursie przygotowawczym w Oxfordzie, poznała go w knajpce i od razu straciła głowę.

Od tego czasu widziała go kilka razy. Byli razem w kinie, oczywiście w towarzystwie Sam, ale Lysander i tak trzymał ją za rękę. No, nie do końca; wziął jej dłoń i położył sobie na brzuchu. Zaskoczyło ją to, ale uznała, że to czuły, zmysłowy gest, zresztą przecież wcale go nie dotykała. Nawet jej wtedy nie pocałował, bo byli z Sam. Całowała się już wcześniej i nie

uważała, by to było coś fantastycznego, ale później, kiedy pocałował ją na dobranoc, głęboko, przeszył ją cudowny dreszcz. Dotknął jej piersi i pocałował znowu, tym razem już bez języka, i powiedział, że jest śliczna, słodka i bardzo seksowna. Powiedział też, że organizuje imprezę, i obiecał ją zaprosić. A teraz, jadąc do niego, denerwowała się tak bardzo, że prawie żałowała, że zgodziła się przyjść.

Na szczęście pociąg w końcu wtoczył się na stację Paddington. Porwała torbę i wybiegła z przedziału, zanim inni pasażerowie zdążyli wstać. Kolejka do taksówek posuwała się powoli i dopiero po dziesięciu minutach Isabel wsiadła do samochodu.

Dom Lysandra znajdował się w modnej dzielnicy Bayswater, niedaleko Hyde Parku. Była to biała budowla z czarnymi okiennicami, lśniącoymi oknami i ciemnymi drzwiami, których strzegły pnące krzewy.

Dwukrotnie nacisnęła mosiężny dzwonek, zanim w drzwiach stanęła dziewczyna, która wyglądała jak modelka. Miała cudownie proste jasne włosy i duże niebieskie oczy z cieniami na powiekach. Ubrana była w dżinsy i klapki japonki, które odsłaniały paznokcie pokryte turkusowym lakierem. Issy jeszcze nigdy nie widziała takiego pedikiuru.

Dziewczyna taksowała ją wzrokiem.

- Chyba na ciebie czekają.

Cofnęła się, wpuściła Issy do środka, zamknęła drzwi i odeszła, nie zwracając na nią uwagi.

- Kto to? - Ze schodów zeszła szczupła kobieta z plikiem dokumentów. Patrzyła na Issy z taką miną, jakby nie wiedziała, kto to jest i co tu robi.

- Jestem Isabel. Przyjaciółka Lysandra.

- Ach tak, Isabel! Oczywiście. - Pani Tsornin uśmiechnęła się szeroko. - Rzuć tu torbę i płaszcz i idź do salonu. Już tam są. Później Lysander pokaże ci twój pokój. Ja nie mam teraz czasu, mam pełne ręce roboty...

Issy zdjęła płaszcz i zgodnie z poleceniem zostawiła na ławce w holu. Wolałaby mieć na sobie dzinsy i koszulkę, jak ta dziewczyna, obawiała się też, że w tym świetle widać, że opalenizna na jej nogach pochodzi z drogerii. Stałaby tak w przedpokoju do końca świata, gdyby w końcu nie zebrała się na odwagę i nie weszła, starając się nie zwracać na siebie uwagi, do pokoju, z którego dobiegał harmider.

Zobaczyła Lysandra, pogrążonego w rozmowie z grupką przyjaciół. Jakimś cudem on też ją zauważył. Podeszedł do niej i cmoknął ją w policzek.

- Fajnie, że jesteś - powiedział, wziął ją za rękę i zaprowadził do grupki chłopaków, którzy palili jak smoki i mierzyli ją wzrokiem. - A to Issy - przedstawił ją i nonszalancko objął ramieniem. - Przyjechała do nas aż z Oxfordu - dodał i nie wiadomo dlaczego, wszyscy zaczęli się śmiać. Pewnie dlatego, że tam studiują.

- Chodź, napijemy się - zwrócił się do niej. - Potem Miranda zaprowadzi cię do pokoju.

- Kim jest Miranda? - Były to jej pierwsze słowa, nie licząc szybkiego powitania.

- Wkrótce się dowiesz - odpowiedział jeden z przyjaciół Lysandra ze złośliwym uśmiechem, ale w tej chwili Lysander wziął ją za rękę i poczęstował herbatą i ciastem, na które nie miała ochoty. Był

naprawdę przystojny: szerokie barki, wąskie biodra, wysoki, niebieskooki, ciemnowłosy, wyzywająco uśmiechnięty, w ciemnych dżinsach.

- Będziemy się świetnie bawić - zapewnił z uśmiechem.

A potem zaprowadził ją do jej pokoju na piętrze i trzeba się było szykować na imprezę.

## *Rozdział 22*

TYMCZASEM W PUBIE POD GWIEZDNYM PŁUGIEM Maggie krzątała się w kuchni przy pomocy Sarah, powszechnie znanej jako Sarah Córka Młynarza, a to dzięki jasnej karnacji. Tego wieczoru chwilowo awansowała na szefową kuchni i uwijała się przy stekach, frytkach i sosach. Lily, jej pomocnica, co chwila wybiegała na salę, nosząc po pięć talerzy - dwa na jednej ręce, trzy na drugiej. Jednocześnie nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła wrócić do baru i flirtować z chłopakami. „Bo to o wiele fajniejsze niż zajmować się marudnym dzieciakiem i oglądać samej telewizję”, zauważyła z promiennym uśmiechem, odrzucając na ramię długie rude włosy.

- Upuści to - stwierdziła Sarah zrezygnowanym tonem. - Wszystko leci jej z rąk, nawet mój synek.

- Upuściła Billy'ego? - Maggie była przerażona.

- Tylko na kanapę, spokojnie. Mówi, że tak się z nim bawi, i mały rzeczywiście chichocze. Unosi go odrobinę, kilkanaście centymetrów, i puszcza.

Maggie pokręciła głową.

- Lepiej niech się uspokoi, ona sama nie wie, co robi.

- A właśnie, że wiem - zaperzyła się Lily. - Mam trzech młodszych braci i ze wszystkimi się tak bawiłam. I wszyscy mają nadal głowę na karku. - Uśmiechnęła się promiennie, wzięła misę sałatki i rzuciła przez ramię: - Pospiesz się, Sarah, bo inaczej Maggie przyczepi się do ciebie, nie do mnie.

- Pieprz się - odparła gładko Sarah i zwinnie przewróciła stek.

- Sarah! - Maggie nie posiadała się z oburzenia. - Nie przy dziecku!

- Och, przy nim nigdy nie przeklinam. - Sarah nałożyła farsz do tacos, ułożyła je na talerzu, dodała łyżkę kwaśnej śmietany i salsę ze świeżych pomidorów, kolendry, cebuli i kilku kropel tabasco. Ten sos, *pico de gallo*, bywał łagodny, albo, w zależności od tempa Sarah, tak ostry, że palił usta żywym ogniem, ale goście lubili go w każdej wersji. A w każdym razie nigdy nie narzekali.

Maggie westchnęła. Nie rozumiała dzisiejszej młodzieży: samotne matki, bez mężów, w pojedynkę zmagają się z życiem, z trudem wiążąc koniec z końcem. Choć kiedy o tym pomyśleć, sytuacja Caroline niewiele różni się od położenia Sarah, po prostu przyjaciółka jest starsza, a Issy to już nastolatka.

Była dziewiętnasta dwadzieścia pięć i Maggie lada chwila spodziewała się efektownego wejścia Caroline. Pomyślała, że przyjaciółkę czeka nie lada niespodzianka z Jimem Thompsonem. Co prawda sama nie знаła go osobiście, tylko z jego wizyt w pubie, ale wiedziała, kim jest. Jak chyba wszyscy.

Poza Caroline, ale postanowiła jej niczego nie mówić, niech sama wyrobi sobie własne zdanie. Jak kobieta na temat mężczyzny. Tak powinno być.

- No, to jestem. - Caroline weszła do kuchni. Wydawała się bardzo wysoka na obcasach i w krótkiej sukience. Jasnozielona sukienka maskowała jej biodra i podkreślała biust, który jak zauważyła Maggie, Caroline i tak starała się ukryć pod sznurem koralu i srebrną broszką.

- To prezent od Issy. Na szczęście - wyjaśniła Caroline. W jej uszach lśniły kolczyki z brylantami; wspomniała kiedyś, że to prezent od męża sprzed lat. Obrączkę z brylantem nosiła teraz na prawej, nie na lewej dłoni. Ciemne włosy spływały miękko na ramiona, niesforną grzywkę spięła małą spinką. Maggie stwierdziła, że dzięki temu wydaje się młodsza.

Caroline obróciła się niespokojnie.

- Nie uważasz, że za bardzo się wystroiłam jak na kolację na angielskiej prowincji?

Sarah oderwała wzrok od garnków.

- A nawet jeśli, co z tego? Wyglądasz fantastycznie. - Uśmiechnęła się i Maggie pomyślała, że wygląda na siedemnaście lat, choć naprawdę miała zaledwie dziewiętnaście.

Serdecznie uściskała Caroline. Po raz pierwszy zobaczyła w niej atrakcyjną kobietę, a nie, jak zawsze, wiecznie zabieganą, zmęczoną matkę w dzinsach i swetrze. Przyjrzała jej się uważnie.

- Zastanawiałaś się kiedyś nad szklami kontaktowymi?

- Próbowałam. Nie wytrzymałam. Mam do wyboru: soczewki i zażawione oczy albo okulary butelki,

a ponieważ bez nich jestem ślepa jak kret, wybieram okulary. Jak mu się nie podoba, niech spada na drzewo.

- Nie ma mowy - zapewniła Sarah, mierząc ją wzrokiem. - Łyknie je jak gęś, uwierz mi. Jeśli tego nie zrobi, oszalał.

Zachichotały i właśnie w tej chwili Lily wpadła do kuchni, upuściła dwa talerze, zakłęła, podniosła wzrok i zobaczyła Caroline.

- O Jezu - sapnęła ze zdumieniem. - Nie miałam pojęcia, że mamuśka może tak świetnie wyglądać.

- No widzisz. Uważaj na to, co mówisz, i natychmiast pozbieraj te skorupy, zanim ktoś się na nich zabije - rzuciła Maggie, ostro, ale z uśmiechem.

Caroline otuliła się turkusowym szalem, starannie zasłaniając kobiece krągłości.

- No tak, żeby przypadkiem nie zauważył, jaka jesteś kobieca!  
- Maggie poprawiła szal tak, że ją otulał, ale nie zasłaniał. - Nie zapominaj, kim jesteś, Caroline Evans - dodała, podała jej małą, czarną wieczorową torebkę i zaprowadziła do drzwi, gdzie już czekał Jim; wiedziały to na pewno, bo Jesus zawiadomił je, kiedy tylko Jim wszedł do pubu. - Baw się dobrze - powiedziała, a Caroline nerwowo uśmiechnęła się przez ramię i wyruszyła na pierwszą randkę od siedemnastu lat.

## *Rozdział 23*

MIAŁ NA SOBIE MARYNARKE I KRAWAT i stał przy smukłym, srebrzystym wozie sportowym. Czekał na nią.

- O rany - zaczęła. - A gdzie trociny?

- Dla ciebie posprzątałem.

- Coś takiego.

Roześmiali się oboje. Przyglądał się jej z podziwem.

- Pięknie wyglądasz.

- Nie za bardzo się wystroiłam jak na wiejską kolację?

- Idealnie. - Pomógł jej wsiąść do samochodu.

- Myślałam, że przyjedziesz półciężarówką -oznajmiła, patrząc na drogą skórzaną tapicerkę. -Co to właściwie jest?

- Maserati. Taki malutki.

- Ha! Najwyraźniej za dużo ci płacę! Albo skądś go pożyczyłeś, żeby mi zaimponować. - Żartobliwie trąciła go w bok. Jechali spokojnie, płynnie, przez mostek i dalej, w czarną wiejską noc.

- Jest mój. - Skręcił w drogę, która prowadziła w stronę jej szopy. - Zapłaciłem za niego ciężką pracą.

- Ech, te wiejskie bogaczki, które płacą wam majątek za remont ich posiadłości, a ty i Georgki uwijacie się jak w ukropie.

- Westchnęła. Nagle coś sobie przypomniała. - Mam randkę z Georgkim. Zabiera mnie do pubu Pod Starym Łabędziem w Pangbourne.

- Spodoba ci się tam. Łabędzie są piękne, choć bywają agresywne, rzeka jest szeroka, są na niej nawet wodospady.

- Chcesz powiedzieć: w przeciwieństwie do mojej wąskiej rzeczutki z kilkoma kamykami i stadem kaczek - stwierdziła z udawanym oburzeniem. Rozbawiła go.



Spojrzała na niego i nagle, nieoczekiwanie, miała ochotę go pocałować. Ale przecież nie może poprosić, żeby się zatrzymał, i zrobić tego tu i teraz. Nie, skądże. Wtedy uzna ją za sfrustrowaną rozwódkę, która nie może się doczekać, kiedy go dopadnie. Bo też taka jest prawda.

- Flirciara z ciebie, Caroline - zauważył.

- A flirtowałam z tobą? - Uśmiechnęła się. Czyli nadal umie to robić, mimo wszystko.

Zdziwiła się, gdy skręcił w drogę prowadzącą do jej szopy.

- Chyba nie zabierasz mnie na kolację do mnie? - zapytała.

- Nie.

Znowu skręcili, tym razem minęli bramę, której strzegły kamienne lwy. Na końcu długiego podjazdu czekała imponująca rezydencja.

- Do mnie - wyjaśnił. - Czy raczej do mojej rodziny.

Opadła na miękkie skórzane oparcie. Co on wyprawia? Zabierają na rodzinną kolację? Co on sobie myśli? Jest mężatką, no dobra, rozwódką, ma piętnastoletnią córkę. I jest od niego o jedenaście lat starsza. Pracuje w pubie, zasuwa w kuchni, a on mieszka w kilkusetletniej rezydencji. Powróciły wszystkie obawy i kompleksy. Powinna natychmiast wysiąść, wrócić do bezpiecznej anonimowości kucharki, trzymać się z dala od ludzi takich, jak jego krewni. Zapewne uznają, że jest jego podstarzałą kochanką, takim kaprysem. Oczywiście dopóki mu się nie znudzi, bo wtedy ożeni się z odpowiednią dziewczyną, taką jak oni.

- Nie jesteś zadowolona - stwierdził.
  - Skąd ten pomysł? - zapytała lodowatym tonem.
  - To widać.
  - Czyżby? - Poprawiła na nosie okulary w czerwonych oprawkach i spojrzała na niego. Spod spinki wysunęły się niesforne kosmyki.
  - Tak, bo wydaje ci się, że cię oszukałem. Miałaś mnie za zwykłego stolarza, którym zresztą w pewnym sensie jestem.
  - W pewnym sensie.
  - Naprawdę jestem stolarzem, ale nie ograniczam się do naprawiania zepsutych sprzętów. Sam projektuję i tworzę, a chciałem cię dzisiaj tu przywieźć, bo mam coś dla ciebie.
- Złagodniała. Spojrzała na niego.
- Właściwie brakuje mi tych trocin.
  - Mówiłem ci, że dla ciebie się ogarnąłem. Chwila ciszy.
  - Popatrz na nas - szepnął. A potem pochylił się nad nią i pocałował ją lekko w usta, które rozchyliła ze zdumienia, więc pocałował ją jeszcze raz. - Miałem na to ochotę od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem w tym cudownie obcisłym żółtym sweterku -dodał.
  - O Boże, o Boże - sapnęła nerwowo, ale nie zdradziła mu, że jest pierwszym mężczyzną, z którym się całowała od czasów Jamesa, a w tej chwili wołała sobie nie przypominać, jak dawno to było. Jego usta były takie... cudowne. Tylko to słowo przychodziło jej do głowy. Sprawiały, że ugięły się pod nią kolana, drżała.

Odsunęła się, niespokojnie wyjęła szminkę z torebki i musnęła nią wargi, które przed chwilą całował.

Wysiadł, obszedł samochód, wziął ją za rękę i pomógł wysiąść z maserati.

- Chwileczkę. - Odzyskała jasność myślenia. - Muszę zadzwonić do córki, dowiedzieć się, jak sobie radzi na tej imprezie w Londynie.

Issy nie odbierała. Zaniepokojona, zostawiła jej wiadomość:

- Issy Evans, natychmiast zadzwoń do matki i powiedz mi, gdzie jesteś i że wszystko w porządku.

A potem weszła na szerokie schody prowadzące do zabytkowego dworu, u boku bardzo, bardzo przystojnego i zdecydowanie zbyt młodego Jima Thompsona.

## *Rozdział 24*

ZA DRZWIAMI POSIADŁOŚCI THOMPSONÓW czekał przestronny hol, w którym posadzka z ciemnego drewna lśniła jak lustro, z wysokiego sklepienia uśmiechały się aniołki, a z herbów i symboli historia rodziny, co do tego nie miała wątpliwości. Rzeczona rodzina stała zresztą w holu, popijała, zdaje się, szampana z wysokich kieliszków z łydką mięty, elegancka, wystrojona - jakby żywcem wyjęta z ilustracji w piśmie „Town and Country”. Z ukosa zerknęła na Jima.

- Dzięki, że mnie uprzedziłeś, że bym nie wkładała żółtego sweterka.

- Wyglądasz wspaniale - skwitował. Wziął ją za rękę i podszedł do kobiety w długiej czerwonej sukni. Rude włosy upięła w kok na czubku głowy.

- Caroline, poznaj Jenny, moją bratową.

- Bardzo mi miło. - Jenny uśmiechnęła się serdecznie. - Choć muszę przyznać, że odkąd dowiedziałam się, że świetnie gotujesz, obawiam się, że nie będziesz zachwycona moją kolacją.

Podszedł do nich mężczyzna bardzo podobny do Jima, może trochę starszy i przystojniejszy, o jasnych włosach i starannie przystrzyżonych wąsach -jego brat, to widać od razu. Rubasznie poklepał Jima po plecach, a do Caroline powiedział:

- Uważaj na niego. To jedyny stolarz w okolicy, chyba wiesz. Roześmiała się.

- Zdążyłam się zorientować.

- Z przyjemnością powitamy cię w naszej małej społeczności - odezwała się siostra Jima. - A teraz opowiadaj o córce. Słyszałam, że uczy się w Upperthorpe. Jakie ma plany na przyszłość?

I Caroline, ani się obejrzała, wdała się w pogawędkę z małą grupką gości. Miała wrażenie, że wszyscy już słyszeli o jej restauracji i chcą wiedzieć o niej jak najwięcej.

Siedzieli przy pięknie nakrytym stole. Atmosferę tworzyły białe róże, polerowane srebro i blask świec.

- Oczywiście, wszyscy przyjdziemy na otwarcie -zapewnił mężczyzna siedzący po jej prawej stronie, Amerykanin o imieniu Bradley. - Miałem już okazję skosztować twoich zapiekanek w pubie.

- A te tacos... - Mężczyzna po lewej się rozmarzył. Był to producent filmowy, tak przystojny, że Caroline żartobliwie powiedziała, że powinien być przed kamerą, a nie za nią.

- Przyda się nam tutaj dobra restauracja - dodał Bradley. Z apetytem zjadał deser o nazwie etoński bałagan. Bałagan stanowiły połamana beza, truskawki i tyle bitej śmietany, że po jednej porcji można było się znacząco zaokrąglić.

- Powinnaś poprosić Jima, żeby pokazał ci pracownię. - Bradley nalał jej do kieliszka schłodzone wino, idealnie komponujące się z deserem. - Prawdziwy z niego artysta. W drewnie, no wiesz.

Spojrzała na Jima, który siedział naprzeciwko. Ich oczy się spotkały. Uśmiechnął się.

- Pokaż mi pracownię - zachęciła.

- Oczywiście. - Wzniósł kieliszek w toaście.

Niedługo później Jenny wstała i spojrzeniem dała znak pozostałym paniom. Zostawiły mężczyzn nad butelką porto i poszły do jej sypialni, żeby się nieco odświeżyć. Był to ogromny pokój, nieco chłodny, ale bardzo piękny: dwie kanapy, wielkie łóżce z baldachimem, zrobionym, Caroline była gotowa się założyć, z autentycznego adamaszku - cenna, lecz delikatna tkanina miejscami była przetarta niemal na wylot.

Kobiety poprawiały makijaże, plotkowały o dzieciach, służbie i ogrodnikach, a potem wróciły do salonu, do panów. Wkrótce wieczór dobiegł końca.

Było lodowato. Caroline ciaśniej otuliła się szalem, gdy skręcili za róg i zbliżyli się do budynku,

który dawniej był stajnią, a teraz mieściła się tu pracownia Jima.

Ściany nikły pod setkami rysunków. Były wśród nich techniczne wykresy z dokładnymi wymiarami i zapiskami, ale też piękne szkice scenografii filmowej i teatralnej.

W kącie dostrzegła zbudowane częściowo kręte schody. Stopnie już były, teraz Jim pracował nad poręczą, która wiła się zmysłowo. Całość stanowiła, przynajmniej w oczach Caroline, istne dzieło sztuki. Nie miała pojęcia, jak można sprawić, by drewno się wiło.

- Piękne - pochwaliła.

- W szkole byłem najlepszy z techniki - wyznał, co wywołało jej śmiech. - Oczywiście nie kręcę nosem na zwykłe zlecenia, typu nowe drzwi czy naprawa szafki. - Wzruszył ramionami. - Trzeba zarabiać na życie. Praca to praca, rzadko kiedy odrzucam zlecenie.

- Ale przecież masz to wszystko... ten piękny dom, w którym mieszkacie od pokoleń, i... sama nie wiem, całą historię...

- Nie wierz we wszystko, co widzisz - odparł. Rozwiązał krawat, zdjął marynarkę, rozpiął górny guzik koszuli. - Od razu lepiej - mruknął. - Posiadłość odziedziczył mój brat. Uwierz mi, ten dom pożera majątek. Nowy dach, ogrzewanie, wymiana rur... nie mówiąc o codziennym utrzymaniu. Wiesz, w czasach mojego dziadka mieliśmy czternaścioro osób służby w domu i dziesięciu ogrodników. Teraz mamy dwóch. Jenny to istna cudotwórczyni. Dwie kobiety z wioski przychodzą codziennie, żeby

odkurzyć i posprzątać, a kiedy wydaje kolację, jak dzisiaj, pomagają jej w kuchni. Tak to dzisiaj wygląda w takich rodzinach jak nasza. - Podeszedł do niej. - Nie narzekam - zaznaczył. - Szczęściarz ze mnie. Mieszkam w pięknym domu, kocham to, co robię.

- Więc nigdy nie zgodzisz się na sprzedaż? - Domyślała się, że posiadłość jest warta majątek, zwłaszcza że w okolicy nie brakowało nuworyszów. - Rosyjscy oligarchowie i ich piękne żony na pewno nie pogardzą takim kąskiem.

- Na razie to nam nie grozi - zapewnił. - I oby nigdy do tego nie doszło. Mamy jeszcze kilka obrazów, które można sprzedać, a mój brat nieźle sobie radzi w funduszach hedgingowych.

Fundusze hedgingowe! Zaraz wróciła na ziemię.

- Mój mąż też się nimi zajmuje - powiedziała. - To znaczy, mój były mąż.

- Dobrze, że sobie przypomniałaś. - Wziął ją za rękę i zaprowadził do saloniku, w którym ogień buzował na kominku. Zapach palonego drewna mieszał się z aromatem stajni, siana i trocin. Aromatyczna mieszanka. Bardzo męska.

Przycupnęła na kanapie, a Jim położył na stolyczku niewielką paczuszkę, niezdarnie owiniętą brązowym papierem.

- Małe, ale moje - powiedział. Wydawało jej się, że to jakiś cytat.

Przycisnęła rękę do piersi i spojrzała na niego zza czerwonych oprawek.

- Naprawdę? To dla mnie?

Jim komicznie przewrócił oczami.

- O rany, otwórz to w końcu. Może powiesz, że to według ciebie paskudztwo, ale miejmy to już za sobą.

Ze śmiechem rozplątała sznurek i wyjęła z opakowania małą drewnianą szkatułkę, płaską, w kształcie liścia. Obracała ją w dłoniach, zachwycona precyzyjnym wykonaniem i delikatnymi zdobieniami.

Wieczko zdobiła skomplikowana inkrustacja, boczne ścianki zrobiono z trzech warstw drewna. Uniosła je - wewnątrz puzderka było równie eleganckie i wypieszczone. Pachniało świeżym drewnem i lakierem.

- Cudowne. To istny skarb. Prawdziwe dzieło sztuki. - Spojrzała Jimowi prosto w oczy. - Zrobiłeś to dla mnie? Przecież prawie mnie nie znasz.

- Nie muszę cię znać, żeby wiedzieć, kim jesteś. Wstał, podszedł do kominka, poprawił drwa na palenisku, oparł się o sosnowy gzyms i spojrzał na nią.

- Czasami tak po prostu jest - podsumował.

- Pewnie wszystko przez ten żółty sweter -stwierdziła po chwili. Oboje roześmiali się nerwowo, a potem Jim podszedł do niej, usiadł i ją pocałował.

Mijał czas. Było cudownie, ekscytująco, zmysłowo. Caroline wiedziała, że powinna już iść. To dopiero pierwsza randka i bez względu na romantyczne prezenty i gorące pocałunki, musi wziąć się w garść, zanim posunie się za daleko.

Ponownie założyła okulary, aby dać mu do zrozumienia, że mówi poważnie, ale Jim skwitował to śmiechem.

- Czyli teraz muszę odwieźć cię do domu - jęknął.



- Od przyszłego tygodnia będziemy właściwie sąsiadami - odparła. - Wtedy będę mogła pójść na piechotę.

- Wtedy cię odprowadzę.

Zarzucił jej szal na ramiona i objął ją w talii, gdy wychodzili. Była bardzo świadoma jego bliskości, siedząc tak blisko w samochodzie. Tym razem zaparkował pod samym pubem - bo było późno i przed budynkiem nie było innych samochodów. Straciła poczucie czasu i zarazem zapomniała o Issy i jej londyńskiej imprezie.

- Już po pierwszej - zauważyła. Pochyliła się, żeby pocałować go na dobranoc, tym razem w policzek. - Pewnie wszyscy się zastanawiają, gdzie zniknęłam.

Ujął ją pod brodę, głęboko zajrzał jej w oczy, a potem puścił, wysiadł z samochodu, obszedł go dokoła, przytrzymał jej drzwiczki.

- Dziękuję za wspaniały wieczór - powiedziała.

- Nie zapomnij prezentu. - Podał jej pudełeczko. - Jutro zadzwonię.

Cały czas czuła na sobie jego oczy, gdy szła w stronę pubu, znowu przebiegły jej wzdłuż kręgosłupa znajome ciepłe ciarki. Pragnęła Jima Thompsona, choć zdawała sobie sprawę, że nie powinna tego czuć. Jest za młody, ich sytuacja jest tak bardzo odmienna. Lepiej odejść już teraz, zanim znowu będzie cierpiała. Odwróciła się. Nadal stał przy samochodzie, odprowadzał ją wzrokiem. Pomachała mu po raz ostatni i było po wszystkim.

## Rozdział 25

IMPREZA U LYSANDRA SIĘ ROZKRĘCAŁA. Byli w vip-roomie w klubie. Issy jako nieletnia po raz pierwszy znalazła się w takim miejscu, choć oczywiście nie przyznałaby się za żadne skarby. Zresztą na pewno nie była tu jedyna, inne dziewczyny też wydawały się młodsze, choć miały podrobione dowody osobiste i wyglądały na starsze.

Za konsoletą stała didżejka, czarnoskóra, z mnóstwem warkoczyków na głowie. Miała na sobie dżinsowe szorty i czarny golf, wyglądała zabójczo. Pozostałe dziewczyny ubrane były w rurki albo mini i obcisłe bluzeczki, a ona, w niebieskiej sukience od Zary, nawet bez bolerka, przy którym obstawała mama, wcale nie wydawała się sobie atrakcyjna.

Lysander znowu podał jej papierosa. Nie podobało jej się to, ale z papierosem wyglądała na bardziej wyluzowaną. Zakrztusiła się łykiem, jak jej powiedział, szampana.

- Jest w nim coś jeszcze - stwierdziła.

- Brandy - zapewnił.

- Hm. - Spojrzała z powątpiewaniem, ale uznała, że jest to całkiem smaczne, a gdy zaczęli tańczyć, poczuła się wspaniale; była jedną z nich, niespodzianką Lysandra. Jego dziewczyną.

Koło czwartej wrócili do domu. Lysander całował ją przez całą drogę, gdy siedzieli w limuzynie. Miranda, która otworzyła jej drzwi, siedziała obok i pozwalała, by obmacywał ją dużo starszy mężczy-

zna, poznany w klubie. Jak twierdziła, jest znanym fotografem.

Issy nie protestowała więc, gdy Lysander wsunął jej rękę pod spódnicę. Miranda też nie reaguje, więc to pewnie nic takiego. Ba, Miranda rozsunęła nogi i Issy, całując się z Lysandrem, kątem oka widziała, jak „znany fotograf” wsuwa jej rękę w majtki. Miranda wierciła się i jęczała. Issy chciała uciec wzrokiem. Lysander się roześmiał.

Po powrocie do domu objął ją ramieniem i zaprowadził na górę. Wtulili się w niego, gdy stali pod drzwiami jej pokoju.

- Było cudownie, dziękuję - szepnęła i zatraciła się w kolejnym pocałunku.

Bez uprzedzenia wciągnął ją do pokoju, jednym kopnięciem zamknął drzwi, pchnął ją na łóżko. Ani się obejrzała, a leżał na niej, macał rękami pod spódnicą, mocował się ze stringami; zamknął jej usta swoimi, tak że nie mogła krzyczeć, błagać, a potem... o Jezu, zaczął wsuwać w nią palce. Napierał, badał, sprawiał ból. Boże, zaraz ją zgwałci... chciała krzyknąć, ale uderzył ją w twarz... sprawiał jej ból... musi stąd uciec. To nie może dziać się naprawdę. Gniew dodał jej sił. Uniosła kolano i z całej siły kopnęła go w podbrzusze, aż z jękiem zsunął się z łóżka.

- Suka - warknął. Kulił się w opuszczonych spodniach, z członkiem na wierzchu.

Przez chwilę przyglądała mu się przerażona, a potem wychyliła się poza krawędź łóżka i zwymiotowała.

- Jezu - jęknął i wyszedł, trzaskając drzwiami. Została sama.

Wydawało się, że minęły całe wieki, choć upłynęło zapewne kilka minut, ale w końcu wstała i chwiejnym krokiem poszła do łazienki. Znowu zwymiotowała. A potem zdjęła sukienkę i stringi i się umyła.

Wyjęła z torby czystą bieliznę, włożyła biały sweterek i spodnie od dresu, które zabrała na wszelki wypadek, żeby się przebrać w coś wygodnego, gdy będzie sama. Szukała wszędzie torebki, ale zniknęła. Pewnie ktoś ją zabrał. Narzuciła na ramiona ładny kremowy trencz matki, upchała wszystko do torby podróźnej, zbiegła ze schodów, minęła drzwi do salonu, w którym impreza trwała w najlepsze, i wyszła na zewnątrz.

Na rogu złapała taksówkę, pojechała na stację Paddington, zapłaciła gotówką, którą miała w kieszeni, podobnie jak bilet powrotny. Pół godziny później siedziała w pociągu do domu.

Ciągle drżącymi rękami wyjęła komórkę i zadzwoniła do Sam.

- Co jest? - Sam obudziła się od razu.

- Miałaś rację, niepotrzebnie tam pojechałam. - Issy się rozplakała. - On mnie zgwałcił.

Zapadła pełna przerażenia cisza.

- Dzwonię do twojej mamy - zdecydowała Sam.

- Nie! Absolutnie nie! - Nie chciała, żeby mama się o tym dowiedziała.

- Ale musi przyjechać po ciebie na stację. Chociaż może poproszę moją?

Issy uznała, że tak będzie lepiej.

- No dobrze - zgodziła się. - Ale jest za wcześnie, domyślą się, że coś się stało, a ja nie mogę im po-

wiedzieć, Sam, po prostu nie mogę. Poczekaj chociaż do dziewiątej. Powiesz Maggie, że nie podobało mi się na imprezie, że wszyscy byli ode mnie starsi, że chciałam wracać do domu. I proszę, błagam cię, nie mów mojej mamie.

Sam obiecała, że nie powie.

- Za żadne skarby świata - zapewniła.

Bo Issy przecież przenigdy nie puści pary z ust.

## *Rozdział 26*

CAROLINE OBUDZIŁA SIĘ, SPOJRZAŁA NA ZEGAREK i gdy zobaczyła na nim godzinę dwunastą, przez chwilę nie wiedziała, czy to północ, czy południe. Zaraz jednak zdała sobie sprawę, że to środek dnia, i zerwała się na równe nogi.

Wzięła szybki i boleśnie zimny prysznic - musiała się przecież jakoś obudzić, natarła się balsamem, musnęła twarz kremem Clinique.

Zerknęła do lustra i przyjrzała się swojej twarzy. Ustom, które ktoś całował, i to bardzo fachowo, zaledwie kilka godzin temu. Mój Boże, co jej chodzi po głowie!

Wróciła do siebie, włożyła szare spodnie od dresu, stare i wygodne, i czerwony kaszmirowy sweterek, do którego dobrały się mole. Zaszyła niezdarnie dziurki, tworząc nieregularny wzór przy szyi. Nie chciała go jednak wyrzucić, bo był wygodny i ciepły; żadna inna sztuka jej garderoby nie była równie miękka, włącznie z za ciasnym obecnie żółtym sweterkiem.

Kiedy wróciła myślami do ubiegłej nocy, stwierdziła, że wczoraj wyglądała całkiem nieźle, choć jako jedyna miała na sobie krótką sukienkę. Wzięła do ręki drewnianą szkatułkę. Równie piękna, jak zapamiętała. Musi pokazać ją Issy, kiedy wróci. O Boże, Issy! Impreza! Po południu ma wrócić do domu. Musi się dowiedzieć, którym pociągiem przyjedzie.

Wybrała numer córki, ale telefon był wyłączony. Zmartwiona, zbiegła na dół - i zastała Issy siedzącą przy kuchennym stole.

- Co ty tu robisz? - zdziwiła się. - Właśnie dzwoniłam, żeby zapytać, którym pociągiem wrócisz.

- Przyjechałam trochę wcześniej.

- Właśnie widzę.

Issy ukryła twarz w futerku Ślepej Brendy, ale Caroline i tak zorientowała się, że dziewczyna płakała.

Coś było nie tak. Usiadła koło córki. Nie pytała, nie dotykała jej, nie całowała.

- Wszyscy byli od niej dużo starsi - wyjaśniła Sam. Posmarowała masłem grzanek i podała Issy, która podniosła twarz tylko po to, żeby wbić zęby w kanapkę, a potem pozwoliła kotce zlizywać masło, aż Maggie zwróciła jej uwagę, by tego nie robiła.

- Nie podobało mi się tam i już. - Issy celowo mówiła z pełnymi ustami, bo tym sposobem łatwiej było wprowadzić matkę w błąd.

- W takim razie dobrze zrobiłaś, że wróciłaś - przyznała Caroline.

- Chyba się wykapię - rzuciła Issy. - A potem położę. Jestem bardzo zmęczona.

- Przygotuję ci kąpiel - zaproponowała Sam.

- Nie trzeba, ja to zrobię - oznajmiła Caroline. Poszła na górę, rozkręciła kran, dołała do wody swojego ulubionego olejku gardeniowego. Łazienkę wypełniły kłęby pary. Miała wrażenie, że Jim i kolacja to wspomnienia z innego życia. Wcieliła się w dobrze znaną rolę samotnej matki, zmagającej się z niesforną córką. Wyczuwała, że Issy ma problem, ale bała się zapytać, o co chodzi. Miała nadzieję, że zwierzy się chociaż Sam.

Wróciła do kuchni, powiedziała Issy, że kąpiel gotowa. A potem włożyła adidasy i poszła pobiegać. Za wiele się działo, musiała sobie sporo przemyśleć.

Powitało ją rześkie powietrze. Blade słońce zerkało zza nagich czarnych gałęzi.

To jasne, że popełniła błąd, pozwalając Issy iść na tę imprezę. Dała sobie wmówić, że nic się nie stanie, choć w głębi serca wiedziała, że nie powinna na to pozwalać. Popełniła błąd i stało się coś strasznego.

Telefon w jej kieszeni zawibrował. To na pewno Issy. A jednak nie. Jim.

- Idę o zakład, że siedzisz w żółtym swetrze i opijasz się kawą - zagał.

- Akurat! - Roześmiała się. - W tej chwili biegnę wzdłuż drogi do twojego domu. A na sobie mam spodnie od dresu i czerwoną bluzę podziurawioną przez mole.

- Chciałbym to zobaczyć.

Czuła, że się uśmiechał, gdy po chwili dodał:

- Chciałem cię dzisiaj zaprosić na kolację, ale niestety nic z tego. Muszę dostarczyć schody aż do Sussex. Już na miejscu je wykończę i zamontuję. Nie będzie mnie przez co najmniej tydzień.

Cały tydzień bez niego! Choć obiecywała sobie, że już się z nim nie umówi, posmutniała. Rzuciła nonszalancko:

- Cóż, chyba jakoś poradzę sobie bez ciebie.

- Przykro mi, Caroline, ale nic na to nie poradzę. Taką mam pracę.

- Nie przejmuj się. - Złagodniała. - Zamówiłam ekipę studentów, młodych, silnych i, mam nadzieję, rozsądnych.

- Świetnie. - Chwila ciszy, a potem zapytał: - Jak było na tej imprezie Issy? Wiem, że się denerwowałaś.

- I słusznie.

- Co się stało?

- Nie wiem i chyba nigdy się nie dowiem. - Zaraz jednak przypomniała sobie, że nie powinna zwierzać się mężczyźnie, którego właściwie nie zna, i się wycofała. - Zobaczymy się, kiedy wrócisz. Wczoraj świetnie się bawiłam. Jeszcze raz dziękuję za szkatułkę. Trzymam ją przy łóżku, żeby widzieć tuż przed snem i zaraz po przebudzeniu.

- Wolałbym, żebyś patrzyła na mnie - rzucił ze śmiechem i się pożegnał.

## *Rozdział 27*

Issy PRZYCUPNEŁA NA KRAWĘDZI ŁÓŻKA SAM, podciągnęła kolana pod brodę, otoczyła je ramionami, ukryła twarz za zasłoną ciemnych włosów. - Dupek - mruknęła.



- Fiut - zawtórowała Sam i zaraz pożałowała, że nie ugryzła się w język. - Przepraszam, to niewłaściwe słowo.

- Wiem, o co ci chodzi. - Mimo rozpaczy Issy zachichotała. - Słuchaj, Sam, jak myślisz, nadal jestem dziewicą? No bo wiesz, on właściwie tego nie zrobił, tylko... no, tylko próbował.

Sam nerwowo przeczesła palcami jasne włosy.

- Cóż, jeśli nie, zawsze możesz powiedzieć, że straciłaś dziewictwo na koniu. Dużo dziewczyn tak mówi.

Issy udało się roześmiać.

- Cały czas mnie boli - przyznała. - Wiesz co? Wydawało mi się, że seks ma być przyjemny, ale to było takie... brutalne, gwałtowne i... obleśne.

- Okazał się chamem - zapewniła Sam. - Powiesz mamie?

- Nigdy! - Issy wzdrygnęła się z przerażeniem na samą myśl.

- No cóż, przynajmniej nie jesteś w ciąży.

- O Boże! Ale wiesz, Sam, gdybym nie kopnęła go w jaja, zrobiłby to i mogłabym być.

- Więc się ciesz, bo on teraz też cierpi.

Do pokoju weszła mama, niosąc na tacy czekoladę na gorąco i jej ulubione ciasteczka.

- Pewnie rozmawiacie o tej okropnej imprezie -zagaiła. - To będzie wam smakowało bardziej niż przekąski, choć nie mam pojęcia, co wam tam podali.

- Powinni byli zatrudnić ciebie, mamo. - Issy nagle poczuła przyływ miłości do matki; przecież zawsze jest przy niej, jak teraz, choć sama nie wiedziała,

czemu akurat teraz tak bardzo potrzebowała jej wsparcia.

- Dzięki.

Issy wbiła zęby w ciasteczko. Caroline była już przy drzwiach, kiedy usłyszała:

- Wiesz co? Pomogę ci przy przeprowadzce!

- Fajnie! - odkrzyknęła.

Issy widziała, jak mama uśmiecha się pod nosem, zamykając za sobą drzwi.

Nadszedł dzień przeprowadzki. Pogoda była wspaniała, bez kropli deszczu. Issy twardo obstawała przy swoim i ustalono, że zostanie w pubie, póki w nowym domu wszystko nie będzie dopięte na ostatni guzik. Na przykład dowiozą ze sklepu łóżko Issy i w końcu włączą prąd, bo gdy o szóstej rano Caroline przyjechała do nowego domu, okazało się, że na razie o elektryczności może tylko pomarzyć.

A potem na podjeździe pojawił się w Georgki w swoim hummerze z trzeciej ręki, w obłoku kurzu.

Z tylnego siedzenia wyciągnął ogromną paproć w celofanie i wręczył jej uroczyście.

- Na nowe mieszkanie - oznajmił z tym cudownym uśmiechem, który sprawiał, że wyglądał jak podstarzały niewinny chłopaczek z chóru.

Pocałowała go w policzek i stwierdziła radośnie:

- Mój pierwszy prezent na nowe mieszkanie. -W tej chwili zobaczyła sfatygowaną furgonetkę. Kierowca przegapił skręt i pojechał dalej, ale ktoś zobaczył, że macha jak szalona, i samochód zawrócił, skręcił w podjazd i zatrzymał się z przeraźliwym piskiem hamulców.

Georgki włączył prąd, a studenci bez słowa sprzeciwu uwijali się na wąskich kamiennych stopniach na pięterko.

O ósmej zrobili sobie przerwę. Caroline zaserwowała kanapki z bekonem, które przygotowała o świcie. Siedzieli nad rzeką i karmili kaczki.

Do południa uwinęli się ze wszystkim. Caroline rozejrzała się po nowym saloniku i zdała sobie sprawę, że ma bardzo mało mebli; kilka kanap i fotel, świeżo obity białą tkaniną, małe stoliczek z antykwariatu. Był to właściwie marokański stojak na tacę, na trzech nogach. Początkowo upierała się, że jest wybrakowany, ale sprzedawczyni, która chyba znała się na rzeczy, tłumaczyła, że w Maroku meble zawsze mają tylko trzy nogi.

Do tego lampa o podstawie, która wyglądała jak bryła betonu, za to ze złocistym abażurem, w którym Caroline zakochała się od pierwszego wejrzenia na lokalnej aukcji staroci, i kilka stoliczków, na których ustawiła biało-niebieskie chińskie lampy. Przed kominkiem ułożyła kremowy kwadratowy dywan, pod oknem postawiła paprotkę od Georgkiego - tam na pewno będzie miała dość światła.

Przywieziono jej łóżko, ale na razie nocna lampka stała na podłodze, bo brakowało jeszcze stolika, a ubrania wisiały na długim drążku - nie stać jej było na zabudowaną szafę. Książki piętrzyły się koło łóżka. Caroline poustawiała kosmetyki w łazience, z dumą spojrzała na bardzo piękną i bardzo drogą wannę z hydromasażem i zadzwoniła do sklepu zapytać, kiedy dostarczą łóżko Issy. Usłyszała, że jutro już na pewno je dostanie. Zapłaciła studentom,

którzy uścisnęli jej rękę, a potem, żartując, i tak pocałowali w policzek, a potem Georgki oznajmił, że zabiera ją na kolację do Pangbourne. Szybko umyła się i uczesała w miarę możliwości, zadzwoniła do Maggie z wiadomością, że wszystko w porządku i że wróci późno do domu, czyli jeszcze ciągle do pubu. Zadzwoniła do Issy i powiedziała, że jej pomoc jednak nie będzie potrzebna.

A potem, choć nie miała na to ochoty, wsiadła do land-rovera i w ślad za Georgkim ruszyła krętymi wiejskimi drózkami do Pangbourne.

Miał rację, pub był nad samą Tamizą, która szumiała i piętrzyła się na kamieniach. Były nawet łabędzie. Na szczęście znaleźli wolny stolik mimo tłumu gości. Usiedli na dworze. Georgki, jak na dżentelmena przystało, przytrzymał jej krzesło. Usiadła z rozkoszą. To był ciężki dzień. I, jak pomyślała, niewykluczone, że jeden z najpiękniejszych w jej życiu. W końcu miała własny dom i własną firmę, a co ważniejsze, Issy chyba powoli przekonywała się do jej pomysłu.

Georgki wyszedł z pubu, niosąc dwa spienione piwa.

- Wino później - zdecydował i usiadł naprzeciwko niej. - Teraz musisz ochłonać.

Uśmiechnęła się.

- A co, jestem zgrzana i zmęczona? Wzruszyło ją jego ciepłe spojrzenie. Wzięła go za rękę.

- Zawsze będziesz moim przyjacielem - zapewniła. - Wiesz o tym, prawda?

Skinął głową.

- Tak.

Wstrzymała oddech z nadzieją, że nie wyzna jej teraz wiecznej miłości; nie teraz, błagam, zaklinała w myślach. On jednak tylko wznosił kufel w toaście.

- Za ciebie, Caroline - oznajmił, przechylił głowę do tyłu i wychylił całe piwo.

- Poczuleś w ogóle smak? - zdziwiła się.

- Nie chodzi o smak, ale o samo doznanie. Zimne bąbelki. Pycha.

Był tak nieskomplikowany, stanowił tak miłe towarzystwo, że przy nim jej problemy schodziły na dalszy plan. Siedziała w wieczornym słońcu i wspominała, jak w towarzystwie naburmuszonej Issy jechała przez zalane deszczem pola hrabstwa Oxford. Córka oddałaby wtedy wszystko, byle być jak najdalej od niej. Wspominała, jak zajrzały do pubu Pod Gwiezdnym Pługiem i Maggie zaopiekowała się nimi, nieszczęśliwymi jak przemoczone owce na

- Wiele przeszłaś - stwierdził Georgki. Kelnerka postawiła przed nimi koszyczki z kurczakiem i frytkami.

To prawda. Ale teraz może żyć dalej. Znalazła swoje miejsce na ziemi. W końcu trafiła do domu.

## *Rozdział 28*

NASTĘPNEGO WIECZORU CAROLINE OŚWIADCZYŁA Maggie, że chce spędzić noc w szopie. Tak na próbę, tłumaczyła. Żeby się przekonać, co to za uczucie.

Maggie odstawiła kieliszek wina i przyjrzała się jej badawczo. Skrzyżowała ręce na piersi.

- Boisz się - zauważyła. Caroline się zawahała.

- To nie tak... - zaczęła.

- Więc jak?

Caroline zerknęła spod oka, zdradzając wszystkie swoje obawy.

- Boisz się samotności? - domyśliła się Maggie.

- Tak - przyznała. - Widzisz, Mags, Issy wcale nie chce tam mieszkać, i nagle do mnie dotarło, jak bardzo będzie mi was brakować, i pubu. No wiesz...

- Jakbyś po raz pierwszy wyprowadzała się z domu - podsumowała Maggie.

- Tu zawsze się tyle dzieje, rozumiesz, praca, ludzie, klienci, Sarah Córka Młynarza i Mały Billy...

- Nie zapominaj o Niezdarnej Lily.

- Jakżebym mogła.

Roześmiały się. Maggie otworzyła butelkę włoskiego czerwonego wina i naląła im po lampce.

- Wypijemy za szopę - powiedziała. - Za twój nowy dom. Za nowy dom Issy. Prędzej czy później przekona się do twojego pomysłu, zobaczysz. I za twoją restaurację, w której będziesz miała tyle roboty, że będziesz się głowiła, czemu nie zostałam u nas.

- Wiem, wiem - mruknęła, ale nadal dręczyły ją wątpliwości. Szopa znajdowała się tylko kilka kilometrów stąd, może nadal pracować w pubie, póki nie otworzy restauracji, ale nagle poczuła się bardzo, bardzo samotna.

- Powinnaś zadzwonić do rodziców - stwierdziła Maggie. - Zaprosić, żeby do ciebie przyjechali na jakiś czas.

- Nie mam pokoju gościnnego.

- Więc niech zamieszkają w pokoju Issy, przecież na razie nie ma zamiaru się przeprowadzać.

Wyobraziła sobie, ile będzie musiała się tłumaczyć przed rodzicami, dlaczego Issy z nią nie mieszka. Wiedziała też, że chcieli z nią porozmawiać o Jamesie, który nie odzywał się od wielu tygodni. Ani nie przekazywał pieniędzy.

Wtedy otworzyły się drzwi i do pubu wkroczyła gromada oxfordzkich geniuszy i zanim się obejrzała, znowu stała przy piecu. Sarah zadzwoniła z wiadomością, że Mały Billy bardzo kaszle, więc ona nie przyjdzie, Lily też była zajęta, więc Caroline i Maggie musiały sobie radzić same.

O wpół do jedenastej padała z nóg. Dziewczynki już dawno spały. Maggie obiecała, że rano zawiezie je do szkoły. Caroline narzuciła płaszcz na ramiona, pożegnała się, wyszła na dwór i wsiadła do samochodu.

Znowu lało. Wycieraczki pracowały leniwie. Czowała się, jakby brnęła przez mgłę. Jechała powoli, zadowolona, że nie ma ruchu na drodze. Powtarzała sobie, że jutro na pewno odda samochód do przeglądu. Koło bramy Thompsonów zwolniła jeszcze bardziej, ale ciemności nie rozpraszały żadne światła. Jim się nie odzywał, odkąd wyjechał, nawet nie dzwonił.

Wzruszyła ramionami. Tyle, jeśli chodzi o tę przygodę. W jego wypadku sprawdza się powiedzonko, że co z oczu, to z serca.

Skreśliła w swój podjazd, z satysfakcją słuchając, jak pod kołami samochodu chrzęści świeżutki żwir, przywieziony i rozsypany zaledwie wczoraj. Przynajmniej tym razem nie zapadnie się po kostki w błocie. Podjechała pod same drzwi.

I wtedy zobaczyła samochód.

Zaparkował z boku, a koło niego stał mężczyzna i palił papierosa, którego koniuszek żarzył się w ciemności, by po chwili zatoczyć łuk i zgasnąć na ziemi.

Przerażona patrzyła, jak mężczyzna zbliża się do niej, zaraz jednak odzyskała rozum, włączyła silnik, wrzuciła wsteczny bieg...

- Caroline!

Znała ten głos. Zdjęła nogę z pedału gazu, zahamowała, odwróciła się. Jej były mąż. James.

## *Rozdział 29*

CZUŁA NA SOBIE JEGO WZROK, gdy wysiadała z samochodu. Zatrzasnęła drzwiczki i czekała; nie była pewna, czy nogi nie odmówią jej posłuszeństwa, nawet na tak krótkim odcinku, jaki dzielił ją od drzwi. Drżały jej ręce. Upuściła kluczyki.

- Caroline! - zawołał znowu.

Powtarzała sobie, że musi wziąć się w garść, zebrać się w sobie i kazać mu odejść. Skąd on się tu właściwie wziął? Od kilku miesięcy nie dawał znaku



życia, a teraz stał na jej progu, w potokach deszczu. Brązowe włosy przylegały do czaszki. Wbił dłonie w kieszenie kurtki. Nawet nie miał płaszcza przeciwdeszczowego - za to przy jego nogach stała walizka.

Zaczął iść w jej stronę. Instynktownie przywarła plecami do land-rovera.

Zaszokowany, zatrzymał się w pół kroku.

- Chyba nie obawiasz się, że zrobię ci krzywdę? Na dźwięk jego słów przeszył ją dreszcz. Deszcz

zacinał, włosy zwisały jej w mokrych strąkach, przez zacieki na okularach prawie go nie widziała.

- Co ty tu robisz, James? - zapytała.

- Tylko z tobą mogę porozmawiać - usłyszała. -Tylko ty mi uwierzysz.

Pomyślała o Issy: to w końcu jej ojciec, nie może go wyrzucić.

- Wejźmy do środka, przynajmniej będzie sucho - zaproponowała. Wzięła się w garść, podniosła klucze, minęła go, otworzyła drzwi i weszła do domu.

Zapaliła lampę i spojrzała na niego.

- Co ty tu właściwie robisz? - warknęła. - I co to za walizka? Jeśli sądzisz, że ze mną zamieszkaż, to się grubo mylisz.

Po raz pierwszy słyszała w swoim głosie takie nuty: splatały się w nim stare i nowe emocje, aż stał się obcy, brzydki. To kolejny efekt ostatnich przeżyć, zmagania, odrzucenia i upokorzenia.

- Wiem, co myślisz. - Postawił walizkę na ziemi, wszedł w krąg światła, spojrzał na nią.

Woda spływała na kamienną posadzkę, aż stał w małej kałuży. Miał na sobie adidasy i mokre dżinsy, które oblepiały mu nogi, kurtka przemokła zupełnie.

Ale to nadal James, mężczyzna, w którym się zakochała, wtedy, przed laty, w barze Raffles.

Poczuła, jak dawniej, motyle w brzuchu, i surowo skarciła się w myślach. To nie w porządku, Jamesa nie powinno tu teraz być.

- Wyskakuj z tych mokrych ciuchów - powiedziała. - No, chodź.

Szedł za nią po krętych schodach. Nawet teraz, mając go za plecami, czuła na sobie jego spojrzenie. Odwróciła się.

- Caroline, potrzebuję cię - wyznał, gdy ich oczy się spotkały.

Jeszcze nie tak dawno temu rzuciłaby mu się w ramiona, gdyby usłyszała coś takiego. Teraz jednak puściła jego słowa mimo uszu, tylko podała mu czysty ręcznik. Pokazała, gdzie jest łazienka, poszła do siebie, zdjęła mokry płaszcz, włożyła stare szare spodnie od dresu i czerwoną bluzę. Nie będzie się stroiła dla byłego męża, o nie, nawet gdyby błagał ją na kolanach...

Postawiła na piecyku garnek z rosółem, otworzyła butelkę wina - dobrego, czerwonego, które trzymała na specjalną okazję. A więc na taką chwilę jak teraz? Co on tu robi? Drżały jej ręce. Co ona sobie myśli? Co ona wyprawia? A James? Czego on właściwie chce? Naprawdę sądzi, że zdoła do niej wrócić? Tutaj?

Wyobraziła sobie, jaka szczęśliwa będzie Issy, gdy dowie się, że ojciec wrócił. Może dzięki temu przestałyby się kłócić — córka w końcu przestanie obwiniać ją o ich rozstanie. A swoją drogą, jakim sposobem ją odnalazł? Mark, domyśliła się.

Usłyszała jego kroki. Odwróciła się. Szedł w jej stronę, owinięty ręcznikiem. Boże, jak dobrze zna to ciało, szczupłe, muskularne, brązowe od słońca... Wydawał się jeszcze większy niż w jej wspomnieniach, wyższy, zdawał się wypełniać sobą całą przestrzeń, gdy do niej podszedł. Chyba sporo ćwiczył.

Odwróciła się szybko, krzątała się przy kuchence.

- Nadal grasz w squash? - zapytała. To jego ulubiona dziedzina sportu: szybka, dynamiczna i agresywna. Zupełnie jak on. - Lepiej się ubierz - rzuciła rzeczowo.

Słyszała, jak podniósł torbę i wyszedł. Rozwiesiła mokrą koszulę i dżinsy koło piecyka, żeby wyschły, kurtkę powiesiła na oparciu krzesła. Przysunęła nawet jego adidas do źródła ciepła. Znowu weszła w rolę żony. Znowu po nim sprzątała.

Wyjęła z kredensu dwa głębokie talerze, postawiła na stole garnek z zupą na żeliwnej podkładce, znalazła chochlę, nalała wina do kieliszków. Trudno, musi im wystarczyć wczorajsza bagietka. Masło, sól, pieprz. Powtarzała sobie, że nie powinna mu urządzać uroczystego powitania...

Wrócił. Miał na sobie czystą białą koszulę i drelichowe spodnie. Był boso, ale zdążył przeczesać włosy. Wskazała miejsce po przeciwnej stronie stołu, nalała zupy do talerza, porwała bagietkę, ułożyła w koszyczku. A potem usiadła i spojrzała na byłego męża.

Upił łyk wina i odwzajemnił jej spojrzenie. - Potrzebuję cię, Caroline. Tylko ty mi uwierzysz.

Powiedział to już po raz drugi.

- Czyżby? - zdziwiła się. - A ja już myślałam, że chciałeś się dowiedzieć, co u córki? W końcu znalazła się bardzo daleko od domu, a jej ojciec prawie nie płaci alimentów. - Patrzyła na niego gniewnie.

- Pamiętasz tamten wieczór, kiedy się poznaliśmy? - zmienił temat. - Miałaś na sobie krótką spódniczkę i okulary. Boże, jak bardzo cię kochałem. - Pochylił się nad stołem, żeby wziąć ją za rękę. - Wydawało mi się wtedy, że mogę mieć wszystko. Teraz już wiem, że to niemożliwe.

Zadrżała pod jego dotykiem. Wyrwała dłoń, upiła łyk wina - najpierw mały, potem większy. Dolała mu i powtórzyła sobie, że James nie może, ot tak, stanąć w jej drzwiach, wrócić do jej życia, jakby nadal miał do tego prawo.

Odszedł od niej, powiedział, że już mu na niej nie zależy, postąpił paskudnie w kwestii prawa opieki nad Issy. Przypomniała sobie, jak Gayle Lee mówiła, że James zawsze należał do niej, że to się nie zmieni i że Caroline powinna uważać...

- Mam problem - wyznał James. Patrzył na nią z powagą w oczach.

- To poproś o pomoc panią Chen.

Cierpiała. James do tego stopnia stanowił część jej życia, tak ważny był dla niej w przeszłości... Dlaczego nie może wielkodusznie zapewnić, że wszystko będzie dobrze, że pokonają to razem, we dwoje...

- Zarzucają mi kradzież - oznajmił.

- Co? - Zaskoczył ją. - Kradzież? Tobie?

- Zarzuca mi się, że przywłaszczyłem pieniądze inwestorów. Część z tych pieniędzy znalazła się na moich kontach w Hongkongu i Singapurze.

Wstał, nerwowo przechadzał się po ciasnym pomieszczeniu, mijał swoje ubranie, suszące się przy piecu. Położył jej dłoń na ramieniu.

- Chciałem, żebyś dowiedziała się ode mnie, zanim wszystko trafi do prasy, a wkrótce tak będzie. Zależy mi, żeby Issy sądziła... żeby wiedziała, że tego nie zrobiłem. Teraz wrócę do Hongkongu i wszystko wyjaśnię.

Caroline przypomniała sobie, jak Mark mówił, że w firmie dzieje się coś dziwnego, że znikają pieniądze, że James nie zawsze jest tam, gdzie powinien być.

Nie chciała tego słuchać. Wstała, wzięła garnek z zupą ze stołu, odstawiła na kuchenkę. To się nie dzieje naprawdę, to niemożliwe. Podobnie jak to, co od niego usłyszała. James nie ma prawa obarczać jej swoimi problemami. Nie ma prawa w ogóle tu być, w tym nowym domu, który sobie stworzyła. Tu nie jest jego miejsce. Ale przecież jest ojcem Issy. Skandal finansowy rozniesie się echem. Nic dziwnego, że chce, żeby córka mu uwierzyła, choć w ciągu minionych miesięcy chyba niezbyt często o niej myślał.

W jej głosie pojawił się gniew.

- Na chwilę zapomnij o własnych problemach. Dlaczego nie zajmujesz się Issy? Co z tobą?

- Sprawa jest prosta, nie mogę się dostać do pieniędzy. Ktoś wyczyścił moje konta.

Przypomniała sobie pogróżki Gayle Lee.

- Idę o zakład, że nawet wiem kto - mruknęła. James zwiesił ramiona. Był wyczerpany, jak człowiek u kresu sił. Złagodniała, ale tylko odrobinę.

- Oczywiście zobaczysz się z Issy - podsunęła.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie mogę spojrzeć jej w oczy. Później, kiedy wszystko przycichnie i znowu we mnie uwierzy. Caroline, zaklinam się, jestem niewinny.

Oczywiście, że jest niewinny. W końcu to James. Przecież tylko dlatego z nim rozmawia, tylko dlatego pozwala mu tu być.

- Będą mnie szukać - odezwał się. - Rozpęta się piekło. Powiedz Issy, że wszystko będzie dobrze.

Podszedł do niej, położył jej ręce na ramionach. Spojrzała mu w oczy. Zaiskrzyło między nimi, jak zawsze. Jej ciało też zareagowało jak zawsze.

Cofnęła się natychmiast, powiedziała, że jej bardzo przykro, że ma nadzieję, iż wszystko się ułoży.

- Zależy mi, żebyś mi uwierzyła - podkreślił.

- Ależ wierzę - zapewniła. - Naprawdę. -1 może rzeczywiście tak było. - Obiecuję, że przekonam Issy, choć osobiście uważam, że to wielka szkoda, że sam jej tego nie wytłumaczysz.

Nalała mu wina, oświadczyła, że może się przespaciać na kanapie - o nie, nie pozwoli mu spać w pokoju córki. A potem nastawiła ekspres na rano i poszła do siebie.

Odwróciła się do niego plecami, weszła na schody, zamknęła drzwi, oparła się o nie ciężko i zastanawiała, jakim cudem w ogóle do tego doszło. James nie może, ot tak, wrócić do jej życia.

Rozebrała się, położyła do łóżka, naciągnęła na głowę białą kołdrę i płakała, aż poduszka była mokra od łez. Ale nie były to łzy miłości. Płakała, bo już nie kochała Jamesa.

Rano już go nie było.

## Rozdział 30

NIE WZIĘŁA POD UWAGĘ różnicy czasu i od razu zadzwoniła do Marka.

- Wczoraj wieczorem był tu James. Czekał na mnie przed moim domem, w potokach deszczu.

Chwila ciszy, a potem Mark zapytał:

- Zaraz, zaraz. Chcesz powiedzieć, że James chciał zobaczyć się z tobą? A Issy?

- Nie, nie chciał się z nią widzieć. Mówił, że ma kłopoty finansowe, że wyczyszczono mu konto, że to jakiś przekręt, ktoś podkradał pieniądze, które miał zainwestować.

- Zaraz, zaraz - powtórzył Mark. - James powiedział ci, że ma kłopoty finansowe?

- Oznajmił, że przyjechał specjalnie, żeby mnie uprzedzić, i prosił, żebym zapewniła Issy, że jest niewinny. Zanim go zamkną, tak powiedział. Zanim skandal trafi do prasy.

- Caroline, jestem przekonany, że wiem dokładnie, gdzie jest każdy cent w naszej firmie - stwierdził Mark. - Pamiętasz, mówiłem ci, że czasami coś się nie zgadza, ale potem wszystko było jak trzeba. Ale James miał też własny interes, coś zupełnie innego, z innej bajki.

- Z Gayle Lee Chen, tak?

- Tak. Zawsze uważałem, że popełnia błąd, pakując się w związki z półświatkiem, ale James jest tak prostolinijny, tak naiwny, że...

- I zaślepiiony przez tę kobietę.

- I tak z nim pogadam, dowiem się, co się dzieje. Zrobię, co w mojej mocy, żeby go chronić, ze względu na ciebie, Caroline, ale jeśli naprawdę jest winny, niewiele mogę i chcę zrobić.

- Posłuchaj, James jest głupi, słaby i samolubny, ale w życiu nie uwierzę, że zrobił coś takiego - odparła.

Zadzwoiła do Maggie, która odwiozła dziewczynki do szkoły, opowiedziała jej o wszystkim i w odpowiedzi usłyszała, że ma natychmiast wracać do pubu, bo muszą pogadać. I najpierw koniecznie zaparzy dobrą kawę.

- Och, Mags - jęknęła, kiedy w końcu usiadły przy kuchennym stole z kawą i bułeczkami cynamonowymi. - Najgorsze, że nie mogę powiedzieć Issy, że jej ojciec tu był, ale nie chciał się z nią widzieć. Jak mogłam mu na to pozwolić? Po raz kolejny ją zawiodłam. - Łzy kapały jej do kubka.

- Absolutnie nie wolno ci przekazać jej, że tu był - podkreśliła Maggie. - To nie twoja wina, to wszystko sprawka Jamesa. Jest tak zarozumiały, że nie śmiał nawet spojrzeć własnemu dziecku w oczy po tym, co zrobił.

- Maggie! - Caroline nie wierzyła własnym uszom. - Chyba nie myślisz, że James naprawdę to zrobił?

- A niby dlaczego policja depcze mu po piętach? A teraz chce, żebyś w jego imieniu tłumaczyła wszystko Issy, choć ona ma i bez tego dość stresów po tym, jak was zostawił.

Caroline nie była w stanie nawet spojrzeć na ulubioną cynamonową bułeczkę, świeżutką, prosto z pieca z piekarni Wrightów po drugiej stronie ulicy.



- Mark nie wspominał o brakujących funduszach w firmie. Mówi, że James jest związany z Gayle Lee Chen.

- Z tą suką. - Maggie znała całą historię i na odległość wyczuwała sukę.

- I co ja mam teraz robić?

- Czekać, co będzie dalej, a na razie żyć normalnie. I ani słowa Issy.

Caroline uznała, że to dobry pomysł. Zamyśliła się na chwilę i stwierdziła:

- Maggie, to już naprawdę koniec. No wiesz, z Jamesem. W każdym razie z mojej strony.

- Alleluja! Wiedziałam! Zobaczyłam to w twoich oczach, gdy zaczęłaś o nim mówić.

- Już na mnie nie działa.

- A ty na niego?

Zastanowiła się. Przypomniała sobie, jak na nią patrzył, jak wspominał ich pierwsze spotkanie. I nie wiedziała, co odpowiedzieć.

### *Rozdział 31*

JAMES EVANS WRÓCIŁ DO HONGKONGU i pierwsze kroki skierował do hotelu Peninsula, skąd zadzwonił do Marka i umówił się na jego jachcie w Lantau.

Wyspę Lantau z Hongkongiem łączą dwa kamienne mosty, a także linia kolejowa i połączenie promowe. James wsiadł na prom, a potem do niebieskiej taksówki - tylko takie miały pozwolenie na poruszanie się po wyspie. Zapłacił kierowcy, jak zawsze

zostawiając suty napiwek, i odprowadzał samochód wzrokiem, jakby z oczu znikał mu ostatni ślad cywilizacji.

Jak zawsze był nienagannie ubrany - miał na sobie białą koszulkę polo, spodnie khaki z czerwonym płóciennym paskiem - prezent od jednej z kobiet, które uwiódł. Kobiety były w jego życiu zawsze, zjawiały się i znikwały. Poza Caroline. I Gayle Lee. I, teraz, Melanie. Niósł niewielką torebkę z logo Hermesa. Gdyby nie pionowa zmarszczka na czole i dłonie w kieszeniach, nikt by się nie domyślił, że cokolwiek trapi Jamesa Evansa.

Jacht Marka przyciągał wzrok - smukła sylwetka, starannie zwinięte czarne żagle, świeżo pomalowany czarny kadłub, pokład z drzewa tekowego bez jednego zadrapania.

Mark przytrzymał jacht przy pomoście, gdy James wskoczył na pokład. James nigdy nie wchodził - zawsze wskakiwał, wiecznie pełen niespożytej energii.

W ślad za Markiem zbiegł po schodkach pod pokład, opadł na kanapę, odchylił głowę, żeby wyrzeć przez bulaj.

- Spokojnie. - Mark wrzucił do szklanki kilka kostek lodu, nalał dzinu z odrobiną toniku. James od studiów pijał to samo. - Nie wezwałem policji - dodał.

- Cóż, nie sądziłem, że to zrobisz. - James uniósł szklankę w szyderczym toąście. - Za lepsze czasy, przyjacielu. - Odłożył torebkę z logo Hermesa na kanapę obok siebie, oparł łokcie na kolanach, pochylił się do przodu, zacisnął obie dłonie na szklance. - Posłuchaj, chcę, żebyś wiedział, że nigdy cię nie okradłem - podkreślił. - To moja współpracowniczka Gayle Lee.

Chińscy gangsterzy, dla których pracuje, zaczęli naciskać, choć ciągle nie wiem dlaczego. W każdym razie wiedziała z moich dokumentów, jak włamać się na konta. Ale powiedziała, że ponownie przelała brakujące kwoty, zanim ktokolwiek się zorientował. Mark się roześmiał.

- Więc nigdy nie poznałeś jej znajomych z półświatka? Tych, których pieniądze dawała ci do wyprania? Pewnie zgarniała je sama, żeby żyć w luksusie. To stary numer. Wypłacała im odsetki i liczyła, że jeszcze trochę zdoła bawić się z nimi w kotka i myszkę.

James wbił wzrok w szklanę, jakby wypatrywał gór lodowych w okolicach bieguna północnego.

- Wykorzystałeś mnie - ciągnął Mark. - Mało brakowało, a poszedłbym na dno, nadal może się tak skończyć, jeśli prawda wyjdzie na jaw. Mogłeś mnie zrujnować i tylko dlatego, że się zadurzyłeś...

- Zadurzyłem? Ty nic nie rozumiesz! - zachnął się James. - Nigdy nie rozumiałeś. Ja ją kochałem. Kochałem Gayle Lee. Wnosiła coś nowego do mojego życia. Pochłaniała mnie - dodał desperacko. - Dla niej zrobiłbym wszystko, bez żadnych pytań.

- Ona cię zniszczy. Zobacz, już zniszczyła twoją rodzinę. Jesteś dla niej kozłem ofiarnym, choć tego nie widzisz. Ona cię nie kocha; ona cię wykorzystuje. Jak zabawkę.

James wstał, przechadzał się nerwowo.

- A ta druga? - dopytywał się Mark. - Ta, którą trzymasz w apartamencie w Makao?

James jęknął. Podszedł do barku, dolał sobie dzinu z tonikiem.

- Melanie jest inna. - Martwym wzrokiem wpatrywał się w bulaj. - To dla niej odchodzę od Gayle. Pochodzi z innego świata, jest niewinna, przy niej znowu umiem się śmiać, przy niej czuję się młody. Pomoże mi, w przeciwieństwie do...

- W przeciwieństwie do Caroline. James zerknął na niego.

- Wydaje ci się, że wszystko wiesz, co, Mark? Jak zawsze. I to jest twój największy problem. Zawsze udajesz niewiniątko, ale teraz zaczynam się zastanawiać, czy naprawdę jesteś taki niewinny. A może dogadałeś się z Gayle Lee, może to ty pomogłeś jej położyć łapę na pieniądzach... - Dopił drinka do dna i wyszedł.

- Dokąd się wybierasz? - zawołał za nim Mark.

- Idę się zalać.

Chwiejnym krokiem wszedł na schody. Pił już w samolocie, a w drodze na łódź zahaczył o bar w hotelu Peninsula. Zataczał się w ciasnym korytarzyku. Na śmierć zapomniał o torebce z logo Hermesa, w której był pożegnalny prezent dla Gayle Lee, na otarcie łez. Zawsze lubiła Hermesa.

Wczesnym rankiem następnego dnia Mark Santos zadzwonił na posterunek policji w Hongkongu i poprosił, by ktoś przyjechał na jego łódź. Czekał na pokładzie. Porucznik Huang w ślad za nim zszedł pod pokład, gdzie James Evans bezwładnie leżał na kanapie. Jego głowę spowijał kolorowy szal od Hermesa. Kula zostawiła w nim niewielki otwór. Krew z rany wyjściowej wsiąkła w oparcie kanapy. Martwe oczy tępo wpatrywały się w sufit. W prawej dłoni trzymał pistolet.

- Był moim przyjacielem i wspólnikiem - powiedział Mark Santos do porucznika Huanga. - Wczoraj wieczorem przyszedł tu i wyznał, że ma kłopoty finansowe. Zaproponowałem, że mu pomogę, ale zapewnił, że sam sobie poradzi. Wydaje mi się też, że w sprawę była zaplątana kobieta, może nawet niejedna... a sam pan wie, że to się nigdy dobrze nie kończy. Niedawno odeszła od niego żona i zabrała córkę. Pewnie to wszystko go przerosło. Nie był sobą. Wydaje mi się, że po prostu stracił wolę życia.

Porucznik Huang przyglądał mu się uważnie.

- James po prostu się poddał - powtórzył Mark, patrząc mu w oczy.

## *Rozdział 32*

JAKIŚ FACET Z HONGKONGU CHCE Z tobą rozmawiać -oznajmiła Sarah Córka Młynarza, przełożyła Małego Billy'ego na drugą rękę i podała Jesusowi słuchawkę.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Mąż Caroline?

- Mówi, że nazywa się Mark Santos. Zdumiony podniósł słuchawkę do ucha.

- Jesus Gonzalez? Poznaliśmy się w pubie, kiedy przyjechałem do Caroline.

- Tak, oczywiście, pamiętam.

- To najtrudniejsza rozmowa, jaką przyszło mi w życiu odbyć, a dzwonię do ciebie, bo nie mogę powiedzieć tego Caroline tak bezosobowo, przez

telefon. Jesteście z Maggie jej przyjaciółmi i będzie potrzebowała waszego wsparcia.

Jesus miał przeczucie, że wie, co usłyszy.

- Mąż?

- Nie żyje. - Długa chwila ciszy, podczas której te słowa docierały do Jesusa. - Jest jeszcze gorzej. Zastrzelił się.

Jesus się przeżegnał.

- To źle, to bardzo źle.

Sarah, która zdążyła ułożyć Małego Billy'ego w nosidełku, przerażona podniosła głowę.

- Nie powiem jej tego przez telefon — tłumaczył Mark. - Ty i Maggie musicie przy niej być.

- Jak on mógł jej to zrobić? - Nagle Jesus wpadł w gniew.

- Chyba nie wiedział, jak się wykaraskać z tarapatów finansowych.

Mark nagle zaczął mówić zwięźle, krótko, i Jesus miał wrażenie, że według tamtego, teraz, gdy się dowiedział, to jego sprawa i on musi się wszystkim zająć.

- Maggie jej powie - zapewnił. - Będziemy przy niej, gdy powie Issy. Zadzwoń później po...

- Szczegóły - dokończył Mark.

Jesus odłożył słuchawkę i poszedł poszukać swojej żony.

Była w sypialni. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, by zorientowała się, że coś się stało.

- Nie, nie chodzi o dziewczynki - oznajmił szybko. - Chodzi o męża Caroline. - Przysiadł na łóżku. Maggie zrobiła to samo. - Zastrzelił się.

Zamknęła oczy. Nie wierzyła własnym uszom.

- Jak to? Kiedy? Przecież córka tak bardzo go kocha!
- Jesus objął ją ramieniem. Nie wiedział, jak się z tym uporać.
- Powiemy Caroline razem - zdecydował w końcu. - I odbierzemy dziewczynki ze szkoły. Zadzwoń do dyrektorki, powiadom ją o tym, co się stało.
- Powiemy Issy.
- Nie - mruknął. - To musi zrobić jej matka, Boże, miej ją w opiece.

### *Rozdział 33*

CAROLINE KRZĄTAŁA SIĘ W NOWEJ KUCHNI, wieszła na ścianie komplet żeliwnych patelni, gdy usłyszała chrzęst żwiru pod kołami samochodu i po chwili trzaśnięcie drzwiczek. Zerknęła na wiekowy zegar ścienny w drewnianej obudowie. Przed laty trafił z rozbieranej stacyjki kolejowej do antykwariatu, a stąd - do kuchni Caroline. Dochodziła dwunasta. Za wcześnie na gości. A może jakaś dostawa?

Wybiegła z kuchni, wyrzała na dwór i ze zdumieniem zobaczyła Maggie i Jesusa. Stali bez ruchu, bez słowa. Jesus trzymał Maggie za rękę. Pod Caroline ugięły się nogi.

- Nie chodzi o dziewczynki - rzuciła szybko Maggie.
- Caroline z ulgą osunęła się na stopień.
- Bogu dzięki - mruknęła. Maggie przycupnęła koło niej.

- Słuchaj, nie ma co ukrywać, mam złe wieści -zaczęła cicho. -  
Straszne wieści. Musisz być dzielna, ze względu na córkę.

Caroline domyślała się, że chodzi o Jamesa; czuła to w kościach.

- James, tak? - szepnęła.

Maggie objęła ją ramieniem. Jesus podszedł bliżej, przyklęknął.

- On nie żyje, Caroline - rzekł. - Mark nie chciał ci tego mówić przez telefon. Prosił, żebyśmy ci powiedzieli osobiście.

Zamknęła oczy, uciekła w głąb siebie. Nagle przeszłość i terażniejszość splatały się tak nierozzerwalnie, że nie wiedziała już, co jest czym. Ukryła twarz w dłoniach. I z jej oczu popłynęły łzy. Spływały wzdłuż palców.

Maggie podała jej chusteczkę.

- Płacz - szepnęła. - Tak trzeba.

- Tyle łez przez niego wylałam! Tyle łez! A teraz on nie żyje! -  
Uniosła głowę, spojrzała na nich. - Co się stało?

- Popęłnił samobójstwo - wyjaśnił Jesus. - Zastrzelił się.

Pobladła.

- To moja wina - jęknęła. - Prosił mnie o pomoc, a ja odwróciłam się do niego plecami. Nie rozumiecie? To wszystko moja wina!

- On sam zdecydował się zakończyć swoje życie, nikt inny nie miał na to wpływu - zaznaczyła Maggie stanowczo. - James sam dokonał wyboru. Tu nie chodzi o ciebie, tylko o niego.



- Słyszałem, że w takiej sytuacji najbliżsi zawsze mają wyrzuty sumienia - dodał Jesus. - Ale to nie ty podjęłaś taką decyzję, Caroline, tylko on.

Znowu ukryła twarz w dłoniach. Kołysała się monotennie.

- Boże, Boże, Boże - jęczała. - Muszę powiedzieć Issy, że jej ojciec nie żyje... że się zabił.

Patrzyli na nią ze współczuciem, ale nie mogli jej pomóc. James po raz ostatni zrzucił na nią całą odpowiedzialność.

- Pojadę po dziewczynki - odezwał się Jesus. - Dzwoniłem do szkoły, będą na mnie czekać.

- Słuchaj, wracajmy do domu. - Maggie głaskała Caroline po włosach. - *Amiga*, możesz na mnie liczyć. Chodź, zawiozę cię do domu. Później zadzwonisz do Marka. Opowie ci, co się właściwie stało. A tymczasem musisz powiadomić Issy, że jej ojciec nie żyje. Później, kiedy się wszystkiego dowiesz, powiesz jej prawdę.

Caroline wsiadła z Maggie do samochodu. Wróciły do pubu. Wystarczyło pięć minut, by jej świat zmienił się całkowicie. To, że już kogoś nie kochasz, wcale nie znaczy, że nie rozpaczasz, gdy umrze, pomyślała. I tak wspominasz dobre czasy, kiedy byliście zakochani po uszy, i ostatnie bolesne miesiące. Do tego doszły wyrzuty sumienia, że nie pomogła mu, gdy stanął na jej progu. A teraz James nie żyje. Zawiodła go. Jak niby ma przekazać to córce?

## Rozdział 34

CAROLINE MUSIAŁA POROZMAWIAĆ Z MARKIEM, dowiedzieć się, co tak właściwie się stało. Zadzwoiła do niego. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Przykro mi, że mam dla ciebie tak smutne wieści - zaczął. - Co gorsza, nie mogę przekazać ci ich osobiście, ale chciałem, żebyś wszystko wiedziała, zanim to trafi do prasy.

Opowiedział, jak James do niego przyszedł, przytoczył jego słowa.

- Powinieniem był się zorientować, jak bardzo jest pijany i zdesperowany. Teraz już wiem, że nie powinienem był pozwolić mu odejść w takim stanie. Później pewnie wrócił, szukał mnie.

- Powiedz mi wszystko - poprosiła przez łyżę. - Wszystko.

Opowiadał więc, jak znalazł Jamesa i wezwał policję.

- To było dziwne - zauważył. - Owinął sobie głowę szalikiem do Hermesa, zanim się zastrzelił. Chyba miał go w torebce, z którą wszedł na pokład. Pewnie nie chciał, żeby krew poplamiała jacht, wiesz, że był bardzo schludny - dodał. - I wiedział, że kocham ten jacht. To był dobry człowiek, który zwyczajnie pogubił się w życiu.

Caroline widziała to wszystko oczami wyobraźni: szalik od Hermesa, broń, krew. Dziwne, ale w jej wspomnieniach James wcale nie był schludny. Rzucił ubrania, gdzie popadnie, łazienka po jego wizycie wyglądała jak pobojuwisko. Zaskakujące zamiłowanie do porządku tuż przed śmiercią.

- James zapewnił mnie, że nie ukradł pieniędzy klientów - ciągnął Mark. - Mówił, że jest niewinny. I ja w to wierzę.
- Caroline też usiłowała wierzyć ze względu na córkę.
- Oczywiście przyjedziemy na pogrzeb - oświadczyła. Słowo „pogrzeb” z trudem przeszło jej przez gardło.
- Po sekcji zwłok sprowadzę ciało do Singapuru. Biedak. W końcu się wyrwał ze szponów Gayle Lee, pomyślała.
- To potrwa kilka dni - usłyszała. - Caroline, powiedz Issy, że ją kocham.
- Dobrze.
- Caroline?
- Tak?
- Ciebie też.
- Dobrze.

### *Rozdział 35*

ISSY NUDZIŁA SIĘ JAK MOPS na lekcji algebry i usiłowała zrozumieć cokolwiek z hieroglifów na tablicy. Zdziwiła się, gdy sekretarka zapukała do klasy, szepnęła coś na ucho nauczycielce, która skinęła głową i rozejrzała się po twarzach uczniów.

- Isabel Evans i Samantha Gonzalez mają natychmiast stawić się w gabinecie pani dyrektor -oznajmiła.

Dziewczynki spakowały się szybko. Dokoła nich rozległy się zdumione szepty.

- Co zrobiliśmy? - mruknęła Issy niespokojnie, gdy szły długim korytarzem. Wtedy zobaczyła pana Gonzaleza.

- Stało się coś strasznego. - Złapała Sam za rękę.

- Wszystko w porządku - zapewnił szybko Jesus, co jednak nie tłumaczyło ani jego obecności w szkole, ani dlaczego zabierał je do domu.

W milczeniu wsiadły do samochodu. Droga do domu dłużyła się niemiłosiernie. Caroline i Maggie czekały na nie w kuchni.

- Mama ma ci coś do powiedzenia - odezwała się Maggie do Issy. - Chodź, Sam.

Caroline serdecznie objęła córkę.

- Issy, chodzi o tatę - zaczęła.

Isabel czuła, jak cała krew odpływa jej z twarzy. Przeszył ją dreszcz, ugięły się pod nią nogi.

- Co ty opowiadasz? On nie żyje, tak? Chcesz powiedzieć, że on nie żyje? Jak to?! Jak mógł umrzeć?! - Machała rękami, krzyczała, niezdolna zaczerpnąć tchu. Pozostali usłyszeli ją i wbiegli do kuchni. - To niemożliwe, że nie żyje! - krzyczała. - Niemożliwe! To mój ojciec...

Caroline chciała ją objąć, ale Issy ją odepchnęła.

- Jak to się stało? Jak do tego doszło? Dlaczego?

- Kochanie, on chciał umrzeć - wyjaśniła Caroline cicho. - Sam wybrał śmierć.

Issy umilkła. Ze zdumieniem wpatrywała się w matkę.

- Chcesz powiedzieć, że popełnił samobójstwo? Mój ojciec? James Evans? A niby jak to zrobił, jeśli mogę wiedzieć? Powiesił się? Utopił? No, jak?

Caroline przecząco pokręciła głową. Słowa nie przechodziły jej przez gardło. W końcu powiedział to Jesus:

- Issy, twój ojciec uznał, że nadszedł jego czas. Miał pistolet. Sam tego chciał, zapamiętaj to sobie. I to, że cię kochał.

Issy wpatrywała się w niego zaskoczona, a potem gwałtownie odwróciła się do matki.

- Gdybyś od niego nie odeszła - wycedziła ze śmiertelnym spokojem - gdybyś mnie nie wywiozła, nie odebrałby sobie życia. Nie zostawiłby mnie całkiem samej. On mnie naprawdę kochał, wiesz?

- Wiem, wiem - szepnęła Caroline. - Ale miał poważne kłopoty finansowe. Zniknęły pieniądze, podejrzewano go o kradzież, sam mi to wyznał...

- Caroline! - Maggie powstrzymała ją w ostatniej chwili, mało brakowało, a powiedziałyby Issy, że jej ojciec tu był i nie chciał się z nią spotkać.

- Ktoś go wrabia - orzekła Issy stanowczo. - Ktoś inny ukradł te pieniądze i zwała winę na niego. Ktoś, kto go nienawidzi, kto mu zazdrości, że jest, jaki jest.

Powiodła wzrokiem po twarzach zebranych.

- Mój ojciec został zamordowany - stwierdziła.

### *Rozdział 36*

KILKA GODZIN PÓŹNIEJ CAROLINE siedziała w kuchni z Maggie, Jesusem i Sarah. Wychyliła podwójną brandy i w końcu nie drżały jej dłonie. Wezwano

lekarza. Issy zasnęła po tabletkę uspokajającej. Były z nią Sam i Ślepa Brenda.

Maggie postawiła przed sobą laptop Caroline i odpowiadała na wiadomości, bo przyjaciółka nie była w stanie tego robić. Wiedziała jedno - czeka je pogrzeb Jamesa i muszą jak najszybciej polecieć do Singapuru.

Jesus zaparzył swoją piekielnie mocną kawę, z odrobiną mleka i sporą ilością cukru - żeby dodawała sił - i rozlewał do kubków. Sarah płukała talerze i ustawiała je w zmywarce, choć na razie nie chciała jej włączać ze względu na hałas. Dokoła panowała cisza. Nikt nic nie mówił, wszyscy myśleli intensywnie. A potem Mały Billy zapiszczał głośno i wyrwał wszystkich z zadumy.

Krzyki Billy'ego chyba ściągnęły Caroline z powrotem na ziemię.

- To oczywiście nieprawda - powiedziała. Jesus postawił przed nią kolejny kubek kawy.

Nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

- No, Issy - wyjaśniła. - Myli się. James to zrobił, zabił się. Miał kłopoty i nie wiedział, jak sobie z nimi poradzić. Sam mi to mówił, Mark też.

- Zresztą niby dlaczego ktoś chciałby go zabijać? - zdziwiła się Maggie.

- Chodzi o kobietę.

- Zazdrość. - Jesus usiadł koło Caroline i wcisnął jej kubek w dłoń. - Pij - poradził. - To cię wzmocni.

- Masz na myśli Gayle Lee Chen? - Maggie nie wydawała się zaskoczona. Z tego, co wiedziała, to bezlitosna suka, zdolna do wszystkiego.

Sarah wzięła Billy'ego na ręce, podeszła do stolika. Była częścią tej rodziny; przecież pracowali razem, żartowali, trwali przy sobie podczas podróży przez życie. Mały Billy, obecnie dziewięciomiesięczny, wtulił się w jej chudy obojczyk z głośnym płaczem. Podała mu butelkę. Umilkł od razu.

- Posłuchaj - zaczęła. Caroline spojrzała na nią. - Na pewno chcesz, żeby Issy jechała na pogrzeb? - Sarah widziała, jak histerycznie zareagowała Issy, słyszała, jak sugerowała, że James padł ofiarą morderstwa.

- Musi pożegnać się z ojcem - stwierdziła Caroline ze znużeniem w głosie. Od kilku godzin w kółko zadawała sobie to samo pytanie.

- Musi pojechać na pogrzeb - zawtórowała jej Maggie. - Musi to zobaczyć, a może wtedy szybciej się z tym wszystkim upora. - Spojrzała na ekran komputera, bo przyszła nowa wiadomość. - Od Marka - wyjaśniła. - Wysłał bilety, linie Singapore Air, na pojutrze. Dla nas wszystkich, ja, Jesus i Sam mamy lecieć z tobą.

Caroline dziękowała Bogu - i Markowi. Przerazała ją myśl o długich godzinach w samolocie u boku zrozpaczonej córki.

- Ale ja nie mogę zostawić pubu! - zdenerwował się Jesus.

- Owszem, możesz. - Sarah przełożyła Małego Billy'ego na drugie ramię i zmierzwiła mu jasne włoski. - Ja cię zastąpię. Wiem, co robić, pracuję tu już na tyle długo, że sobie poradzę. Jest jeszcze moja mama, jakby co, pomoże.

Wszyscy troje spojrzeli na nią ze zdumieniem.

- Tak, mam rodzinę - rzuciła zaczepnie. - Po prostu odwrócili się do mnie plecami, gdy wykreciłam im taki numer z ciążą.

- Jaki numer? - zdziwiła się Maggie.

- Zaszłam przed ślubem. Do którego nigdy nie doszło. - Sarah nie widziała problemu w samotnym rodzicielstwie i miała w nosie, co inni o tym myślą. - Jesteś dobrą matką - zwróciła się do Caroline. - Nie przejmuj się tym, co powiedziała Issy. Sama pamiętam, co mi się zdarzało wykrzyczeć do swojej mamy. Do dzisiaj tego żałuję. Tak czasami bywa. Dzieci zachowują się agresywnie. Mój Mały Billy też mnie tak pewnie kiedyś potraktuje.

- Dzięki - mruknęła Caroline. - Wiem, co masz na myśli.

- Nie zwracaj głowy swojej matce, Sarah - wtrącił się Jesus. - Zadzwoń do właściciela, powiem, jaka jest sytuacja, niech przyśle kogoś na zastępstwo.

- Bilety już są - poinformowała Maggie. - I jeszcze jedna wiadomość.

Caroline upiła łyk kawy i skrzywiła się, czując jej gorycz. Znużonym gestem odgarnęła włosy z twarzy, stanęła za Maggie i przebiegła wzrokiem wiadomość.

*Caroline, było tyle roboty, że nie miałem nawet czasu myśleć, ale uwierz, cały czas pamiętałem nasz wspólny wieczór. Wracam w sobotę. Co powiesz na powtórkę, może niedziela? Jim (Thompson, na wypadek gdybyś zapomniała).*

Jim Thompson, kolacyjki i rzeczywistość - to wszystko wydawało się tak odległe, że niemal nierealne.



- Nie mam na to siły - wyznała.

Maggie zapewniła, że się tym zajmie, i napisała do Jima, że Caroline musi wracać do Singapuru i że odezwie się po powrocie. Uznała, że nie ma prawa pisać niczego więcej. Caroline sama mu powie, jeśli uzna, że to konieczne.

Zmęczenie sprawiło, że pod Caroline ugięły się nogi. Kawa nie złagodziła efektów podwójnej brandy - i bardzo dobrze. Teraz marzyła tylko o jednym - żeby się położyć.

Jesus powiedział, że odwiezie Sarah do domu. Maggie zaprowadziła Caroline na górę. Poczekiwała, aż przyjaciółka zrobi to, co wszyscy, nawet gdy świat wali im się na głowę. Codzienne czynności, jak mycie zębów, rozebranie się i zwiniecie w kłębek na łóżku.

- Śpij. - Maggie układała jej ubranie na krześle. - Postaraj się odpocząć. Issy jest z Sam. Jakby co, ma mnie budzić.

Oczy Caroline lśniły szkliście ze zmęczenia.

- Biedny James - szepnęła przez łzy. - Biedny, biedny James.

### *Rozdział 37*

NASTĘPNEGO RANKA ISSY DŁUGO wpatrywała się w sufit, zanim wreszcie wstała. Myślała o ojcu. Wiedziała, że nie żyje. Że już nigdy go nie zobaczy. Ale nie oszalała, po prostu chyba wypłakała już wszystkie łzy. Sam, która leżała obok niej, stwierdziła w końcu:

- Chodź, przygotujemy śniadanie. Przynajmniej będziemy miały coś do roboty.

Issy parzyła kawę, Sam przypalała grzanki.

- Nie przejmuj się, nikt niczego nie zauważy -zapewniła, zdrapała spaleniznę ze wszystkich kromek i posmarowała je grubo dobrym irlandzkim masłem, za którym przepadała Maggie.

Woda się zagotowała. Issy zalała wrzątkiem torebkę earl greya w dużym kwiecistym kubku z porcelany wedgwood. Sam powiedziała, że używają go tylko na specjalne okazje, ale obie uznały, że dzisiaj jest właśnie taka okazja. Postawiła herbatę na tacy, dodała grzanki i poszła na górę.

Drzwi do pokoju Caroline stały otworem, jak zawsze, ale Issy i tak zapukała.

- To ja - odezwała się cicho. Caroline odgarnęła włosy z oczu.

- Śniadanie. Dziękuję, Issy.

Isabel widziała, że matka wygląda strasznie.

- Przepraszam - wykrztusiła.

- Ja też - odpowiedziała Caroline.

- Ale ja naprawdę wierzę w to, co mówiłam. Nie pogodzę się z myślą, że tata... no wiesz.

Caroline skinęła głową. Znowu pękało jej serce.

- Rozumiem.

Issy postawiła tacę na podłodze i przysiadła na skraju łóżka.

- To kolejne ciężkie przeżycie, z którym przyszło ci się zmierzyć - stwierdziła Caroline. Wzięła córkę za rękę i siedziały tak, wpatrzone w przestrzeń, nie w siebie.

- I co teraz, mamó? - zapytała Issy z rezygnacją w głosie.

- Lecimy do Singapuru na pogrzeb. Musimy się pożegnać. Nie będziemy same, polecą z nami Sam, Maggie i Jesus.

- Wracamy do domu - szepnęła Issy i w końcu poczuła ulgę.

Podczas całego długiego lotu Issy tylko oglądała filmy i czytała gazety.

Przyglądała się pozostałym i zastanawiała, jak to możliwe, że czuje się tak bezbrzeżnie samotna, mając u boku najbliższą przyjaciółkę, szkicującą coś na iPadzie, a matka siedzi po drugiej stronie przejścia i udaje, że czyta kolorowy magazyn, choć ma zamknięte oczy. Maggie i Jesus w milczeniu grali w karty. Ciszę przerywały jedynie monotonny warkot silników, ciche głosy stewardes pytających, czy niczego im nie podać, i krzyki w słuchawkach -dźwięk z filmu na ekranie telewizora.

Bolały ją oczy, zmęczone wpatrywaniem się w sufit. Rozpacz to doznanie fizyczne, teraz już to wiedziała. Przygniatała ją do fotela, przytrzymała, jak czyjeś ciężkie dłonie na ramionach.

Powtarzała sobie, że to nie wina matki. Mama robiła, co w jej mocy, razem z Markiem zajęła się wszystkim, a on miał na nich czekać na miejscu. „Mark się tobą zaopiekuje”, tłumaczyła mama, choć obie wiedziały, że to nie to samo i nie zastąpi jej ojca.

Żałowała, że nie ma przy niej Ślepej Brendy. W jej pustym życiu kotka była prawdziwą przyjaciółką. Poza tym przysięgła sobie, choć matka jeszcze o tym nie wiedziała, że jej noga nie postanie w tej szopie, w której Caroline chciała otworzyć restaurację.

Nadal uważała, że gdyby zostały w Singapurze, nie doszłoby do tych wszystkich nieszczęść. Mieszkałyby, jak dawniej, w pięknym apartamencie, a ojciec znalazłby jakieś wyjście z kłopotów. Powiedziałyby im, że je kocha i ich potrzebuje. A potem, zamiast strzelać sobie w głowę, wróciłby do domu i wszystko byłoby dobrze. Nadal mieszkaliby we trójkę. Byliby rodziną.

Dlaczego tylko ona jest przekonana, że tatę zamordowano? Dla niej to oczywiste. Nie znosił broni palnej, nigdy nie trzymał jej w domu, twierdził, że to symbol wojny i przemocy, i nie życzył sobie, by coś takiego znajdowało się pod jego dachem, w pobliżu jego żony i córki.

Rodzina wiele dla niego znaczyła, choć słyszała plotki o innych kobietach. Nie zapomniiała spotkania z tamtą nieznaną w hotelu w Hongkongu i teraz pomyślała, że taka osoba nie zawahałaby się przed morderstwem, bo i tak ma zamiast serca bryłę lodu. Gayle Lee Chen i jej podobne robią to, co im pasuje. No tak, ale musiała mieć jakiś powód, by go zamordować; motyw, jak to nazywali w telewizyjnych serialach kryminalnych. Nic takiego nie przychodziło jej do głowy.

Kiedy w końcu wysiedli z samolotu i znaleźli się w klimatyzowanym terminalu lotniska Changi, Issy myślała o jednym - cieszyła się, że może wreszcie wyprostować nogi. Przeszli kontrolę paszportową, celną, a potem okazało się, że czeka na nich szofer z tabliczką z ich nazwiskiem, i po chwili już jechali do hotelu.

Z ulgą wsiadła do rolls-royce'a, żeby uciec przed gorącym wilgotnym powietrzem. Ruszyli do hotelu Raffles.

Issy w milczeniu wpatrywała się w okno. Widziała znajome miasto, rzekę i wieżowce, a między nimi architektoniczne perełki - zabytkowe domy kolonialne. Widziała ulice pełne parterowych domków, kafejek i centrów handlowych, mosty, nabrzeża, boisko do krykieta, katedrę, targ. Historia Singapuru, całe życie miasta tłoczyło się na małym skrawku ziemi. Na ulicach kłębili się Malajowie, Hindusi, Tajowie i Chińczycy. Wystarczy, by uchyliła okno, a poczuje znajome zapachy lokalnych przysmaków i usłyszy nawoływania ulicznych sprzedawców oraz krzyki mew, dźwięki dzwonów, zawodzenie muezinów. Singapur, jej prawdziwy dom, tętnił życiem. A jednak kogoś w nim zabrakło.

Hotel Raffles stanowił białą oazę w cienistym ogrodzie. Na werandach i w altanach czekały białe rattanowe fotele, wzrok kuszyły barwne rabaty. Issy bywała tu często, przychodzili tu na niedzielne obiady, czasem wpadali na podwieczorek. Niemal wierzyła, że czeka na nie ojciec.

Ale nie. Tym razem to Mark wyszedł im na spotkanie.

### *Rozdział 38*

CAROLINE POCAŁOWAŁA MARKA W POLICZEK i podziękowała mu niezdarnie. Dziwne, pomyślała, że tak niezręcznie się czuje w towarzystwie starego przyjaciela Jamesa, ale teraz jakimś cudem wszystko wydawało się inne.

Marek objął serdecznie Issy. Przywitał się z Sam uścisknął dłonie Maggie i Jesusa, którego zapewnił, że pamięta, by wymawiać jego imię Hesus. Całej trójce podziękował, że okazują Issy i Caroline wsparcie.

- Poza nami James nie miał żadnej rodziny -zauważyła Caroline. Był jedynakiem, a jego rodzice umarli młodo, nie poznali ani mnie, ani swojej wnuczki. - W myślach podziękowała Bogu za to, że nie dożyli samobójczej śmierci jedynego syna.

Jej rodzice mieli przylecieć tego wieczoru, choć prosiła ich, żeby darowali sobie długą podróż z Francji, oni jednak nawet nie chcieli o tym słyszeć.

- I ty, i Issy będziecie potrzebowały wsparcia -tłumaczyła córce Cassandra Meriton tym charakterystycznym tonem, z którym, co Caroline pamiętała z dzieciństwa, nie ma dyskusji.

- Nie było nas na waszym ślubie - dorzucił ojciec, biorąc od matki słuchawkę. - Przynajmniej teraz będziemy wam towarzyszyć.

Mark zarezerwował im eleganckie apartamenty, gdzie w oknach wisiały jedwabne story, a pod ścianami stały kanapy obite brokatem. Łazienki kusiły marmurami, wannami z hydromasażem, miękkimi ręcznikami i perfumowanym mydłem.

Zjawił się kelner z napojami. Caroline odesłała dziewczynki do pokoju, żeby odpoczęły.

Mark stał przy oknie, ale teraz podszedł bliżej, usiadł koło niej na kanapie i otworzył butelkę schłodzonego szampana.

- To chyba kosztuje majątek - zauważyła Caroline.

Wzruszył ramionami.

- Firma zapłaci. - Podał jej kieliszek. Unikała jego wzroku, nie chciała słyszeć tego, co miał jej do powiedzenia, choć wiedziała, że nie zdoła tego uniknąć.

- Koroner potwierdził, że to było samobójstwo -oznajmił. - Policjanci pracowali bardzo sumiennie, przanalizowali też jego finanse. - Wzruszył ramionami. - Nic więcej nie da się zrobić.

- Według Issy Jamesa zamordowano - odezwała się.

Znowu wzruszył ramionami.

- Nonsens. W każdym razie sprawa jest już zamknięta. To koniec. Niech mu ziemia lekką będzie.

Wstał, przechadzał się nerwowo.

- Zajmę się wszystkim - obiecał. - Firmą, mieszkaniem... Wszystkim. Odłożę przedmioty osobiste, zdjęcia i pamiątki, które być może zechcecie zatrzymać. No wiesz, jego stare pióro Montblanc, zegarek, spinki do mankietów...

- *Memento mori* - stwierdziła Caroline ze smutkiem. Z jednej strony miała ochotę sama tam wrócić, rozejrzeć się, ale wiedziała, że dla Issy będzie to zbyt bolesne. - Mówi się, że nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki - mruknęła znużonym głosem.

- Nic ci z tego nie przyjdzie - zauważył cicho. To już koniec, pomyślała. Koniec pewnej epoki.

- James wziął kolejną pożyczkę pod zastaw apartamentu - dodał. - Sprzedam go i zobaczymy, co zostanie po spłacie długów. Niestety, przepuścił większość swoich udziałów w firmie, ryzykował, przekazał je tej kobiecie. Nic już na to nie poradzę.

Caroline duszkiem wychyliła szampana i odstawiła kieliszek.

Mark spojrział na nią.

- Pogrzeb jest o wpół do dwunastej.

Z westchnieniem szykowała się na koszmarne chwile.

- Wieczorem przylecą moi rodzice.

- Zjemy razem kolację, porozmawiamy jak ludzie.

Miał rację. Gdy śmierć puka do drzwi, trzeba zachowywać się godnie, wspominać dobre czasy, wypić za zmarłego.

Czuła na sobie jego wzrok.

- Poradzisz sobie? - zapytał.

- Bardziej żał mi Issy niż Jamesa - wyznała. - Teraz to ona cierpi najbardziej.

- Zrobię, co w mojej mocy, by wam pomóc - zapewnił. Uwierzyła mu.

### *Rozdział 39*

CASSANDRA MERITON, MATKA CAROLINE, nienawidziła swojego imienia. Co, do cholery, strzeliło jej rodzicom do głowy, by nazwać ją imieniem greckiej wróżbitki, która odrzuciła zaloty samego Apollina?

- Widzisz, skoro uważali, że jestem boska, mogli mnie przecież nazwać imieniem Diany, bogini łowów, czy Artemidy, siostry Apolla, która chyba ciągle przesiadywała z koleżankami i świetnie się bawiła. I dlatego - zaznaczyła - ty nazywasz się Caroline, prosto i zwyczajnie. A ja skracam moje imię do Cas-sie. A Isabel, piękne imię, to Issy. Brzmi to jak dwa drinki: poproszę Cassie i Issy, z lodem...



Matka zawsze potrafiła ją rozbawić. Zawsze biła od niej radość, nawet teraz, gdy zjawiała się w hotelu Raffles objuczona bagażami i prezentami.

- Skarbie! - zawołała, upuściła pakunki na ziemię i wyciągnęła ramiona do Caroline, po czym uściskała ją tak mocno, że córka roześmiała się głośno. -Cudownie cię widzieć, choć wołałabym, żebyśmy się spotkały w innych okolicznościach! - Rozglądała się po eleganckim saloniku. - Albo ten Mark staje dla ciebie na głowie, albo zarobił fortunę - stwierdziła, patrząc badawczo na córkę. - Bo James nie zostawił ci zbyt wiele, co?

- Nie sądzę, nie, nie teraz, kiedy wpakował się w takie tarapaty.

Jej ojciec, wysoki, barczysty, z kapeluszem, który zwykle nosił, zajmując się ogrodem, objął ją serdecznie. Ale najpierw zdjął kapelusz i ścisnął go w dłoni.

- Nie może się z nim rozstać - sapnęła Cassie. -Zrósł się z nim w jedno.

Usiadła na kanapie i poklepała poduszkę koło siebie.

- Usiądź. Porozmawiajmy.

- No właśnie, opowiedz nam wszystko po kolei -zawtórował jej ojciec.

Caroline opowiedziała wszystko, co wiedziała, nie opuściła nawet szczegółów na temat śmierci Jamesa. Wspomniała o szaliku Hermesa na jego głowie.

- Według Marka chciał w ten sposób nie dopuścić do zalania krwią kabiny. Mark stwierdził, że był bardzo schludny. Dziwne, ale inaczej go zapamiętałam. Według mnie w ogóle nie był schludny.

Zagubiona spojrzała na matkę, która oznajmiła, że ludzie pod wpływem wielkiego stresu, jak James ostatnio, robią dziwne rzeczy. Ze względu na Issy, oceniła, szkoda, że dokonał akurat takiego wyboru. I wtedy nagle zalała się łzami.

Cassandra Meriton prawie nigdy nie płakała. W życiu narzekała tylko z dwóch powodów - skarżyła się na swój niski wzrost i na imię. Miała zaledwie metr pięćdziesiąt dwa wzrostu i zawsze nosiła obcasy, choćby niewysokie, ale wierzyła, że dodają jej powagi.

Jej jasne włosy kręciły się niesfornie pod wpływem wilgoci w powietrzu. Nosiła je obcięte na pazia. Miała niebieskie oczy i zadarty nosek. Twierdziła, że jeśli jeszcze raz ktoś nazwie ją słodką, udusi go własnymi rękami.

„Co jak co, ale słodka nie jestem”, zaklinała się. I to prawda. Skończyła literaturę na Oxfordzie, a w wolnym czasie, podczas niezliczonych podróży męża, zrobiła też doktorat.

- Nie mogłabym tak spokojnie siedzieć i oglądać telewizji - tłumaczyła. - Nigdy nie byłam leniwą damulką, która tylko chadza na lunche. - Ale dla Caroline zawsze była troskliwą matką: gotowała domowe obiady i pilnowała, by wszystko było na swoim miejscu. Rodzina i przyjaciele ją uwielbiali.

Podobnie jak mąż, Henry Meriton. Henry podejrzewał, że ludziom się wydaje, że to on jest głową rodziny, ale w rzeczywistości była nią jego żona. Informował o tym wszystkich na prawo i lewo, aż kazała mu przestać, bo wszyscy mają po dziurki w nosie opowieści o tym, jaka jest wspaniała. A w tej chwili serce mu się ścisnęło na myśl o rozpaczyc córki i wnuczki.

Kolację mieli zjeść w Long Bar Grill o ósmej, więc Caroline zaprowadziła rodziców do ich apartamentu, i mając cztery godziny dla siebie, wzięła długą, relaksującą kąpiel w wodzie z pachnącym olejkiem, a gdy już spierzchnęła jej skóra, wyszła z wanny i weszła pod prysznic - żeby umyć włosy i orzeźwić się zimnym strumieniem. Narzuciła miękki biały szlafrok i rozpakowała walizkę. Rozwiesiła sukienkę z czarnego lnu, którą planowała włożyć jutro. Była wspomnieniem z przeszłości. Pamiętała, jak nosiła do niej sznur pereł i malowała usta czerwoną szminką; wybrali się wtedy z Jamesem na kolację, tutaj, w Singapurze. Pamiętała, jak bardzo mu się w niej podobała.

Zadzwoiła na recepcję i poprosiła, żeby obudzili ją o siódmej. Nigdy nie miała zaufania do budzików. A potem opadła na poduszki i przymknęła powieki.

Mark czekał o ósmej. Wszyscy zjawili się punktualnie, choć dziewczynki przecierały zaspane oczy, a wszystkim zmęczenie dawało się we znaki. Siedzieli w restauracji, sąsiadującej z barem, w którym Caroline poznała Jamesa.

- Pamiętasz tę historię? - zapytała Issy.

- Te historie - poprawiła córka. - Nigdy nie słyszałam dwukrotnie tej samej wersji.

Zajęli miejsca przy stoliku, napili się wina. Zjedli co nieco, trochę rozmawiali i udało im się uniknąć tematu jutra.

Dzień pogrzebu był słoneczny, ale na horyzoncie gromadziły się purpurowe chmury. Caroline

wiedziała, że będzie padać; w Singapurze pada codziennie, nikt nie rusza się z domu bez parasola. Po prostu trzeba czekać, aż ponownie wyjdzie słońce, bo zawsze wychodzi.

Metafora życia, stwierdziła Caroline, patrząc na swoje odbicie w lustrze w czarnej lnianej sukience. Jej nogi były bardzo blade i mimo upału musiała włożyć rajstopy. Wsunęła stopy w czarne zamszowe pantofle. Miały co najmniej pięć lat. Kupiła je tutaj, w centrum handlowym Orchard Road, podobnie jak sukienkę.

Maggie i Jesus czekali w saloniku. Jesus miał na sobie czarny garnitur, Maggie była w czarnym kostiumie, który tuż przed wyjazdem kupiła w Oxfordzie. Koło nich stała Sam z poważną miną i jasnymi włosami zaplecionymi w skromny warkocz.

Caroline nie chciała, żeby Issy wystąpiła w czerni. Wiedziała, że James także byłby przeciwko, stało więc na tym, że ich córka włożyła różową bawełnianą spódnicę i białą bluzkę. Na chudych nogach nadal widniała sztuczna opalenizna. Była bardzo cicha. Caroline zaś wydawała się nieszczęśliwa i zagubiona. Nic dziwnego, skrywała w sobie tyle emocji.

Cassandra wystąpiła w czerni, Henry miał na głowie nieodłączną panamę. Włożył garnitur z dawnych czasów, nieco przyciasny.

Zeszli do holu, gdzie już czekał Mark. Pojechali do kościoła. Caroline wzięła Issy za rękę, gdy przekroczyły próg świątyni. Trumna stała przed ołtarzem. Organista zagrał pierwsze takty hymnu, niosły się echem po wnętrzu świątyni. Rozejrzała się i ze

zdumieniem stwierdziła, że sporo ludzi przyszło pożegnać jej byłego męża.

Widziała, jak Mark rozmawia z ochroniarzami, których, jak wiedziała, zatrudnił na wypadek, gdyby zjawiała się Gayle Lee Chen. Mieli polecenie, by usunąć ją z kościoła, siłą, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Caroline usiadła w pierwszym rzędzie. Patrzyła na trumnę Jamesa, zastanawiając się, czemu to zrobił, i dumiała o tym, że chciałaby cofnąć czas. Znowu znaleźć się w barze hotelu Raffles, gdzie wszystko się zaczęło.

Issy siedziała między matką a babką, wpatrzona w skrzynkę, w której spoczywały doczesne szczątki ojca. Kwiaty leżące na trumnie przesycały powietrze słodkim zapachem. Zdawała sobie sprawę, że ojca tu nie ma i nigdy nie będzie, ale nie płakała.

Msza ciągnęła się w nieskończoność. Issy wstawała i klękała jak automat. W końcu, po ostatnim błogosławieństwie, wszyscy po prostu wstali i wyszli, a ojciec został sam. Potem stały i rozmawiały z ludźmi, którzy uśmiechali się do niej smutno i mówili, że bardzo wyrosła. I już było po wszystkim.

- Nadal uważam, że został zamordowany - szepnęła do Sam, gdy wracały do samochodu. Ale przyjaciółka stwierdziła, że nie ma sensu o tym rozmyślać, bo i tak nic nie może zrobić.

Issy wiedziała, że ma rację. Przecież miała tylko piętnaście lat.

Gdy wsiadała do samochodu, kątem oka zobaczyła Gayle Lee Chen, która pół przecznicy dalej wysiadała z limuzyny. Miała na sobie białą tradycyjną

suknię. Issy pamiętała, że biel to w Chinach kolor żałoby. Nienawidziła tej kobiety.

Mark także ją zobaczył. Wszyscy wsiedli do limuzyny i odjechali.

Issy odwróciła się i widziała, jak Gayle Lee Chen wchodzi do kościoła. Tym razem się spóźniła, pomyślała z satysfakcją.

## *Rozdział 40*

CASSANDRA MERITON PRZEŻYŁA WSZELKIE BURZE i zawirowania, jakie wiążą się z wychowaniem córki. Czasami zadawała sobie - i mężowi - pytanie, czy w ogóle warto się tak męczyć. Oczywiście, że tak. Po prostu doświadczyła tych samych trosk i chwil bezradności, które stają się udziałem wszystkich rodziców córek. Synów chyba też, rozważała, choć podobno z chłopcami jest łatwiej. Zajmują się nimi ojcowie, zabierają ich na mecze, tłumaczą im, jak się załatwia „te sprawy”, jak się mówiło w jej czasach - pouczają, żeby zawsze używali prezerwatyw, poszli do pracy, ożenili się z przyzwoitą dziewczyną, kupili dom i spłodzili dwoje wnucząt. Dziadkowie będą je skandalicznie rozpieszczać, a potem, gdy ogarnie ich zmęczenie, dyskretnie sobie pójda. Zasłużyli na odpoczynek.

Teraz jednak Cassie martwiła się o wnuczkę. Widziała rozpacz w jej oczach i wiedziała od Caroline, że Issy żywiła dziwaczne przekonanie, że jej ojciec padł ofiarą morderstwa. Oczywiście rozumiała, czemu nie chciała przyjąć do wiadomości, że James po-

pełnił samobójstwo. Przerazała ją sama myśl o tym. Ojcowie nie robią takich rzeczy i tyle. Teraz jednak Issy tonęła w morzu dojrzałych uczuć, sprzecznych z jej nastoletnią duszą. A przecież powinna myśleć jedynie o szkole, ciuchach, chłopcach, flirtach i zabawie. I oczywiście cały czas uczyć się pilnie, bo egzaminy nadciągają nieubłagane - najpierw do liceum, potem, oby, na studia. W tej chwili jednak nie sięgała myślami dalej niż kolejny dzień. Była w rozpacz. Potrzebowała pomocy, wsparcia, normalności. Cassie wiedziała dokładnie, czego potrzebuje wnuczka. Opieki dziadków.

Podczas kolacji Cassie uściśnęła pod stołem dłoń wnuczki.

- A może odwiedzisz nas we Francji? Pomożesz dziadkowi zbierać pomidory; hoduje naprawdę pyszną odmianę i musimy zebrać je, zanim zrobią to ptaki. Dalej, trzeba zbierać figi, które spadają z drzew, jest ich tyle, że nawet mnie się nie chce smażyć konfitur. Twój pokój na ciebie czeka, jest malutki, ale bardzo ładny. W końcu wyrzuciłam tę starą narzutę z Myszka Miki i kupiłam ci nową, dorosłą...

- Idę o zakład, że jest biała. - Issy się uśmiechnęła.

- Moja droga, nie myl mnie z twoją matką. Jest czarna.

- O rany! - Issy była pod wrażeniem.

- Z zamszu - dodała Cassandra.

- Ojej! - To już nie mieściło jej się w głowie. - Naprawdę? Czarna i zamszowa?

- Cóż, to chyba podróbka, ale wygląda świetnie - przyznała babka.

- O rany - powtórzyła Issy zaintrygowana. - Ale jeśli chodzi o pomidory, to sama nie wiem.

Cassandra ponownie uścisnęła jej dłoń i dodała konspiracyjnym szeptem:

- Co tam pomidory, wybierzemy się na zakupy do Bordeaux i kupimy ci śliczne francuskie ciuszki. -A ja popytam przyjaciółki o chłopców w odpowiednim wieku, dodała w myślach.

Issy spojrzała na matkę.

- Mogę, mam?

- Jeśli chcesz.

- Sammy oczywiście też jest zaproszona - dodała Cassandra, ale Maggie odparła, że Sam musi wracać do szkoły.

Cassie patrzyła na wnuczkę i widziała, że dziewczyna na chwilę zapomniała, dlaczego znalazła się w Singapurze. I dobrze. Ponownie uścisnęła jej dłoń.

- Wszystko będzie dobrze - obiecała miękko. -Minie trochę czasu, zanim to nastąpi, ale uporasz się z tym, zapewniam cię.

Issy spojrzała na nią ciekawie.

- Skąd wiesz?

Jej oczy były tak podobne do oczu jej ojca, że Cassandra wstrzymała oddech.

- Mam swoje lata i niejedno przeżyłam - rzekła. - Czy nie takiej odpowiedzi spodziewałaś się po babce?



## CZEŚĆ II

### Rozdział 41

KILKA DNI PÓŹNIEJ CAROLINE robiła porządki w kuchennej części pubu, czyli układała patelnie tak, jak lubiła, a nie piętrzyła je byle gdzie, co podczas jej nieobecności robiły Sarah i jej pomocnice. Zawsze po powrocie do pracy musiała szukać ulubionych patelni we właściwych rozmiarach. W końcu znalazła żeliwny rondel.

- Przepraszam - mruknęła Sarah. Mały Billy wyjątkowo został z opiekunką, a ona spokojnie siekała cebulkę, którą później Caroline zeszkli i zaserwuje ze stekiem; to było dzisiaj danie dnia. Ale to nie od cebuli płakała. Nagle odłożyła nóż i zaniósła się szlochem.

Caroline to usłyszała. Zwilżyła ściereczkę zimną wodą, podała Sarah.

- Przyłóż do oczu - poradziła. - Bo przy tej twojej bladej karnacji będziesz wyglądała jak bałwan.

- Oczy jak guziki - wykrztusiła Sarah przez łzy i czknęła.

Caroline podsunęła jej krzesło i usiadła koło niej. Ślepa Brenda ułożyła się na stole. Tak, to niehigienicznie, ale co tam.

- Chodzi o faceta? - domyśliła się Caroline.

- Poniekąd. O właściciela mieszkania. - Sarah przytknęła zimną szmatkę do oczu. - To nic takiego, w każdym razie w porównaniu z tym, przez co ty przeszłaś - dodała. - Ale widzisz, wyrzuca mnie. Co miesiąc przedłużamy umowę, ale teraz oznajmił, że ma innego najemcę, który rozważa kupno.

- Weekendowiec - domyśliła się Caroline. W Cotswolds było ich pełno, kupowali domki i mieszkania, żeby choć na kilka dni wyrwać się z wyścigu szczurów. - I co zrobisz?

- Nie mam wyjścia, muszę wrócić do mamy.

Caroline przypomniała sobie, jak Sarah opowiadała, że jej mama nie była zachwycona tym, że urodziła dziecko przed ślubem.

- Moim zdaniem to kiepskie rozwiązanie - stwierdziła. A potem, nieoczekiwanie, wpadła na genialny pomysł, co zdarzało jej się coraz częściej, gdy myślała o przyszłości. - Obok mojej szopy jest domek - zaczęła. - Malutki, naprawdę malutki, ale wszystko w nim działa, bo też go wyremontowałam. Jest prąd, kanalizacja, wszystko. Wiesz co, Sarah? W mojej kuchni też będę potrzebowała kogoś do pomocy. Może ciebie? Zatrudnię cię i zamieszkacie z Małym Billym w domku, za darmo. I będę ci płacić normalną stawkę.

Sarah odłożyła ścierkę i spojrzała na nią.

- Nie mogę - odparła. - Po prostu nie mogę zostawić Maggie w takiej sytuacji. Nie możemy obie odejść.

- Za żadne skarby świata nie chciałabym narobić im kłopotów - zapewniła Caroline. - Otworzę moją restaurację dopiero, kiedy znajdziemy kogoś na moje miejsce tu, w pubie. Ale do tego czasu ty i Mały

Billy mielibyście dach nad głową. Możecie u mnie mieszkać bez względu na to, czy zgodzisz się u mnie pracować.

Sarah westchnęła głęboko. Caroline spojrzała na jej buty, czarne kozaki o, jak zauważyła, bardzo zdartych obcasach. Wiedziała, że całe jej zarobki pochłania codzienne życie i synek, za którym przepadała.

- Widzisz, naprawdę nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło! - zawołała radośnie. - Sama to przed chwilą udowodniłaś!

## *Rozdział 42*

DOPIERO PO ZAMKNIĘCIU PUBU Caroline zdołała usiąść do komputera i sprawdzić pocztę elektroniczną. Siedziała w łóżku. Ślepa Brenda wśliznęła się pod poduszkę. Caroline zebrała włosy w koński ogon i liczyła, że krem na noc Clinique sprawi cuda. Miała na sobie za ciasną różową koszulkę, a przecież mogłaby przysiąc, że przez ostatnie tygodnie schudła, bo prawie nic nie jadła ze zmartwienia. Z westchnieniem stwierdziła, że na pewno skurczyła się w praniu. Oparła laptop na kolanach i zaczęła czytać wiadomości. Najpierw - od mamy.

*Isabel radzi sobie świetnie (nie nazywam jej już Issy, mówi, że tego nie lubi, a poza tym jest za duża na takie dziecinne zdrobnienie). Zaproponowałam, że jeśli chce, może się do mnie zwracać po imieniu. Jest bardzo cicha, ani razu nie wspomniała ojca. Nie wraca już*

*też do wersji z morderstwem. Lepiej nie budzić licha. Obiecała dziadkowi, że jutro pomoże mu przy pomidorach. W tej chwili są razem na rybach, siedzą nad stawem. Pojechali tam na traktorze, twój ojciec w nieodłącznej panamie, twoja córka - w czapeczce bejsbolowej z logo drużyny hokejowej Upperthorpe. Nie miałam pojęcia, że gra w hokeja. Caroline, zapewniam cię, dobrze jej tutaj, z dala od tego wszystkiego, od śmierci i rozstania. Oczywiście nigdy tego nie zapomni, ale pewnego dnia to zaakceptuje, jak my wszyscy. Ty także, moja kochana, uparta Córko. Zawsze taka byłaś i zawsze miałaś fatalny gust, jeśli chodzi o mężczyzn. Pamiętasz tego długowłosego z żółtymi zębami? Grał w zespole rockowym? A ten maratończyk, który nosił nieprzyzwoicie obcisłe spodenki, lansował dietę makrobiotyczną i zepsuł mi przyjęcie? Zawsze uważałam, że powinnaś była wyjść za Marka. To o wiele lepszy egzemplarz. I tak Cię kocham i dbam o Twoją córkę.*

Uśmiechała się, czytając list od matki. Cała Cassie, pomyślała. Nigdy się nie poddaje. Ale opiekuje się Issy - nie, Isabel. Isabel, która do niej nie dzwoniła. Zdawała sobie sprawę, że musi dać jej więcej czasu, poczekać, aż ochłonie. Na razie napisze jej tylko esemes, że ją kocha i tęskni, i ma nadzieję, że dobrze się bawi we Francji...

Kolejna wiadomość, ku jej zdumieniu, była od Jima Thompsona.

*Już wiem -jak wszyscy. Wszyscy mieszkańcy, wraz ze mną, łączą się z Tobą w bólu. Mam nadzieję, że Issy się trzyma, choć pewnie bardzo jej ciężko. Zdaję sobie sprawę, że nie brzmi to najlepiej, ale nie radzę sobie ze*

*słowami, o wiele lepiej idzie mi z drewnem. Zadzwoń, kiedy będziesz mogła. Jim.*

Zerknęła na śliczne puzderko, które dla niej zrobił. Światło nocnej lampki pogłębiało kontrast między różnymi gatunkami drewna. Musnęła palcem miękkie kształty. Rzeczywiście, jego silną stroną są ręce; pamiętała ich dotyk na plecach, gdy całował ją na dobranoc. Ale to było wtedy, zanim to wszystko się wydarzyło. Zegnaj, spokoju, witaj, chaosie. Wtedy, na kolacji, nie wiedziała, co ją czeka. A teraz, przez Jamesa, znalazła się w innym, nowym świecie.

Na ekranie pojawiła się trzecia wiadomość. Od Marka.

*Nie mam dla Ciebie najlepszych wieści, ale uważam, że powinnaś wiedzieć, że apartament był zadłużony po dach, więc nie masz co liczyć na przyptyw gotówki z tego źródła. Wróciłem tam i spakowałem to, co uznałem za ważne dla Ciebie i Issy, i trochę mebli. Wybrałem antyki, udało mi się je dyskretnie zabrać, zanim zjawił się komornik. Chrzanić wierzycieli, te rzeczy należą do Was, nie do Jamesa. Ocaliłem ko-módki z wiązu, z antykwariatu przy Hollywood Road w Hongkongu - wiesz, o które mi chodzi, i krzesła. Załatwiam teraz formalności, wkrótce wyślę je do Ciebie. Dostaniesz je pewnie za jakiś miesiąc, ale uważam, że powinnaś je mieć. Proszę też, żebyś nie pozwoliła, by obudziły złe wspomnienia. Przecież łączyły Was też piękne chwile.*

*Co do testamentu Jamesa... oczywiście wiesz, że zostawił wszystko córce. Właściwie to logiczne, bo*

*przecież z Tobą zawarł już ugode, choć bardzo niesprawiedliwą. Z tego, co się zorientowałem, pieniędzy wystarczy na wykształcenie Issy.*

*Jeśli chodzi o firmę, biegli nadal przeczesują naszą księgowość, ale stało się jasne, że James nadszarpnął nasze zasoby, choć nie odbije się to na moich klientach. Jego inwestorzy wycofali się dawno, kiedy, jak się domyślam, zboczył z kursu. Nie każdemu udaje się przekręt. Osobiście cieszę się, że moja reputacja nie ucierpiała.*

*Chciałem Ci też powiedzieć, że sprzedałem jacht i dostałem za niego więcej, niż się spodziewałem. Nie wiem jeszcze, czy kupię nową łódź, a jeśli już, to na pewno zacumuję ją gdziekolwiek, byle nie w Hongkongu. O tej kobiecie nie słyszałem ani słowa, i Bogu dzięki.*

*Zależało mi, żebyś to wiedziała, Caroline. I jeszcze to, że Cię kocham. Zawsze kochałem, od tamtego dnia, gdy zobaczyłem Cię po raz pierwszy, a Ty właśnie wychodziłaś za mojego najlepszego przyjaciela.*

Zamknęła laptop, odstawiła na stolik. Zgasła światło, wstała, rozsunała zasłony, żeby widzieć okno. Choć to już początek lata, bryza od rzeki niosła chłód. Wróciła do łóżka i w zadumie wśliznęła się pod kołdrę.

Nagle ogarnęło ją zmęczenie. Miała wrażenie, że od tygodni gonila resztkami sił. Zasnęła i pogrążyła się w snach, które, co później wspominała z poczuciem winy, przepelniał nie James, ale plany, jak w nowym domu wyeksponować antyki z Hongkongu.

## Rozdział 43

KILKA DNI PÓŹNIEJ ZADZWONIŁ GEORGKI.

- Caroline? - pytająco uniósł głos, wypowiadając jej imię, jakby spodziewał się kogoś innego.

- Tak, to ja - potwierdziła. - I wiem, że to ty. Kto inny ma taki serbski akcent?

- Rosyjski - poprawił Georgki. - A właściwie ukraiński.

- Tak, oczywiście. - Uwierzyłaby w każdą opowieść, którą zdoła wymyślić. - Co tam słyszeć?

- Dzwonię, żeby powiedzieć, że mi przykro. Bo cierpisz.

- Dzięki, Georgki. Doceniam, że mi to mówisz, że mi współczujesz.

- A córka?

- Dojdzie do siebie. Prędzej czy później.

- Mam dla ciebie niespodziankę - oznajmił zupełnie innym tonem, wyraźnie słyszała w nim nutę radości.

- Uwielbiam niespodzianki - rzuciła i miała nadzieję, że nie jest to kolejna wyprawa do Pangbour-ne, do łabędzi i kurczaka z patelni.

- To niespodzianka ode mnie i Jima Thompsona. W szopie, czy jak tam nazywasz ten dom.

- Ciekawe. - Teraz się uśmiechała.

- Spotkamy się tam od czwartej - mówił stanowczym, rozkazującym tonem. - Wtedy niespodzianka będzie gotowa.

- Och, ale... - Miała przecież tyle do zrobienia, tyle zaległości, tyle...

- Żadnych ale - oświadczył tak zdecydowanie, że nie mogła się nie roześmiać.

Obiecała, że stawi się na czas, i poszła powiedzieć Maggie o niespodziance.

Maggie siedziała w saloniku, przy szeroko otwartym oknie, boso, z nogami na kanapie. Kotka usadowiła się jej na kolanach i z zapalem lizala lewą łapkę, którą potem myła sobie pyszczek.

- Ten kot idzie do wszystkich - stwierdziła Maggie i upiła łyk kawy.

- Każde kolana się nadadzą - mruknęła Caroline. Roześmiały się obie. Nalała sobie kawy i usiadła koło przyjaciółki. - Właściwie jest pod tym względem podobna do mnie - dodała. - Wiesz, o co mi chodzi?

Maggie spojrzała na nią z zadumą.

- Mark?

- To takie trudne, Mags. - Caroline pochyliła się i odruchowo pogłaskała kotkę, ale Ślepa Brenda, oburzona, że ktoś kala jej świeżo wypucowane futerko, z zapalem zaczęła wylizywać miejsce, którego dotknęła ludzka dłoń. - Och, przepraszam - mruknęła. Spojrzała na Maggie. - Bo widzisz, on jest taki pomocny, taki...

- Nowy facet w twoim życiu to ostatnie, czego ci w tej chwili potrzeba, i mam tu na myśli zarówno Marka, jak i Jima Thompsona.

Caroline spojrzała na nią zdumiona.

- A co ty w ogóle wiesz o Jimie Thompsonie?

- W piekarni spotkałam jego siostrę. Mówiła, że Jim bardzo się o ciebie martwi.

- Pewnie wszyscy już wiedzą. - Dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę.



- Wioska to mały świątek, Caroline. Wszyscy wiedzą też, że Sarah straci dach nad głową.

- Zaproponowałam, żeby zamieszkała u mnie. Domek jest mały, ale im wystarczy.

- Będzie jej tam lepiej niż tam, gdzie teraz mieszka. A tobie dobrze zrobi towarzystwo. Jej i dziecku.

Caroline się roześmiała.

- Kiepska ze mnie opiekunka. Jestem na to za stara, zapomniałam już, jak to się robi.

- Małemu potrzebna babcia, ale na to nie ma szans, więc musimy ją zastąpić. - Maggie postrzegła swoją rolę na ziemi jako matkę wszechrzeczy, która wspiera wszystkie zagubione kobiety i dzieci.

- Bogu dzięki za ciebie, Maggie. - Caroline serdecznie uścisnęła jej dłoń. - Co my byśmy bez ciebie zrobili?

- Załatw mi nową kucharkę i pomocnicę - sapnęła Maggie. - I naucz je robić te zapiekanki z kurczakiem.

- Nie ma sprawy - obiecała Caroline. - Więc pozwolisz Sarah przenieść się do mnie?

Maggie odstawiła kubek i podała kotkę Caroline.

- Moim zdaniem to dla niej cudowna okazja, by wreszcie do czegoś dojść. Musi zacząć działać, pomyśleć o lepszej przyszłości dla synka. Podobnie jak ty - dodała. - Zresztą we dwie zawsze raźniej.

Caroline zrzuciła kota z kanapy i ucałowała przyjaciółkę.

- Lecę do szopy. Georgki mówi, że ma dla mnie niespodziankę.

- Ta na pewno będzie miła - domyśliła się Maggie.

## Rozdział 44

ISABEL - JAK KAZAŁA SIĘ TERAZ NAZYWAĆ - siedziała na tarasie domu dziadków. Z kwitnącej winorośli oplatającej werandę spadały drobne kwiatki. Zastanawiała się, czy wybrać się na spacer po zadbanej posiadłości. Dziadek całymi dniami przesiadywał na traktorze, jeździł po całym terenie z promiennym uśmiechem i kłął na owady, które nie dawały mu spokoju. Odgrązał się, że urządzi im masakrę środkami owadobójczymi, ale oczywiście nigdy się na to nie zdobędzie, spryska je tylko sprejem i będzie liczył, że to wystarczy.

- Owady były tu przed nami - powiedziała mu babka. - Nie lubią, gdy się im przeszkadza.

Poszła nad staw, choć właściwie było to raczej jezioro. Było tak cicho, że słyszała monotony szum ważek, obserwowała, jak przelatują nad wodą jak plamy kolorów, jak co jakiś czas muskają jej powierzchnię, bez śladu, bez plusku.

To jezioro to dzieło dziadka; osobiście układał głązy na jego brzegach, wykładał je miękkim torfem, ba, własnoręcznie sklecił drewnianą ławeczkę z pnia drzewa, które kilka lat temu zwała burza. To tylko deska na masywnych podpórkach, ale wpasowała się idealnie w krajobraz. I stanowiła doskonałe miejsce, by spędzić na niej całe popołudnie, nie myśląc, bo myślenie o czymkolwiek niosło tylko ból.

Isabel wiedziała, że prędzej czy później się ze wszystkim upora. Wszyscy tak mówili. Najgorsze, kiedy radzili, żeby wszystko przeanalizowała i przemy-

ślała. Jakby chodziło o trudne zadanie z matematyki, a nie śmierć w rodzinie. Tylko babka była w porządku.

- Pieprzyć to wszystko, Isabel - stwierdziła. -Przepraszam za słownictwo. Chodźmy na zakupy. Wiem, że to tylko chwilowe rozwiązanie, ale wkrótce się przekonasz, że w życiu nic nie działa równie skutecznie.

Chwilowość okazała się jej nową filozofią życiową. Bądź co bądź, nic w jej życiu nie było stałe.

- Dorośnij - powtarzała sobie. - Życie toczy się dalej, nieważne, czy ktoś żyje, czy nie.

Tego dnia miała na sobie sukienkę, którą babka kupiła jej w Bordeaux; czerwoną, krótką, bez ramiączek. Domyślała się, że była dla niej całkowicie nieodpowiednia, ale babka roześmiała się tylko i stwierdziła:

- Bierz ją i nie chowaj jej na żadną specjalną okazję; może się okazać, że z niej wyrośniesz, zanim nadejdzie dość uroczysta chwila.

I dlatego miała ją na sobie właśnie teraz, gdy siedziała nad stawem i karmiła ryby, które gromadziły się ciekawie poniżej jej dyndających stóp, gdy sypała karmę na powierzchnię wody. Obawiała się, że je przekarmia. Dziadek karmił je raz dziennie, ale uwielbiała, gdy uwijały się wokół jej stóp. Może one też to lubiły?

Jej telefon ożył. Wiadomość tekstowa od Sam:

*Hej, Issy. Tęsknię za Tobą. Uppertorpe w ten weekend czekają zawody pływackie przeciwko dwóm szkołom. Baw się dobrze. Często myślę o pobycie w Singapurze. Kocham Cię.*

Isabel odpowiedziała od razu:

*Odezwił się na Tweeterze, żebym wiedziała, że naprawdę tam jesteś.*

*Wieczorem będę w domu.*

Jakby w pozostałe dni włóczyła się po imprezach czy coś takiego. Chociaż właściwie często była poza domem. Dziadkowie mieli mnóstwo znajomych, którzy ciągle ich zapraszali, zawsze razem z nią. Nie raz i nie dwa ukradkiem wychylała zapomniane kieliszki wina, ale nie była przekonana, czy odpowiada jej ten smak. To pewnie przyjdzie z wiekiem.

Wiek. Kiedy właściwie przestaje się być dziewczyną, a staje kobietą? Jak to się dzieje? Miała po dziurki w nosie bycia nastolatką. A jednak ilekroć sobie przypominała tę straszną imprezę i Lysandra, który rzuca ją na łóżko i obmacuje, jakby była kawałkiem mięsa, marzyła, by wrócić do dzieciństwa. Nie chciała mierzyć się z dorosłością i seksem. Owszem, podobało jej się całowanie, zaznała też już pożądania. Ale niewinność to stan umysłu, a nie ciała. I w tej chwili właśnie niewinności pragnęła najbardziej na świecie.

Ale Lysander i jej bezmyślność położyli temu kres. Dziewicą pewnie też już nie jest. Jej koleżanki miały to już za sobą, żartowały i chichotały. Pewnie nie wszystkie zrobiły to naprawdę, niektóre chyba kłamały, żeby zaimponować innym. Ona tymczasem oddałaby wszystko, żeby było jak dawniej.

Ale to jak z ojcem. Przeszłość nie wróci i już.

Od strony ogrodu dobiegło wołanie babki:

- Isabel? Chodź, pojedziemy do Bergerac do kina! Film jest po francusku, ale możemy udawać, że

coś rozumiemy, i będziemy objadać się popcornem i colą!  
Isabel się roześmiała. Bardzo lubiła babkę.

## *Rozdział 45*

GAYLE LEE CHEN CIĄGLE NOSIŁA ŻAŁOBNĄ BIEL. Miała na sobie szeroką spódnicę poniżej kolan i luźną koszulę. Stopy wsunęła w płaskie pantofle, które także wydawały się za duże. Niosła przepastną torbę, kupioną od ulicznego handlarza w Hongkongu, ale nie była to bynajmniej podróbka żadnego słynnego projektanta, z których słynie Kowloon. Jej włosy nikły pod peruką - ciemne loki opadały jej na ramiona. Spod burzy włosów wystawały okulary w grubych, szarych oprawkach. W bezkształtnym zakiecie w ogóle nie przypominała siebie - i o to właśnie chodziło.

Znajdowała się w dużym kasynie w Makao -dawniej królowały tu bujna roślinność i komary -dzisiaj - hazardziści. Nierozpoznana przez nikogo, przepychała się przez tłum, nie zwracała uwagi na szcęk jednoręcznych bandytów, ignorowała ryczące ekrany telewizyjne, na których migotały reklamy poszczególnych gier i występów na wielkiej scenie kasyna. Uparcie brnęła w stronę cichszego zakątka, gdzie gra toczyła się o największą stawkę.

Przez kilka minut obserwowała stolik do black-jacka, przy którym turyści szybko tracili spore sumy. Potem weszła do salki, w której grano w Pai-gow.

Dokoła stolika siedzieli Chińczycy o nieruchomych twarzach. Nie sposób stwierdzić, kto wygrywał, kto przegrywał. Wróciła do ruletki. Obeszła wszystkie stoliki, zanim dokonała wyboru, i musiała poczekać, aż zwolni się miejsce. Niecierpliwiła się, ale jak gracze w Pai-gow, nie dawała po sobie niczego poznać.

Piętnaście minut później zasiadła w luźnej spódnicy, z białą plastikową torebką przewieszoną przez ramię - nie mogła jej sobie położyć na kolanach, bo wzbudziłaby podejrzenie, że oszukuje. Nie miałyby nic przeciwko oszukiwaniu, ale nawet kobieta o jej inteligencji nie mogłaby tego dokonać. Poza tym tego dnia nie była Gayle Lee Chen, tylko zwykłą, otyłą starszą kobietą, która nie budziła szacunku, ale też nie zwracała na siebie uwagi pozostałych graczy ani krupiera, a przede wszystkim mężczyzn. Pani Chen przestała istnieć. Była kolejnym życiowym rozbitkiem, którego do kasyna zwabiła wizja wielkiej wygranej i który zapewne straci oszczędności całego życia przy stole ruletki.

Mierzyła wzrokiem sterty żetonów przed współ-graczami, oceniła szanse i postawiła pięćset.

- Dziewiętnaście. Czarne - powiedziała głosem, w którym nie wiadomo kiedy zjawiał się silny kantoński akcent, zupełnie inny niż typowy dla wykształconych osób mandaryński. Wieśniaczka, którą udawała, mówiłaby właśnie takim lokalnym dialektem.

Krupier zakręcił kołem. Zatrzeszczało, zagrzechotała biegnąca po nim kulka.

- Dziewiętnaście, czarne - ogłosił tym charakterystycznym, przeciągłym głosem, typowym dla krupierów. Przesunął w stronę Gayle stertę żetonów.

Zgarnęła je rękami, których nie zdobiły pierścionki ani lakier na paznokciach. To były dłonie robotnicy.

Po raz drugi postawiła na dziewiętnaście, czarne. To jej szczęśliwa liczba. Zawsze dzięki niej wygrywała i nie widziała sensu teraz tego zmieniać.

Znowu wygrała. Tym razem zgarnęła wygraną i poszła dalej, przepychała się przez tłum, nie zwracając uwagi na brzęki i trzaski jednoręki bandytów. Szła do stolika Pai-gow.

Tu było spokojniej, ciszę przerywały jedynie cichy szelest kart przesuwanych po zielonym płótnie stołu i szczęk kostek lodu w drinkach, które roznosiły hostessy w krótkich spódniczkach, na wysokich obcasach. W powietrzu mieszał się zapach potu przegranych i wody kolońskiej wygrywających.

Pai-gow to chińska gra podstęp i oszustwa, manipulacji i śmiałości. Jakby stworzona dla niej. Stawka była wysoka, a Gayle musiała wygrać. W końcu grała o życie.

## *Rozdział 46*

PIĘĆ GODZIN PÓŹNIEJ SZCZĘŚCIE JEJ NIE OPUSZCZAŁO, ale czas odpocząć, zmienić stół. Miała zamiar grać całą noc, ale musiała coś zjeść, wypić drinka. Najpierw jednak wymieniła żetony na pieniądze. Nie chciała gotówki, wołała przelew - na sekretne konto w Hongkongu.

Następnie poszła do restauracji i zamówiła fileta z polędwicy oraz martini. Nie mieli tu dżinu Tanquery,

w którym zagustowała pod wpływem Jamesa, i musiała zadowolić się dżinem Bombay, z kropelką wermutu i odrobiną skórki cytrynowej. Wypiła duszkiem i zamówiła kolejnego drinka, zanim podano jej danie główne. Kiedy kelner postawił przed nią smakowity stek, grzebała widelcem w talerzu, od niechcienia skubała sałatkę i, co u niej nietypowe, poprosiła o trzecie martini. Myślała o wygranej. Gangsterzy, którym od lat prała brudne pieniądze, posługując się Jamesem i jemu podobnymi biznesmenami, w końcu się do niej dobrali. Wiedziała, że to wszystko to domek z kart - który zaraz runie. Pułapka się zaciskała. Tak samo było z Jamesem, ale on, biedak, nie miał wyjścia, a ona być może - tak.

Przed świtem zgarnęła całą wygraną, skłoniła się uprzejmie, odeszła od ciągle zatłoczonego stolika do Pai-gow, przemaszerowała przez pustoszejące kasyno do kasy i wymieniła wszystkie żetony na gotówkę. I wpłaciła całą sumę na konto w Hongkongu. Wróciła do pokoju, z ulgą zdjęła brzydkie pantofle, od płaskich podeszew bolały ją łydki i, zanim weszła pod gorący prysznic, przelała całą wygraną i część zasobów z konta w Hongkongu na chiński rachunek bankowy swego klienta. To powinno go uciszyć na jakiś czas.

Z uśmiechem weszła pod prysznic. Jej smukłe ciało było starannie wydepilowane - gładkiej skóry nie szpecił nawet jeden włos. Znowu była sobą. Tęskniła za Jamesem. Szkoda, że musiał umrzeć.



## Rozdział 47

W DRODZE DO SZOPY CAROLINE odruchowo zerknęła na rezydencję Thompsonów. Nie żeby spodziewała się zobaczyć tam Jima, a jednak czuła się jak zadurzona nastolatka i nie była w stanie nad tym zapanować. Był dla niej stanowczo za młody, ale zastanawiała się, czy to samo czuje Issy... nie Issy, Isabel. Swoją drogą, co się stało z Lysandrem? Nie wspominała o nim ani słowem od tej pamiętnej imprezy, która okazała się totalnym niewypałem, bo było na niej, jak to powiedziała Issy, mnóstwo „starych ludzi”, takich koło dwudziestki. Ciekawe, co sądzi o wieku matki, pomyślała Caroline z uśmiechem.

Kiedy skręciła w świeżo wyżwirowany podjazd i zobaczyła białą półciężarówkę Jima obok sfatygowanego hummera Georgkiego, szczeniacki zawrót głowy powrócił z pełną siłą. Zaczerwieniła się, zdenerwowała. Czuła, jak na jej policzki wypływa rumieniec. Zerknęła w lusterko. No dobrze, musnęła usta błyszczakiem, ale nie przyszło jej do głowy, żeby upudrować nos czy poprawić fryzurę... musi być, jak jest... Zresztą nie ma powodu, żeby tak reagować na Jima Thompsona po zaledwie jednej randce, a poza tym nawet wtedy nie byli sami. Dopiero pod koniec, w jego pracowni, kiedy dał jej tę piękną szkatułkę.

Okna na piętrze były otwarte. Widziała, jak na wietrze, który właśnie się zerwał, trzepoczą jej firanki - tanie białe bawełniane zasłonki, zawieszane na metalowych kółkach, brzęczące głośno przy

każdym ruchu. Wiatr niósł zapach trawy, krów i nocnego jaśminu, który o dziwo kwitł za dnia, i metaliczny, chłodny zapach rzeki. Jeszcze nie zamówiła stolików i parasoli na taras. Właściwie restauracja nadal istniała tylko w jej wyobraźni.

Wysiadła z land-rovera, obciągnęła krótką spódniczkę.

- Cześć! - zawołała.

- Cześć. - Jim stał w progu i uśmiechał się nerwowo. - Mam nadzieję, że się nie gniewasz, włamaliśmy się do środka - zaczął.

- Georgki ciągle nie miał klucza, musieliśmy dostać się do środka, jak powiedziałyby gliniarz.

- Nie wiem, co powiedziałyby gliniarz, ale uwielbiam niespodzianki.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek. Pachniał drewnem i wodą po goleniu z cytrusową nutą. Musi się dowiedzieć, co to za zapach, i kupić mu flakon na Gwiazdkę... Mój Boże, już myśli o Świętach, a przecież dotąd byli na jednej randce.

Z domu wyszedł Georgki. Jego także cmoknęła w policzek.

- Gotowe - oznajmił. - Możesz wejść.

Kazali jej zamknąć oczy, wzięli za ręce i pociągnęli za sobą. Zorientowała się, że idą do wielkiego, pustego pomieszczenia, które kiedyś będzie jej restauracją.

- Otwórz oczy i patrz - polecił Georgki dramatycznie.

Uśluhała. Bardzo tu ładnie, gdy świeci słońce, zauważyła w duchu.

- Sufit - podsunął Jim. Posłusznie spojrzała w górę.

Pod sufitem rozciągnięto żagiel z płótna, od ściany do ściany.

- Boże - szepnęła. - Jak pięknie! - Miała rację; dzięki temu przestronne pomieszczenie wydawało się bardziej przytulne, zaciszne. Otwarte drzwi na taras, ożywczy zapach rzeki i delikatne trzepotanie żagla sprawiały, że w szopie wewnątrz spletało się z naturą, woda z kamieniem, stare z nowym.

- Chyba śnię - stwierdziła, patrząc na nich z uśmiechem. - Wcieliliście w życie mój pomysł. Dzięki. To cudowne.

- Dzięki Bogu, że ci się podoba. - Georgki się przeżegnał. Był w bardzo refleksyjnym, jak na niego, nastroju. - Smutne czasy już minęły, tak?

- Tak. - Taką przynajmniej miała nadzieję. - No bo niby co może się jeszcze wydarzyć?

- Martwiłem się o ciebie, słuchając tych wszystkich plotek - przyznał Jim.

- Jakich plotek? - Czy wszyscy naprawdę wszystko o niej wiedzą?

- Domyślasz się chyba, że ludzie gadają. Rozeszły się plotki, że twój mąż został... no cóż, zamordowany. Przykro mi - dorzucił szybko. - Nie chciałem, żebyś dowiedziała się o tym ostatnia. Poza tym zawiesiliśmy z Georgkim ten żagiel, bo chcieliśmy, żebyś się trochę rozpogodziła, żebyś poczuła, że życie wraca do normy.

A więc wszyscy o niej plotkują. Wiedzą. Martwią się o nią. Stała się jedną z nich, wioska przyjęła ją do siebie.

- Wielkie dzięki - powiedziała. - Już jest dobrze. Ba, wspaniale. Cudownie. Powieszę tu mosiężną

tabliczkę z informacją, że żagiel zawiesili Jim i Georgki. - Musiała jednak wracać do pubu. - Dzisiaj ja stawiam - dodała i pocałowała ich na pożegnanie. - Zresztą jestem ci winna kolację - szepnęła Jimowi do ucha. - Tym razem ja zapraszam.

- Przykro mi - odparł. Posmutniała. - Dzisiaj nie dam rady. Ale zadzwonię do ciebie - obiecał i pomachał jej na pożegnanie.

## *Rozdział 48*

KILKA DNI PÓŹNIEJ DO UPPER AMBERLEY wróciły deszcze. Studzienki kanalizacyjne wylewały na ulice, po których płynęły zwykle śmieci: puste puszki po napojach gazowanych, plastikowe torby, kubki styropianowe, gromadziły się na rogach, tworzyły małe pagórki odpadków. Caroline już dwukrotnie sprzątała uliczkę przed pubem i przy okazji zmokła jak kura, choć usiłowała osłonić włosy plastikową torebką. Równie dobrze mogła sobie darować; wilgoć i tak zrujnowała jej fryzurę.

Stała za barem - zastępowała Maggie i Jesusa, którzy przy ścianie pubu walczyli z potokiem i usiłowali skierować go w inną stronę niż prosto do kuchni. Od grzmotów drżały szyby w oknach, rozjaśniały szare niebo językami błyskawic, aż miała wrażenie, że to uroczystości z okazji nocy Guya Fawkesa, tyle że bez ognisk i pysznych ziemniaków pieczonych w złotym żarze. Sarah pełniła obowiązki szefowej kuchni, choć w taką pogodę nie spodziewali się wielu gości. Caro-

line uważała, że w takie dni każdy z odrobiną zdrowego rozsądku siedzi w domu, przy kominku, przed telewizorem. Oczywiście w pubie, jak zawsze, stało się kilku stałych bywalców. Byli to ci sami, co tamtego wieczoru, gdy w progu stanęły Caroline i Issy, a więc gracze w domino i stary Laddie Rice ze swoim psem Friskym. Psiak teraz kulił się pod stołem, śmiertelnie przerażony hukami grzmotów.

Caroline o miękkim sercu pobiegła do kuchni, porwała kawałek szynki, poszła przez salę prosto do Laddiego drzemającego nad piwem, uklękła i zapachem smakołyka wywabiła psa spod stołu. Frisky pożarł szynkę jednym kłapięciem, Laddie obudził się, zamówił kolejne piwo. Nalała je z beczki, fachowo', czekając, aż piana opadnie, zanim zaniósła je do stolika.

Oparła się o kontuar. Nagle dopadła ją samotność. Wyjęła telefon, sprawdziła, czy nie ma żadnych wiadomości. Nic. Przynajmniej Issy mogłaby dać znak życia. I Cassie. A Jim Thompson? W końcu zaprosiła go na kolację, ale do tej pory się do niej nie odezwał. Nawet jednej wiadomości. Ani słowa! Nic dziwnego, że popada w paranoję. Przypomniała sobie żagiel rozpięty pod sufitem restauracji i stwierdziła, że zamiast czekać, aż do niej zadzwoni, musi przejąć inicjatywę w swoje ręce. Problem w tym, że nigdy nie była zbyt przebojowa. Najwyższy czas to zmienić. Wybrała jego numer. Czekala, ale w końcu włączyła się poczta głosowa. Rozłączyła się, nie zostawiając wiadomości, bo nie chciała sprawiać wrażenia, że się za nim ugania. Nie zapomniła jeszcze, jak Maggie poradziła jej, by szła do przodu. Możliwe, że było to

zaledwie kilka tygodni temu? Od tamtej pory tyle się wydarzyło, że czas przeciekał jej przez palce.

Drzwi do pubu się otworzyły. Podniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie.

Młoda kobieta w drogim płaszczu Burberry stała w drzwiach. Z jasnych włosów spływały krople deszczu, w niebieskich oczach widniała panika.

- Wejdz, zdejmij ten mokry płaszcz. Zaraz przyniosę ręcznik i podam gorący rosół. Kieliszek wina albo brandy w mig postawi cię na nogi.

Kobieta stała w milczeniu, w powiększającej się kałuży.

Caroline dorzuciła drew do ognia, szturchnęła je pogrzebaczem, cały czas tyłem do drzwi.

- I już - mówiła spokojnie. - Zaraz będzie ci cieplej.

Kobieta ocknęła się nagle.

- Jestem Melanie Morton - przedstawiła się i podeszła do ognia.

- Witam. - Caroline uściśnęła jej dłoń. Była lodowata. - Daj płaszcz. - Nieznajoma zsunęła go z ramion. - Co za noc - mruknęła i przysunęła krzesło do ognia. - Co podać?

- Nie rozumiesz. - Dziewczyna stała jak wryta. - Nazywam się Melanie Morton.

Caroline przyglądała się jej uważnie. Coś było nie tak.

- No dobrze, Melanie - powiedziała. - Jestem Caroline.

- Wiem, kim jesteś.

Zaskoczyło ją to, ale z drugiej strony, wszyscy w okolicy to wiedzą, choć akurat tej kobiety nigdy

w pubie nie widziała. Cały czas stała, nie siadała, nie wytarła się też ręcznikiem, który podawała jej Caroline.

- Byłam kochanką Jamesa - oznajmiła.

- O Boże! - Okazało się, że to Caroline musi usiąść. Kochanka Jamesa. Nie wiedziała, co robić. Co powiedzieć. „Bardzo mi miło”. „Postawię ci drinka”. „Nakarmię cię zupą, ciebie, która od lat pieprzyłaś się z moim mężem?”

- Od sześciu lat. - Melanie zdawała się czytać w jej myślach.

- Drań - sapnęła Caroline, ciągle w szoku.

- Owszem. - Melanie Morton szeptała gardłowo, jak Marilyn Monroe. - To był kawał drania, ale nie mogłam od niego odejść, chociaż wiedziałam, że ma żonę i że źle robię, wiążąc się z nim. Jestem porządną dziewczyną, wiem, że nie powinnam romansować z żonatym mężczyzną, ale nie byłam w stanie mu się oprzeć.

- Nie ty jedna - mruknęła Caroline. Sięgnęła za bar i naląła sobie podwójną brandy, wychyliła ją duszkiem, zakrztusiła się i naląła drugą szklaneczkę, dla kochanki Jamesa. Drugiej, o której wiedziała. Niewykluczone, że było ich o wiele więcej. I może przynajmniej kilka też zawita do pubu. Co ma robić? Usprawiedliwiać Jamesa? Opiekować się nimi? Co ta Melanie tu właściwie robi? Szuka rozgrzeszenia u zdradzanej żony? Czy chce posypać sól na ranę?

Melanie Morton oparła łokcie na stole, ukryła twarz w dłoniach.

- Nie będę przepraszała, bo to, co zrobiłam, nie miało nic wspólnego z tobą - wyznała. - Jeśli ktoś miałby tu przepraszać, to James. Zostawił mnie bez

centa, bez złamanego centa. - Podniosła na Caroline wielkie niebieskie oczy. - Mam pewne zobowiązania, podobnie jak on - ciągnęła. Wstała i podeszła do drzwi.

Caroline odprowadzała ją wzrokiem. Dzięki Bogu, że sobie idzie.

- Jeszcze płaszcz! - zawołała za nią, ale kobieta już wyszła. Tylko że dwie minuty później wróciła, tym razem prowadząc za rękę małą dziewczynkę.

Popchnęła ją i mała znalazła się w kręgu ostrego światła. Zmrużyła piwne oczy.

Jezu, pomyślała Caroline. Czyżby Issy miała siostrę?

## *Rozdział 49*

DZIEWCZYNNKA BYŁA DROBNA I SZCZUPŁA. Miała na sobie letnią sukienkę, nieodpowiednią na angielskie deszcze. Była to różowa kreacja z granatowym wykończeniem, staroświecka, arystokratyczna. Zupełnie nie pasowała do małej, która przywodziła na myśl raczej dickensowską sierotkę. Cienkie, bezbarwne włosy do brody, spięte różową spinką, wąska buzia i niemal niewidoczny podbródek, ale może mała wygląda, jakby go nie miała, bo schyliła nisko główkę i co chwila zerknęła w górę wielkimi piwnymi oczami. Boże drogi, czy to naprawdę oczy Jamesa?

Caroline odepchnęła od siebie wszelkie macierzyńskie odruchy. Nie chciała nawet patrzeć na to dziecko. Nie chciała mieć nic wspólnego z jej matką.



Zresztą może się myli co do roli Jamesa; przecież nie może zakładać, że każde dziecko z ciemnymi oczami jest jego.

Czuła, że Melanie Morton obserwuje ją, czeka na jej reakcję. Zorientowała się, że trójka gości nie spuszcza z nich oka, a pies, który zazwyczaj nie ruszał się z miejsca, chyba że skusił go smakołyk, zamachał ogonem, wstał i podbiegł do nich, jakby to on był tu gospodarzem i chciał powitać gości, a nie ona.

- Uciekaj! - prychnęła na niego i dostrzegła, jak mała wtula się w nogi matki, przekonana, że to do niej.

- Przepraszam - westchnęła. Jakim cudem wpakowała się w taką sytuację? Przecież chciała jak najlepiej. Na pewno jest przeklęta, zawisło nad nią jakieś fatum. W minionym życiu musiała być istnym potworem, skoro teraz przychodzi jej za to tak gorzko płacić. Cóż, niech to szlag, nie weźmie sobie na głowę jeszcze jednego obowiązku.

Drzwi do kuchni stanęły otworem i ukazała się w nich Maggie. Obrzuciła spojrzeniem przemoczoną kobietę i drżące dziecko. Przyjrzała się im, dostrzegła łzy na policzkach matki i przerażenie na buzi małej.

- Caroline, naley jej brandy, poproszę Sarah, żeby przyniosła zupę - powiedziała.

Maggie zniknęła w kuchni. Caroline naląła brandy dla matki i oranżadę dla małej. Posadziła je przy stoliku koło kominka, tym samym, do którego zaprowadziła je Maggie, gdy nie tak dawno temu weszły tu, w taką samą deszczową noc.

Sarah nie posiadała się z ciekawości, wybiegła z kuchni z dwoma talerzami parującego rosółu. Tuż za nią szła Maggie z ręcznikiem.

Kobieta podziękowała. Najpierw osuszyła dziewczynkę, choć sama była o wiele bardziej mokra. Maggie stwierdziła, że małej przyda się coś ciepłego, i poszła po sweter. Po chwili wróciła, niosąc też coś dla matki - szarą bluzę z czerwonym napisem z logo pubu.

Kobieta podziękowała uprzejmie.

- Nazywam się Melanie Morton - przedstawiła się.

- Tak? - Maggie patrzyła na małą, która potulnie piła oranżadę przez słomkę.

- A to jest Asia. Czyli Azja. - Melanie wskazała małą i wszyscy odruchowo spojrzeli na dziewczynkę.

- Asia? - powtórzyła Maggie.

- Tam była poczęta. Sarah parsknęła śmiechem.

- W takim razie mój synek powinien nazywać się nie Billy, tylko Ford. No wiecie, tylne siedzenie - dodała, gdy wszystkie spojrzenia skierowały się na nią.

- Jezu - szepnęła Caroline. I po chwili dodała: -Przykro mi, Mags. To bardzo skomplikowane.

- Nie sądzę. - Maggie przejęła kontrolę nad sytuacją. - Moim zdaniem to całkiem proste. Ba, idę o zakład, że sama mogę powiedzieć, co się dzieje, ale myślę, że panna Morton jednak zrobi to lepiej.

Wszyscy w wyczekiwaniu zgromadzili się dokoła stołu. Asia zjadła gorącą zupę. Brakowało jej dwóch przednich zębów.

- Spadła z roweru - zapewniła matka pospiesznie, jakby zarzucali jej znęcanie się nad dzieckiem. -Mówiąc krótko, byłam kochanką Jamesa. Mieszkałam z nim w Makao i Singapurze, przez sześć lat.

Caroline odczekała chwilę, obawiała się, że stare rany ponownie zabolą, że powróci upokorzenie, że resztki dumy rozsypią się w proch. Ciekawe, jakim cudem James zdołał połączyć tak skomplikowane życie uczuciowe i małżeństwo z nią. I do tego druga rodzina...

- To dla mnie bez znaczenia - stwierdziła głosem, którego sama u siebie nie poznawała. I nic dziwnego. Była w nim gorycz zdradzonej kobiety.

- Co za drań - mruknęła Sarah z niedowierzaniem. Nagle to, że chłopak zostawił ją, gdy powiedziała mu o dziecku, wydawało się niczym w porównaniu z historią Caroline.

- Asia to córka Jamesa - oznajmiła Melanie i wychyliła duszkiem brandy, odstawiła szklanekę na stolik i spojrzała Caroline w oczy, jakby prowokowała ją, by zakwestionowała jej słowa.

Caroline nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Wykrztusiła w końcu:

- Właściwie dlaczego tu jesteś?

- Nie miałyśmy gdzie się podziać. James zostawił nas bez centa. Za ostatnie pieniądze przyjechałam tutaj. Pomyślałam, że ponieważ jesteś jedyną żyjącą rodziną Asi, to...

- Wam pomoże - dokończyła Maggie. Badawczo przyglądała się Caroline, ciekawa jej reakcji.

Caroline westchnęła ciężko. Wodziła wzrokiem po twarzach zebranych - najpierw patrzyła na Maggie, Sarah, w końcu na dziewczynkę, która odwzajemniła jej spojrzenie. Naprawdę miała oczy Jamesa. I Issy.

Melanie jeszcze nie skończyła.

- A poza tym chciałam ci powiedzieć, że nie wierzę, że James popełnił samobójstwo. Nie zrobiłby tego, nie zostawiłby mnie i córki bez środków do życia.

Caroline pomyślała, że owszem, zostawiłby. Jakkolwiek było, właśnie tak potraktował żonę i córkę.

- Kochał mnie - dodała Melanie. - Nie zostawiłby mnie... nas.

- Jak to? - zapytała Maggie, a Sarah z wrażenia wstrzymała oddech.

- Uważam, że został zamordowany. Samobójstwo tylko upozorowano, ktoś go zamordował. -Przerażona tym, co sama powiedziała, Melanie zakryła usta dłonią i spojrzała na córkę, która spokojnie wypila resztkę oranżady przez słomkę i podniosła na nią niewinne oczy.

Właśnie ta niewinność przeważała. Caroline знаła to spojrzenie, widziała je u własnej córki. Dzieckiem ktoś musi się zaopiekować.

- No dobrze - zaczęła już normalnym, cieplejszym głosem. - Dzisiaj musicie przenocować u mnie. Ale najpierw zjedzcie kolację. Posiedzimy tu i wysłuchamy historii Melanie. A jutro... - Wzruszyła ramionami. - Pozwolę sobie zacytować Scarlett O'Hare, bo w tej chwili czuję się trochę jak ona. „Jutro też jest dzień. Pomyślimy o tym jutro”.

## *Rozdział 50*

ASIA ZASNEŁA NA TYLNYM SIEDZENIU samochodu Caroline.

- To był ciężki dzień - wyjaśniła Melanie.

Caroline musiała przyznać jej rację. Za chwilę kochanka i nieślubna córka Jamesa pójdą spać w pokoju Issy. Wcale jej się to nie podobało. Jakkolwiek było, Issy nie spędziła tu nawet jednej nocy, nie ochrzciła tego pokoju, mówiąc w przenośni. Co więcej, nie wiedziała, czy to kiedykolwiek nastąpi.

Dobrze, że kupiła podwójne łóżko, więc będą miały dość miejsca. Mała jest za duża, by spać w szufladzie, jak malutka Issy, gdy odwiedzali jej rodziców i Caroline zapomniała o przenośnym łóżeczku. Jej córeczka spała wtedy w szufladzie, wyłożonej poduszkami i kocykiem. Niemowlęta są o wiele łatwiejsze w transporcie niż dzieci, które biegają po całym samolocie, zagadują nieznajomych, uganiają się po hotelowych korytarzach. Od dawna jest matką. W przyszłym tygodniu minie szesnaście lat. Była ciekawa, ile lat ma Asia, ale na razie nie pytała. Mała przeszła dość jak na jeden dzień.

Pod kołami samochodu znajomo zachrząścił żwir. Zatrzymała się przed szopą. Budynek nikł w ciemności; znowu zapomniała zostawić włączoną latarnię. Wysiadła, otworzyła tylne drzwiczki. Melanie wyniosła córkę z samochodu.

Niespokojnie wpatrywała się w mrok. Gdzieś w pobliżu szeptała rzeka. Wiatr wył wśród gałęzi, zaciął deszcz.

- Strasznie tu - szepnęła, jakby obawiała się, że ktoś czai się w ciemności. - Naprawdę tu mieszkasz?

- To mój dom. - Caroline nie miała siły na kłótnię; to wszystko bardzo dawało jej się we znaki. Była zmęczona i wyczerpana, i marzyła o jednym: iść

do łóżka i pozbyć się tej kobiety, tego zobowiązania. Otworzyła drzwi, zapaliła światło i zadała sobie pytanie, jak długo jeszcze będzie sprzątała po Jamesie. Co jeszcze narobił? Oprócz tego, że dał się zamordować. Tylko komu? I dlaczego, na miłość boską?

Asia obudziła się, gdy matka niosła ją po schodach, ale milczała. Właściwie do tej pory nie odezwała się ani słowem. Nawet nie pisnęła.

- O, nie - jęknęła Melanie, gdy Caroline zaprowadziła ją do pokoju Issy. - Wszystkie nasze rzeczy są w wynajętym wozie, który został pod pubem.

Caroline dała jej szlafrok, dla małej znalazła koszulkę. Skombinowała szczoteczkę do zębów - ale tylko jedną, będą musiały się podzielić. Asia i tak nie miała kilku zębów. Przyniosła koce, bo domyślała się, że mogą być im potrzebne, skoro przywykły do upałów Singapuru. Położyła w łazience mydło i zapewniła, że jest też szampon, ale Melanie stwierdziła, że jest zbyt zmęczona. Caroline poszła do kuchni, zagotowała wodę, zaparzyła herbatę. Zniosła parujący kubek na górę wraz z talerzem ciastek, postawiła na progu. Zapukała do drzwi, mówiąc, że kolacja czeka pod drzwiami. Życzyła im dobrej nocy i zapowiedziała, że porozmawiają rano.

A potem poszła do siebie, zamknęła się w łazience i rozważała, czy nie płakać. Uznała jednak, że niewiele jej z tego przyjdzie, więc tylko umyła twarz. Mimo znużenia nie zapomniała o kremie na noc.

- Na wszelki wypadek, żeby mi twarz nie odpadła - mruknęła do swego odbicia. Co wcale by jej nie dziwiło, przy tym wszystkim. Taki... stres? To za

słabe słowo. Z westchnieniem położyła się do łóżka i otworzyła pocztę elektroniczną. Isabel pisała:

*Mamo! Babcia jest super, ciągle się śmiejemy. Dziadek wiecznie kosi. Komary dają się nam we znaki.*

*Możemy tu zamieszkać?*

Caroline zamknęła laptop i opadła na poduszki. Świetnie, więc dopiero kupiła tę szopę, zadłużyła się po uszy, by zrobić z niej prawdziwy dom i spróbować zarabiać na życie, a teraz córka chce mieszkać we Francji, u dziadków. Przecież sama zaproponowała jej to, do cholery. Pamiętała dokładnie, jak pytała, czy nie mogłyby zamieszkać we Francji. A Issy wtedy powiedziała: nie!

Jej uwagę zwróciła dioda mrugająca na telefonie komórkowym. Dwie wiadomości tekstowe. Pierwsza była od Maggie:

*Poradzimy sobie ze wszystkim, bez obaw, amiga. A ta mała może i ma brązowe oczy, ale czy to na pewno dziecko Jamesa? Przemyśl to dokładnie. Jutro porozmawiamy.*

Caroline myślała o tym bardzo intensywnie. Jakkolwiek było, Melanie dopiero co stanęła pod jej drzwiami, nie przedstawiła żadnego dowodu na swój związek z Jamesem, który jak twierdziła, trwał od sześciu lat. Nie miała też niczego, co dowodziłoby, że naprawdę był ojcem małej. Może ją zwyczajnie nabiera? Zjawia się na jej progu bez niczego, za to twierdząc, że James był ojcem dziecka, i teraz

Caroline jest za nie odpowiedzialna? Gdzie pieniądze?

Musi to gruntownie przemyśleć.

Kolejną wiadomość przysłał Jim Thompson:

*Fatalna pogoda. Co powiesz na kolacyjkę przy świecach? U Ciebie? Słyszałem, że fantastycznie gotujesz. Daj znać kiedy, a stawię się z winem.*

Zgasiła światło i wsunęła się pod kołdrę. Świetnie. Teraz nawet gdyby chciała, nie może sobie pozwolić na romans - pierwszy od siedemnastu lat, do cholery - bo ma na głowie sprawy Jamesa. Pomyślała o nim i chciała płakać, ale nie. To już koniec. Chociaż nie, nieprawda, bo przez Melanie i Asię wszystko zaczęło się od nowa.

## *Rozdział 51*

WE FRANCJI, PRZY ŚNIADANIU, Cassandra Meriton spojrzała na wnuczkę.

- Wiesz, kochanie, powinnaś już wrócić do domu.

Isabel podniosła głowę znad filiżanki z kawą, do której przed chwilą wsypała cukier waniliowy, i w milczeniu wpatrywała się w babkę.

- Co ty na to? - Cassandra czekała na odpowiedź.

- Do jakiego domu?

Cassandra westchnęła. Nastolatki są naprawdę bardzo przewidywalne.



Razem z wnuczką siedziały przy metalowym stoliczku pod pędami pnącej wistarii. Kwiaty stopniowo zmieniły się w gniazda nasienne, które co pewien czas pękały z głośnym trzaskiem, rozsiewając dokoła nasionka. Rozmnażanie to prosta sprawa, jeśli chodzi o kwiatki, przemknęło jej przez głowę. Ale u ludzi, zwłaszcza u kobiet, to bardziej skomplikowane.

- Powiedz, kiedy ostatnio byłaś u lekarza? - Nałożyła domową konfiturę z fig na kawałek rogalika. Starannie unikała wzroku wnuczki.

- O co ci chodzi?

- Wiesz doskonale, o co mi chodzi. Za kilka tygodni skończysz szesnaście lat. Jesteś na tyle dorosła, że możesz sama o siebie zadbać. Tak na wszelki wypadek.

- W sensie, na wypadek, gdybym chciała iść z kimś do łóżka? - Isabel miała na końcu języka słowo „pieprzyć się”, ale w ostatniej chwili uznała, że jednak nie wypada używać takich słów w rozmowie z babką, i to przy śniadaniu.

Cassandra otwarcie patrzyła jej w oczy.

- A chcesz?

- Pytasz, czy już to zrobiłam?

- Nie musisz odpowiadać, jeśli cię to krępuje. Rozumiem potrzebę prywatności, ale uważam też, że my, kobiety, musimy czasem z kimś porozmawiać. O takich rzeczach, jak miesiączka, czy depilować miejsca intymne, czy jednak nie, czy pryskać się perfumami tam, gdzie chcesz, żeby mężczyzna cię pocałował... jesteś normalną, atrakcyjną dziewczyną. To, co czujesz, też jest normalne. Seks w odpowiednim wydaniu to wspaniała sprawa.

- W odpowiedniej chwili i odpowiednim miejscu - dokończyła za nią Isabel. - I żeby było jasne: nie, z nikim nie spałam. Na razie - dodała po chwili.

Cassandra nie odrywała od niej wzroku. Słuchała wnuczki uważnie i wiedziała, że czegoś jej jeszcze nie powiedziała.

- Ale? - zagadnęła.

I wtedy, nad talerzem z rogalikami, pod baldachimem z wistarii, Isabel opowiedziała babci o napaści Lysandra.

- Drań - syknęła Cassandra. Kiedy Isabel skończyła, przez długą chwilę wpatrywała się w kubek po kawie. - Doleję - zaproponowała i po chwili postawiła dzbanek na stoliku. - Pewnie był pijany. Mężczyźni już tacy są, po alkoholu nie są w stanie myśleć logicznie, tracą wyczucie, kim są, kim ty jesteś. Nie on pierwszy i nie ostatni. To oczywiście żadne wytłumaczenie. Posłuchaj, Isabel... Z całą pewnością niedługo sama tego zapragniesz, wtedy dopiero zaczną się problemy.

Zamieszała kawę i pograżyła się w myślach. Boże, tyle czasu minęło, kiedy przeżywała podobne dylematy, wspominała ten pierwszy raz, gdy chłopiec wsunął jej rękę między nogi, a ona myślała, że zemdleje z wrażenia...

- Właściwie nie ja powinnam z tobą o tym rozmawiać, tylko matka...

- W życiu jej nie powiem! - Isabel zarumieniła się na samą myśl.

Cassandra skinęła głową.

- Rozumiem. Tak to już jest. Od tego są babcie i przyjaciółki, i inne dziewczyny, które mają podobne

doświadczenia. Posłuchaj, Issy - na moment zapomniała, że teraz ma się zwracać do wnuczki: Isabel; w końcu przez szesnaście lat posługiwała się zdrobnieniem. - Seks jest dobry. Z odpowiednim mężczyzną bywa wspaniały. Nieziemski - podkreśliła. Przypomniła sobie swoją burzliwą przeszłość i pomyślała, że nawet kobiety po sześćdziesiątce, a zapewne i starsze, czerpią radość z seksu, jednej z najwspanialszych rzeczy na świecie.

- A skąd będę wiedziała? - zapytała wnuczka.

- Cóż, moja droga, to nie jest łatwe. Może się zdarzyć, że zmyli cię własne ciało, będzie wierzgało jak ryba na wędcę, będzie chciało ci wmówić, że właśnie tego chcesz, tu i teraz. Ale zdradzę ci coś, co odkryłam po kilku takich przygodach, oczywiście w dawno minionych czasach młodości - zastrzegła, a wnuczka się roześmiała. - Wiesz, kiedy jest po wszystkim. Kiedy leżysz w jego ramionach i czujesz, że właśnie tam chcesz być. I on pragnie tego samego. Dopiero wtedy zrozumiesz, czym tak naprawdę jest seks.

- Dowodem miłości?

- Czasami tak, czasami nie. Życie bywa okrutne. Ale jeśli kiedykolwiek tego doznasz, nie odpychaj tego uczucia. Nazywa się miłość.

- O rany. - Issy z podziwem wpatrywała się w babkę, do której teraz zwracała się po imieniu, i usiłowała wyobrazić ją sobie jako jasnowłosą szesnastolatkę, tańczącą do białego rana w pantofelkach na obcasie, prowokującą chłopców zalotnym spojrzeniem błękitnych oczu. Na pewno była słodka i seksowna. - Nie wyobrażam sobie takiej rozmowy z mamą - szepnęła smutno.

- Ja z moją też nie. Ale my sobie pogadałyśmy. A ty jesteś odrobinę mądrzejsza i bardziej rozsądna.

- I wiem, co się naprawdę liczy. - Issy wydawała się bardzo pewna siebie.

Babka przecząco pokręciła głową.

- Nie, tego nie wiesz. - Uśmiechnęła się. - Ale jeszcze się dowiesz.

## *Rozdział 52*

CAROLINE OBUDZIŁA SIĘ GWAŁTOWNIE W ŚRODKU NOCY. Poczwała, jak przenika ją dreszcz i włosy na jej karku stają dęba. Czy naprawdę słyszała kroki na schodach? Czyżby nieznajoma wymykała się z domu z jej srebrami? Miała tego niewiele, ot, zastawa kupiona na aukcji, związana zwykłym sznurkiem.

O, znowu to usłyszała. Ale to nie były kroki, tylko stłumiony dziecięcy płacz.

O Boże. Małe biedactwo. Usiadła, przycisnęła kołdrę do piersi w różowej koszulce i zastanawiała się, co zrobić. Nie słyszała nikogo prócz dziewczynki. Ktoś powinien ją przytulić, uspokoić, zapewnić, że wszystko będzie dobrze... tak robią rodzice z przerażonym dzieckiem.

Cholerna Melanie Morton. Cholerny James. I co ma teraz robić? Zadzwoń do matki, szepnął wyraźnie wewnętrzny głos. Oczywiście, zadzwoń do Cassandry. Czyż nie tak postępują wszystkie przerażone córki? A przynajmniej powinny. Matki, o czym już się przekonała, to źródło wiedzy i doświadcze-

nia. Matki wiedzą wszystko. W każdym razie córki są o tym przekonane. Poza tym Issy - Isabel - miała za kilka dni wrócić do domu i nie wiadomo, jak zareaguje, gdy zastanie tu przyrodną siostrę, o której istnieniu nikt jej nie uprzedził.

Wstała, narzuciła stary szlafrok, otworzyła drzwi i przez chwilę dziwiła się, czemu w ogóle je zamknęła. No, z drugiej strony w domu jest nieznajoma, która śpi w pokoju obok i nieważne, ma dziecko czy nie, to jednak obca osoba, a przecież nigdy nic nie wiadomo...

Ostrożnie uchyliła drzwi. Wieczorem zostawiła zapalone światło na schodach, na wszelki wypadek. Na jaki wypadek? Że jej goście zgłodnieją i zechcą zrobić sobie w kuchni kanapki? Zadzwoić? Obejrzeć telewizję? Drzwi do ich pokoju były zamknięte. Caroline nasłuchiwała chwilę, ale niczego nie słyszała. Mała przestała płakać.

Dzięki Bogu. Boso zeszła z drewnianych schodów, pokonała ciemny salonik i weszła do kuchni. Zaparzyła sobie herbatę. Zerknęła na zegarek. O której będzie mogła zadzwonić do matki? Zapaliła światło i mało brakowało, a dostałaby zawału ze strachu. Przy oknie stała Melanie.

Bóg jeden wie, od jak dawna tam stała, w ciemności, wpatrzona w mrok. Była prawie naga, miała na sobie tylko czarne koronkowe majteczki i koszulkę, która podkreślała kształt jej piersi, bo była bez stanika. Takie jędrne, przemknęło Caroline przez głowę i przez moment zastanawiała się, czyjej piersi można by określić tym samym słowem. Pewnie nie. Nieważne. Dlaczego nie włożyła szlafroka, który jej pożyczyła?

- Przestraszyłaś mnie - stwierdziła.

- Przepraszam. Nie mogłam zasnąć. Asia płakała, jest zagubiona.

- Słyszałam. Już z nią lepiej?

- Zasnęła z wyczerpania.

Caroline dołała wody do czajnika i postawiła na kuchence.

- Napijesz się herbaty?

- Wolałabym wódkę.

Caroline skinęła głową i podeszła do barku. Właściwie chyba nic już jej nie zdziwi, a już na pewno nie wódka w środku nocy. Sobie też naląła, postawiła szklanki na stoliku, zaproponowała tonik, sok żurawinowy, limonkę. Wrzuciła do szklanek kostki lodu, nastawiła wodę na herbatę. Robiło jej się niedobrze na myśl o ciastkach, więc wyjęła z szafki torebkę orzeszków pistacjowych. Przysunęła sobie krzesło do Melanie, postawiła orzeszki na stole i usiadła.

- Zdrowie. - Melanie uniosła szklankę.

- Zdrowie - mruknęła Caroline, ciekawa, jak się to wszystko skończy.

- Nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego - zaczęła Melanie po sporym łyku wódki. Nie zakrztusiła się, choć Caroline pewnie nie mogłaby złapać tchu po takim hańcie.

- Domyślam się. - Upiła mały łyeczek.

- Chodzi o to, że... no cóż, boję się. - Melanie ukryła twarz w dłoniach. Caroline pamiętała siebie w tej samej pozycji, gdy dopadała ją ta sama rozpacz, którą teraz wyczuwała w tej kobiecie. Tej nieznajomej.

- Przykro mi. Ale tutaj nie masz się czego bać. Nie przywykłaś do wiejskiej ciszy, to wszystko.

- Nie, nie, nie o to chodzi. Musiałam wyjechać z Singapuru, bo bałam się, że ta kobieta zechce mnie zabić po tym, co zrobiła Jamesowi...

Caroline domyślała się, że ma na myśli Gayle Lee Chen. Sięgnęła po orzeszki.

- A dlaczego właściwie się jej boisz? - Wiadomo, o kogo chodzi. Nie musiała wymieniać jej nazwiska.

- Bo to ona zabiła Jamesa. - Melanie uniosła głowę i spojrzała Caroline prosto w oczy. - Wiesz o tym, prawda?

- Nie zastanawiałam się nad tym - odparła Caroline ostrożnie, bo ta myśl przemknęła jej przez głowę, choć o ile jej wiadomo, Gayle Lee Chen nie miała motywu, a z kryminalnych seriali telewizyjnych wynikało jasno, że aby zabić, trzeba mieć motyw. Przypomniała też sobie, jak zareagowała Issy, usłyszawszy, że James popełnił samobójstwo. Stwierdziła, że ktoś go zabił. Ze ktoś pragnął jego śmierci.

- Ale dlaczego? - zapytała głośno.

- Gayle Lee miała kłopoty finansowe. James nigdy nie wiedział, skąd miała pieniądze, i nigdy o to nie pytał, po prostu zakładał, że jest bajecznie bogata. A później okazało się, że pracuje dla chińskiej mafii. Tak długo był w jej szponach, że aż dziwne, że związał się ze mną.

- I rozstał ze mną - dodała Caroline w przyływie złości.

- No tak, ale... ja zjawiłam się po tobie.

- Nieprawda.

Oczy Melanie zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Żartujesz chyba. James mi mówił, że między wami wszystko skończone, że od lat razem nie śpicie, że...

- To samo mówią wszyscy żonaci mężczyźni, uganiający się za inną.

Melanie wydawała się zagubiona.

- Mówił, że jesteś oziębła, wyrachowana, że zależy ci tylko na jego pieniądzach i dobrobycie.

- I zobacz, co mi z tego przyszło, nie mam ani jednego, ani drugiego. Tyle, jeśli chodzi o moje wyrachowanie. - Caroline się zamyśliła. - Czy byłam oziębła? - zastanawiała się na głos. - Może rzeczywiście, kiedy się zorientowałam, że nie jestem jedyną kobietą w jego życiu, że jestem tylko żoną.

- Boże. - Melanie opuściła wzrok, tępo wpatrywała się w orzeszki, które rozsypały się po sosnowym stole. - Przysięgam, że o tym nie wiedziałam, powiedziałam ci, że jestem katoliczką, ja nie...

- Nieprawda - prychnęła Caroline. - Takie jak ty nie mają oporów.

- Och, no tak, rozumiem. Oczywiście z twojego punktu widzenia.

- A czyj punkt widzenia mam przyjąć? Twój? Jamesa? Do cholery, odebrałaś mi kawałek mojego życia, a teraz zjawiasz się w mojej kuchni z dzieckiem, jak twierdzisz, mojego byłego męża, który był moim de facto mężem, kiedy Asia przyszła na świat. Zaraz, ile ona właściwie ma lat?

- Pięć, prawie sześć.

- A moja córka prawie szesnaście.

- Niepotrzebnie tu przyjechałam. - Melanie przyglądała się jej uważnie. - Popęłniłam błąd. Przepraszam. Ale mówiłam prawdę. Bałam się. I boję. Ona mnie dopadnie, bo wie, że ja wiem, co się stało. I obawia się, że coś powiem.



- Ale komu?

- Tobie. - Melanie chyba wzięła się w garść, wyprostowana skrzyżowała ręce na wydatnych piersiach i przez chwilę szukała odpowiednich słów. - Uważam, że powinnaś wiedzieć - zaczęła w końcu - nie dlatego, że chcę, żeby ta cała Chen polowała również na ciebie, ale żebyś miała pojęcie

O Jamesie i o niej. Wyznał mi wszystko. Poznał ją przed laty na przyjęciu na chińskiej dżonce, wiesz, takiej staroświeckiej drewnianej łodzi z czarnym żaglem. Wynajmuje się je na przyjęcia i pływa po zatoce, wyobrażając sobie, że jest się grubą rybą. Tak mi przynajmniej mówił.

Caroline przypomniała sobie, że jej mąż wiele lat temu niemal tymi samymi słowami opisywał takie przyjęcie. Nie wspomniał tylko, że poznał wtedy panią Chen.

- Mówił, że była cudowna, egzotyczna, inna.  
i bardzo seksowna.

- Nie tak ją odebrałam. - Caroline przypomniała sobie jej lodowaty spokój w hotelu Peninsula.

- James miał współnika, Marka Santosa. Nie poznałam go - zastrzegła Melanie - mówię ci na wszelki wypadek. W każdym razie James od razu stracił dla niej głowę. A ona była sprytna, naopowiadała mu, że może mu pomóc, że ma pieniądze, które chciałyby zainwestować. Mówił, że miała niekończące się źródło pieniędzy, właściwie dzięki niej jego firma stanęła na nogi, ale nie chciała, by komukolwiek

zdradzał jej rolę, chciała pozostać w cieniu. Obawiał się, czy to legalne, niepokoił, że może nie chce płacić podatków, i tak dalej, ale to była ważna osoba, miała mocną pozycję w chińskiej społeczności. I była taka seksowna, że zupełnie oszalał. To się ciągnęło latami, spotykał się z nią, inwestował, zarabiał majątek, dla niej i dla siebie. I wtedy poznał mnie... i wszystko się zmieniło.

- Dla mnie też. - Caroline nie zdołała się powstrzymać.

- No tak...

- Mów dalej. - Caroline chciała w końcu poznać całą prawdę.

- Gayle Lee zaczęła mu grozić. Miała potężnych mocodawców, prała im brudne pieniądze, pochodzące z handlu bronią. To oni ją podstawili, choć James nie miał o tym pojęcia. Była też hazardzistką i sporo przegrywała. Przedstawiała im dochody z nigdy niezawartych transakcji. Żyła w luksusie, z rozmachem. To był domek z kart. Jeden inwestor nabrał podejrzeń, za nim poszli pozostali. Chcieli wycofać zainwestowane pieniądze, bo inaczej... Gayle Lee spanikowała. James proponował, żeby sprzedała kilka obrazów, ale oświadczyła, że wówczas straciłaby twarz i wszyscy wiedzieliby, że jest skończona. A poza tym obrazy to kopie, dzieła genialnego fałszerza z Kantonu, który namaluje, co chcesz. I wcale nie jest tani. James oszalał, powiedział, że musi jej pomóc. Wiedziała wszystko o jego interesach z Markiem. Znała hasła dostępu do kont, podbierała im pieniądze i James ją na tym przyłapał. W ostatniej chwili uzupełnił na koncie brakujące sumy.

Caroline przypomniała sobie, co Mark mówił na ten temat.

- James w końcu wyznał mi prawdę, bo nie mógł tego dłużej wytrzymać - ciągnęła Melanie. - Miał dosyć jej gróźb, próśb, emocjonalnego szantażu, kłamstw i półprawd. Kiedy się poznaliśmy, oznajmił, że od lat już nie są parą, że łączą ich tylko

interesy, z których nie może się wyplątać. Kochał mnie, a kiedy zjawiała się Asia, miał opowiedzieć wszystko Markowi, wycofać się z ich wspólnego przedsięwzięcia, za wszystko przeprosić. Mówił, że pójdzie na policję, złoży zeznania o Chen, o swojej roli w tym wszystkim, i że to już koniec. Tak mi przynajmniej mówił.

Melanie dołała sobie wódki, Caroline dosypała lodu. Zaparzyła imbryk herbaty, której pewnie i tak nie wypiją, i mimo wszystko naląła jej do kubków. Denerwowała się i musiała czymś zająć. Nie wiedziała już, czy chce wysłuchać dalszej części tej historii. To wszystko stawało się zbyt rzeczywiste.

Melanie podjęła przerwany wątek.

- James chciał dać jej pożegnalny prezent, żeby złagodzić cios, jak mówił, choć nienawidził jej za to wszystko, w co go wciągnęła. Zapytał mnie, co jej kupić. zaproponowałam Hermesa, to idealny prezent dla takiej kobiety. Apaszka, nic specjalnie rzucającego się w oczy, zwłaszcza że był bankrutem. Odwiozłam go na lotnisko. Asia była ze mną. Wzywali już lot do Hongkongu, ledwie zdążyliśmy się pożegnać.

Caroline miała przed oczami smutny obraz małej dziewczynki machającej na pożegnanie ojcu, którego już nigdy nie zobaczy.

- Nie mam pojęcia, co było dalej - ciągnęła Melanie. - Znam szczegóły z gazet i od policjantów. Orzekli, że to samobójstwo. Oczywiście wiedziałam, że to nieprawda, ale nic nie mogłam zrobić. A potem Gayle Lee Chen znalazła mnie w mieszkanku w Singapurze. Nie dzwoniła, zjawiła się nagle, przedstawiła się jako współpracowniczka Jamesa, zażądała, żebym jej wydała wszystkie dokumenty z jego gabinetu, bo tam były hasła dostępu do poszczególnych kont. Była jak taran, a ja czułam się zagubiona, nieszczęśliwa, nie wiedziałam, co powiedzieć, wiedziałam jedynie, że nie ma żadnych tajnych kont. Nie uwierzyła, zagroziła, że nie da mi spokoju, póki nie pozna całej prawdy. Zaczęłam się bać. „Uważaj na dziecko, dzieci tak łatwo skrzywdzić”, zagroziła mi na koniec.

Melanie urwała. Dokoła nich zapadła wiejska cisza, której nie zakłócały nawet ptasi trel, granie świerszczy, gwizd czajnika.

- I wtedy zrozumiałam, że muszę wyjechać - zakończyła Melanie po chwili. - Muszę chronić Asię. Ta Chinka to morderczyni i nie zawaha się zabić mnie, żeby położyć łapę na pieniądzach Jamesa.

- Na pieniądzach, których nie miał - mruknęła Caroline.

- Na pieniądzach, które podobno jej ukradł.

- Biedny James. - Caroline poklepała dłoń Melanie, bardzo zimną, bo długo trzymała lodowatą szklankę z drinkiem.

- I ja - dodała Melanie.

- Biedna Asia - szepnęła Caroline i dopiero wtedy do niej dotarło, że właściwie wszyscy bez wyjątku mają problem; Gayle Lee Chen jest nieobliczalna.

Sączyła wystygłą herbatę i zastanawiała się, co robić. O której będzie mogła zadzwonić do matki.

- Na pewno masz pieniądze - odezwała się Melanie. - James mi mówił.

Telefon zadzwonił koło ósmej. Caroline na tyle знаła matkę, że wiedziała, iż wcześniej nie ma sensu jej budzić.

Cassandra spokojnie wysłuchiwała jej opowieści. Trzeba przyznać, że ani razu nie przypomniała córce, że wyszła za niewłaściwego mężczyznę. Oznajmiła tylko, że przyjadą tego samego dnia, razem z Issy, i wszystko załatwią.

A potem odszukała męża, który oczywiście zwiedzał posiadłość na traktorze, kazała mu wyłączyć silnik, żeby mogła zebrać myśli, i już wkrótce w trójkę lecieli do Anglii, poznać siostrę Issy.

I sprawdzić, czy Caroline nie grozi niebezpieczeństwo, że zamordują ją dla pieniędzy, których nie ma.

## *Rozdział 53*

JIM PRACOWAŁ, PROJEKTOWAŁ REGAŁY do biblioteki w prawdziwym zamku na północy. Regały staną na trzech ścianach, półki zawisną też nad dwuskrzydłowymi drzwiami do biblioteki, a żeby nie było nudy, półki będą różnej długości i różnej wysokości. Było to żmudne zadanie, bo jeden błąd oznaczałby klęskę całego projektu, dlatego liczył, mierzył i przeliczał

wszystko po kilka razy. Zamówił już drewno - drogie, egotyczne gatunki.

Zleceniodawca, starszy pan po osiemdziesiątce, całe życie radził sobie bez biblioteki, ale teraz zapragnął mieć bibliotekę z prawdziwego zdarzenia. Interesowało go tylko to, co najlepsze, choć Jim uprzedzał, że w jego wieku powinien raczej zainwestować w dobre ogrzewanie i wybrać się na rejs dookoła świata, a książki pożyczać z biblioteki publicznej.

Jednak staruszek był nieugięty. Jim domyślał się, że spadkobiercy, którzy zapewne czyhali, aż wyda ostatnie tchnienie, woleliby odziedziczyć gotówkę, a nie bibliotekę.

Z koncentracji wybiły go myśli o Caroline. Dlaczego nie odpowiedziała na jego mejle? Esemesy? Telefony? Czyżby go unikała? Jeśli tak, wkrótce to się skończy. W Upper Amberley nie sposób kogokolwiek długo unikać. Czy się tego chce, czy nie, spotyka się znajomych na poczcie, na ulicy, w piekarni -w piekarni, której właściciele woleli, by nazywano ją cukiernią. Rzeczywiście mieli naprawdę pyszne ciastka, zwłaszcza ekierki, które dosłownie rozpływały się w ustach i Jim od razu miał ochotę na następne ciastko. Nie przepadał za słodyczami, ale naprawdę uwielbiał te ekierki.

Odłożył miarkę i kalkulator, wyłączył komputer i siedział, wpatrzony w przestrzeń, pogrążony w myślach o ekierkach i Caroline. Przyszło mu do głowy, że może miałyby ochotę na takie ciasteczko do porannej kawy, którą zapewne pija koło jedenastej. I jeśli zjawi się pod jej drzwiami z paczką ciastek, nie będzie mogła kazać mu odejść. Jest dobrze wycho-

wana, będzie musiała zaprosić go na kawę i wtedy w końcu mu wyjaśni, dlaczego go unika, podczas gdy on tak bardzo chciałby, żeby spędzili razem kolejny wieczór. To nie tak, że miał na jej punkcie obsesję; po prostu nie mógł przestać o niej myśleć.

Dziesięć minut później odświeżył się nieco, czyli zmienił koszulę i przeczesał włosy, i wszedł do piekarni, gdzie za ladą stała Belinda Wright. Znali się od dzieciństwa. Uśmiechnęła się, gdy zamówił tuzin ekierek.

- Aż tuzin? - zdziwiła się. - Jakieś przyjęcie?

- Nie, łakomstwo - odparł, i to była prawda, choć miał apetyt nie na ciastka, tylko na kobietę.

Na fotelu pasażera leżała paczka z ekierkami, z których powoli wyciekał pyszny czekoladowo--śmietankowy krem, a Jim kłął, na czym świat stoi, gdy musiał przepuścić stado beczących owiec, prowadzonych przez farmera na pole koło szopy, tam, gdzie zazwyczaj pasły się krowy. Teraz przyszła pora na owce - wielkie żarłoki dokładnie wygryzą trawę, skubiąc ją małymi ząbkami. Zupełnie inaczej niż krowy, które zagarniały źdźbła długimi jęzorami, dawały mleko i produkowały krowie placki.

W końcu owce przeszły, rolnik zamknął bramę i pomachał Jimowi, którego oczywiście znał. Jim ruszył, aż żwir wystrzelił mu spod opon. Zahamował przed szopą i wysiadł.

Na progu siedziała mała dziewczynka i przyglądała mu się uważnie. Miała na sobie pogniecioną różową sukienkę i była wystraszona. Sięgnął do samochodu po paczkę z ekierkami i pomachał do niej przyjaźnie.

- Nie bój się - zagał, podchodząc bliżej. - Jestem znajomym Caroline. Przywiozłem wam ekierki. - Pokazał paczkę z ciastkami.

W progu pojawiła się Caroline.

- Odkąd przyjechały, nie powiedziała ani słowa -odezwała się.

- Czyli od kiedy?

- Od wczoraj. Zjawiły się w pubie podczas burzy.

Ich spojrzenia spotkały się nad dziewczynką, która siedziała spokojnie, niewzruszenie, jakby nigdy nie zamierzała się stąd ruszyć, więc Caroline wzięła ją na ręce i zaniósła do kuchni.

- Przedstawię ci kogoś. - Postawiła małą na ziemi. - To dziecko mojego byłego męża. Ma na imię Asia.

W pierwszej chwili pomyślał, że to młodsza córeczka Caroline, ale zaraz przypomniał sobie, jak ją przedstawiła: „Dziecko mojego byłego męża”. Nie - „Moje dziecko”.

- Mama jest w łazience - dodała. - To długa historia.

- Przyniosłem ekierki.

- Akurat tego mi brakowało. - Wzięła papierową torebkę, wyjęła z kredensu żółty półmisek, ułożyła na nim ciastka. - Cały tuzin! - stwierdziła. - Zaszalałeś.

- Kto zaszalał?

Jim podniósł głowę i zobaczył seksowną blondynkę, z długimi włosami jeszcze wilgotnymi po kąpieli. Miała wielkie niebieskie oczy, długie, bociące nogi, niknące pod spódnicą, bardzo pogniecioną i chyba już bardzo długo noszoną.



- Jestem Melanie, matka Asi - przedstawiła się. Uścisnęła jej rękę i w nagrodę posłała mu zupełnie inny, choć równie olśniewający uśmiech. Zalotny, jak mu się wydawało, a Jim Thompson rzadko się mylił. Wskazała ekierki.

- Co tam wódka. - Melanie złośliwie zerknęła na Caroline. - Słodczyce są o wiele lepsze.

Caroline wzięła serwetkę, owinęła nią ekierkę i podała Asi. Dziewczynka z apetytem wbiła w nią ząbki.

Jim usiadł na krześle. Wszystkie wyglądają nieswojo, pomyślał.

Caroline odnalazła jego wzrok, gdy sięgał po ciastko.

- To długa historia - powtórzyła. Wzruszył ramionami.

- Chętnie posłucham. Mamy cały dzień.

## *Rozdział 54*

PRZY DRUGIM DZBANKU KAWY zniknęły wszystkie ekierki, a Caroline i Melanie opowiedziały całą historię. Kiedy skończyły, Jesus, Maggie i Sam przyjechali czarną furgonetką.

- Co tu się dzieje? - Jesus przywitał się z Jimem i mierzył Melanie surowym spojrzeniem.

- Nic takiego, stary melodramat - mruknęła Caroline. - Przykro mi, Sam - dodała. - Zjedliśmy wszystkie ekierki.

- No cóż. - Samantha usiadła koło Asi. Mała kuliła się na krześle. Wsunęła dłonie między kolana

i smętnie zwiesiła główkę. - Uwielbiam ekierki. Z piekarni Wrightów? - Jim potwierdził ruchem głowy. - Są pyszne. - Zerknęła z ukosa na Asię, która wyraźnie starała się na nią nie patrzeć, nie dotykać jej. - Też zjadłaś? - zapytała. Mała nie reagowała.

- Jest przerażona - wyjaśniła Melanie, gdy Maggie spojrzała na nią pytająco, bo znane jej dzieci nie zachowywały się w ten sposób.

- A Asia poznała tę Chinkę? - zapytała. Melanie skinęła głową.

- Tak. Kiedyś przyszła do nas, po tym jak James... jak...

- Zostawmy to. - Jesus znacząco zerknął na dzieci. - To nieodpowiedni temat.

- Racja - mruknęła Melanie.

- No dobrze, skoro wszyscy znają już całą historię, na czym stoimy? - chciał podsumować Jesus.

Usiadł koło Caroline, która naląła wszystkim kawy i zaparzyła kolejny dzbanek. Przemknęło jej przez głowę, że w taki dzień jak dziś nikt nie będzie się martwić nadmiarem kofeiny.

- Ciasteczka były pyszne - powiedziała do Sa-manthy. Dziewczyna kiwnęła głową i spojrzała na małą, która tym razem nieśmiało odwzajemniła spojrzenie.

- Wiedziałam, że się polubimy! - Sam ucieszyła się wyraźnie.

Asia zwiesiła główkę, ale rozplotła zaciśnięte rączki, wygładziła pogniecioną różową sukienkę i zerknęła po raz kolejny.

- Wracając do twojego pytania. - Caroline zwróciła się do Jesusa. - Moi rodzice przyjadą dzisiaj

wieczorem, razem z Issy... Isabel. Postaramy się to wszystko wyjaśnić.

- Świetnie. - Maggie w myślach już organizowała ich pobyt. - Issy... muszę pamiętać, żeby mówić do niej Isabel... pomieści się z Sam. Melanie i Asia zajmą stary pokój Caroline, a twoi rodzice zatrzymają się tutaj, u ciebie. - Nie dodała: „na wszelki wypadek”, choć tak właśnie pomyślała. Za grosz nie ufała tej całej Melanie. - Przywieź ich na kolację. - Niech Sarah dzisiaj gotuje, a my naradzimy się, co robić.

- Chwileczkę, czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę, o czym my mówimy? - włączył się Jim. - Czy wy naprawdę uważacie, że James padł ofiarą morderstwa?

- Tak. - Melanie przewiercała go wzrokiem. - Byłam tam. Wiem.

- Wierzę w to - przyznała Caroline.

Nikt nie chciał mówić głośno, że Jamesa zamordowała ta Chinka, nie przy dziecku, nie tak bezpośrednio, ale sugestia zawisała w powietrzu, wyczuwalna dla wszystkich. Nawet dla Jima, od tej chwili.

- Słuchaj, wiesz, gdzie mnie szukać, gdybyś mnie potrzebowała - zwrócił się do Caroline. - Przywiozę Georgkiego, będziemy cię pilnować, bo a nuż

ona się tu zjawi?

Roześmiali się, Caroline zapewniła, że nie ma takiej potrzeby, zresztą chińska piękność pokroju Chen w Upper Amberley rzucałaby się w oczy jak gwiazda filmowa.

- Jak lis w kurniku - potwierdziła Sam. Wszyscy spojrzeli na nią i zachichotali.

Bardzo trafne, ale też bardzo groźne porównanie.

- No, dobrze. - Maggie jak zawsze najszybciej wróciła na ziemię. - Teraz pytanie, jak powiemy Issy, że ma przyrodnią siostrę.

## *Rozdział 55*

GDYBY NIE PIWNE OCZY, rozmyślała Caroline, Asia mogłaby być dzieckiem każdego. Zresztą nawet James miał oczy w innym odcieniu. Do tego mała jest śniada, niemal oliwkowa, a James był bardzo blady, jeśli pozwolił, by znikła opalenizna.

Gonzalezowie pożegnali się i wyszli. Melanie paliła papierosa w otwartych drzwiach. Caroline pomyślała, że to bardzo atrakcyjna kobieta i właściwie nic dziwnego, że James stracił dla niej głowę. Ale jeśli przyjechała tu w poszukiwaniu pieniędzy, gdyż jak twierdziła, James był ojcem jej dziecka, trafiła pod zły adres. Bo o ile Caroline wiadomo, po prostu nie ma żadnych pieniędzy.

Jim opierał się o zlew, skrzyżował ręce na piersi i rozglądał się ciekawie. Caroline zobaczyła, jak Melanie mierzy go wzrokiem.

- Chodzicie ze sobą? - zapytała z kocim uśmiechem, który, jak zauważyła Caroline, zagościł na dobre na jej twarzy, gdy przestała płakać.

Chodzą ze sobą? Co to za język?

- Skądże - odparła stanowczo. Jim uśmiechnął się szeroko.

- No dobra. Pójdziemy z Asią na spacer, złapiemy trochę słońca, póki jest. - Wzięła małą za rączkę i wyszły razem na dwór. Szły w stronę pola, na którym, jak zauważyła Carolina, teraz pasły się owce.

- A moje krowy? - zawołała z oburzeniem. Przywykła do ich porykiwania i znudzonych spojrzeń znad żywopłotu, gdy przejeżdżała wzdłuż pastwiska. To głupie, ale była przekonana, że ją poznają.

- Farmer chyba uznał, że dobrze im zrobi zmiana otoczenia - odparł Jim. - No wiesz, zielone pastwiska i tak dalej.

Domyślała się, że to jakiś cytat, ale po nieprzespanej nocy umysł odmawiał jej posłuszeństwa.

- Przy owcach jest mniej much - dorzucił. Cały czas nonszalancko opierał się o zlew.

Caroline nie była w stanie myśleć o muchach. Musiała jakoś się obudzić, ale na pewno nie za pomocą wódki, a tym bardziej kolejnej kawy. Musiała się zastanowić, jak uporać się z Issy, zależało jej, by córka jak najmniej cierpiała. Spojrzała na Jima.

- Nie wiem, jak jej to powiedzieć - wyznała bezradnie.

- Z mojego doświadczenia wynika, że prawda jest najlepsza. Potem z czasem dojdzie do siebie.

- Ostatnio musiała się zmierzyć z wieloma prawdami. - Spojrzała mu w oczy i zauważyła, jak bardzo są niebieskie.

Jim rozłożył ręce.

- Chodź do mnie, kochanie - zachęcił, a ona usłuchała, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

Wtulona w jego klatkę piersiową, z głową przy jego ramieniu, słuchała bicia jego serca. W tej chwili przypomniała sobie, że ma na sobie stary szlafrok, a pod nim jest brudna i naga. Czuła jego dłoń na plecach - przyciągał ją bliżej. Drugą uniósł jej głowę. Jego usta były nagle bardzo blisko.

- Od dawna miałem na to ochotę, ale mnie unikałaś - mruknął i obsypał pocałunkami jej rozczochrane włosy. - Wiesz, że masz cudowne włosy? Miękkie, sprężyste, i ta grzywka, która ciągle wpada ci do oczu. - Znieruchomiał na chwilę. - Zaraz, zaraz, a gdzie twoje okulary?

- Zapomniałam. - Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie je zostawiła po nocnym drinku.

- I dobrze. Wreszcie widzę twoje oczy. - Całował jej powieki, przesunął po nich językiem.

Zadrżała.

Za szybko, za gwałtownie, za cudownie, nie czuła się tak od... Boże, sama już nie wie, ale teraz...

- Masz zielone oczy. - Odsunął ją na odległość ramienia, żeby na nią spojrzeć. - Powiedz, w łóżku zdejmujesz okulary czy nie? Śmiała się, podobnie jak on.

- Zależy, z kim śpię - odparła, a potem ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go. Mocno.

Po pewnym czasie oderwała się od niego.

- Tak nie można - stwierdziła ochryple.

- Dlaczego nie? - Nie poddawał się łatwo, nie teraz, gdy tak daleko się posunęli.

- Mam mnóstwo spraw na głowie, Issy wraca do domu, przyjeżdżają moi rodzice.

- No właśnie, szanowni rodzice. Kiedy mnie im przedstawiś?  
- Uśmiechał się od ucha do ucha. - No wiesz: „Mamo, tato, to mój nowy chłopak”. - Zamyślił się. - Nie, jeszcze lepiej: „Mój nowy kochanek”.

- Nie jesteś moim kochankiem! - krzyknęła oburzona. - Poza tym nigdy nie miałam kochanka!

- Najwyższy czas zacząć.

Słyszeli, jak Melanie woła Asię. Wracają.

- Cóż, może niekoniecznie w tej chwili. Chyba że chcesz do mnie przyjechać.

Caroline pomyślała, że jest taki słodki, taki pewny siebie, taki pociągający, czuły i... och, sama już nie wiedziała. Wiedziała jedynie, że bardzo go pragnie, tu i teraz.

Kiedy Melanie weszła do kuchni, towarzyszyła jej nowa pewność siebie. Czy to możliwe, że zaledwie wczoraj wieczorem stała w drzwiach, ociekając deszczem?

- Och! - Melanie patrzyła na nich z udawanym skrepowaniem.

- Oczywiście możemy znowu wyjść, jeśli chcecie...

- Nie ma sprawy - ucięła Caroline. - Mam pełne ręce roboty. - Wkrótce zjawią się jej rodzice i Issy. - A skoro ty i Asia chwilowo zatrzymacie się w pubie, może Jim mógłby was podwieźć? Przecież twój samochód nadal tam jest, z waszymi bagażami. Tak chyba będzie wygodniej.

- Dobrze. - Melanie wzięła Asię na rękę, kazała jej pożegnać się z tą miłą panią i jej podziękować. Asia milczała. - Ja też chciałabym ci podziękować - zwróciła się do Caroline, która zaczęła się zastanawiać, że może jednak myliła się co do niej.

- Zobaczymy się później - powiedziała.
  - Też jestem zaproszony na wieczorne spotkanie? - zainteresował się Jim.
  - Pod warunkiem że obiecasz, że będziesz grzeczny - zastrzegła Caroline.
  - Spróbuję - rzucił przez ramię.
- Caroline odprowadziła ich wzrokiem, a potem zadzwoniła do Marka, żeby mu powiedzieć o Melanie. I o Asi.

## *Rozdział 56*

ISABEL SIEDZIAŁA NA TYLNYM SIEDZENIU Wynajętego samochodu, za Cassandrą i dziadkiem. Wylądowali na lotnisku Gatwick i teraz jechali autostradą M25. Do Oxfordu i dalej, do Upper Amberley. Rozmowy skończyły się dawno, wszyscy byli zmęczeni.

- Mam nadzieję, że zapięłaś pas? - Głos Cassandry zdawał się płynąć z góry. Mruknęła odruchowo, że tak, oczywiście, i znowu zapadło milczenie. Naprawdę nie chciała jechać do miejsca, które jej matka z uporem maniaka nazywała domem. A przecież ruina nad błotnistą rzeką nigdy nie będzie prawdziwym domem. Jej dom to apartament w Singapurze, w którym ona i rodzice byli rodziną. Dom, w którym nie była nawet po pogrzebie, bo Caroline - i wszyscy inni - powtarzali, że nie ma powrotu do przeszłości.

Wszyscy tak uważali, ale nikt nie brał pod uwagę jej uczuć. Ze może tego chciała. Potrzebowała.



Nawet Cassandra. Był to jedyny raz, kiedy babka, w oczach Issy, postąpiła niesłusznie.

W telewizji często mówili o zamknięciu, o pożegnaniu. Ale śmierć to koniec, definitywny, bo wraz ze śmiercią bliskiej osoby umiera część ciebie. Nieważne, jak to nazwać: wspomnienia, *nostalgie de la vie*, a może upór, ale to właśnie czuła.

Ale to już skończone. Podobnie jak jej pobyt we Francji. Czeka ją powrót do rzeczywistości, zaprawionej *nostalgie de la vie*, czyli tęsknotą za życiem takim, jakie było dawniej.

W myślach była już w pubie, który też był jej prawdziwym domem. Rozmyślała o Sam i oczywiście o Ślepej Brendzie. Ciekawe, czy w ogóle za nią tęskniła? A może zdążyła pokochać Sam? Czy w ogóle ją pozna? W końcu to ona uratowała jej życie. Ale z kotami nigdy nic nie wiadomo, złe wspomnienia wyrzucają z pamięci i żyją chwilą. Ślepa Brenda była tego najlepszym przykładem. Nie przejmowała się ani kalectwem, ani wyglądem, choć oczywiście nie wiedziała, że wygląda inaczej niż inne koty - chuda, na długich nogach, o wiecznie zmierzwionym futerku.

Issy chciałyby być kotem. Życie byłoby o wiele łatwiejsze - nie musiałaby niczego tłumaczyć, radzić sobie z emocjami, nad którymi czasami nie panowała, zmagać się z matką, co jakiś czas doprowadzającą ją do szału, i uporać się z rozstaniem z babką, rozumiejącą ją jak nikt inny na świecie.

- Wszystko będzie dobrze, Isabel - odezwała się Cassandra. - Już prawie jesteśmy na miejscu. Uprzedzam, że najpierw jedziemy do domu mamy.

Isabel wyprostowała się gwałtownie.

- Dlaczego nie do pubu? Nie będę tam mieszkała. To jej dom, nie mój. Nie mam z tym nic wspólnego.

- Dość tego, Isabel. - Cassandra spojrzała na nią przez ramię. - Owszem, masz z tym coś wspólnego. Chociaż raz nie myśl o sobie, pomyśl o mamie.

Cassandra odwróciła się z westchnieniem. Czasami młodzi są tak bardzo wymagający, że działają człowiekowi na nerwy. Z przyjemnością myślała o kieliszku wina, które stoi już pewnie na stole. I może jakiś ser, pyszny wensleydale albo cheddar. Zabawne, mieszka we Francji, a brakuje jej staroświeckich angielskich serów. Pomyślała o wszystkim, co ich czeka, i znowu westchnęła.

Issy ją usłyszała.

- O co chodzi? - zapytała. Wyprostowała się gwałtownie. Coś jest nie tak, czuła to.

Cassandra uznała, że nie ma co ukrywać prawdy, nie teraz, gdy już skręcali na Burford. Za dziesięć minut będą na miejscu.

- Powinnaś wiedzieć, że jest pewien problem. Właściwie nie problem. Coś niespodziewanego.

- Pewnie znowu chodzi o ojca, mama znowu powie mi coś złego na jego temat. Jezu! Czy jest jeszcze coś, czego nie wiem?

- Rzeczywiście, chodzi o twojego ojca, ale to coś, z czym damy sobie radę, jeśli zachowamy zimną krew i zdrowy rozsądek.

- I sami ocenimy sytuację - dodał Henry i zerknął na Issy spod runda panamy. - Oj, powinienem bardziej uważać - sapnął, gdy tuż przed nim pojawi-

ła się biała furgonetka. Oczywiście nie wiedział, że to Jim, bo jeszcze go nie poznał. - Dupek - mruknął.

Cassandra, która zwykle akceptowała przekleństwa tylko we własnych ustach, tym razem puściła mu to płazem.

- Już prawie jesteśmy - stwierdziła, gdy pokonali kamienny mostek i minęli tablicę informującą, że wjeżdżają do Upper Amberley, „jednej z najpiękniejszych miejscowości w hrabstwie Oxford”.

Cassandra wpatrywała się w okno i w myślach przyznawała mieszkańcom rację, podziwiając kamienne domki i ogrody, w których królowały róże, maciejki, szafirki i inne staroświeckie kwiaty. W doniczkach przed pubem pyszniły się geranium, werbeny i pelargonie.

- Nie możemy się tutaj zatrzymać? - zapytała Issy z takim smutkiem w głosie, że babce zrobiło się jej żal. Biedaczka nie ma pojęcia, co ją czeka. Zaraz, zaraz... dostrzegła nieco dalej wysoką blondynkę, która chwiała się, idąc po kocich łbach na wysokich obcasach. W ogóle nie pasowała do wiejskiej uliczki. Prowadziła za rękę małą dziewczynkę, ubraną jak mała księżniczka: w białą sukienkę z wielką kokardą, białe skarpetki z falbankami i buciki zapinane na kostce. A gdzie szorty, koszulka i adidas? - zdziwiła się Cassandra.

Miała przykre przecucie, że to ta kochanka Jamesa i jego rzekoma córka. Zerknęła ukradkiem na Issy (nadal tak się do niej zwracała, ale Issy chyba niczego nie zauważyła). A potem Henry skręcił w podjazd prowadzący do domu Caroline. Minęli rezydencję Thompsonów.

- Piękny dom - zauważyła Cassandra z aprobatą. - Będziecie miały ciekawych sąsiadów.

- Raczej mama - podkreśliła Issy i opadła na siedzenie, a dziadek zahamował, wzbijając w powietrze obłok żwiru. Zauważyła, że na podjeździe jest nowy żwir - przynajmniej nie będzie już takiego błota. Dziadek zatrąbił, żeby dać znać, że przyjechali, i mama wybiegła na zewnątrz.

Uśmiechała się radośnie, okulary w czerwonych oprawkach jak zwykle zsuwały się jej z nosa i patrzyła ponad nimi. Issy wiedziała, że mama jeszcze jej nie widzi, ale nagle zapragnęła znaleźć się w jej objęciach. Błyskawicznie wyskoczyła z samochodu i podbiegła do Caroline, która jak zawsze rozłożyła ręce i powitała ją:

- Skarbie, tak się cieszę, że wróciłaś! Pewnie mówisz już po francusku jak rodowita paryżanka!

- Potrafi zamówić fantę i rogaliki - prychnęła Cassandra, zadowolona, że zastała córkę w tak dobrej formie. Caroline miała na sobie, o dziwo, całkiem niezłą spódnicę i buty na obcasach, i ładną białą bluzkę z małą broszką, ptaszkiem na gałęzi. Ciemne włosy były dobrze ostrzyżone, nawet ta niesforna grzywka jakoś się układała. I, nie do wiary, musnęła usta szminką.

Cassandra i Henry z aprobatą patrzyli na świeży żwir na podjeździe, na budynek, oświetlony popołudniowym słońcem, na rzekę płynącą leniwie za domem. Co jakiś czas owce beczwały smętnie, a w gałęziach kasztanowca ćwierkał ptak.

Weszli do środka i głośno chwalili jej dom. Issy rozejrzała się ukradkiem. Rzeczywiście nie było źle, zupełnie inaczej niż się spodziewała.

- Najpierw drink, potem zwiedzanie - powiedziała Caroline. - Ale zaczniemy od tego - dodała i zaprowadziła ich na taras.

Na niskim murku otaczającym taras już czekała taca z butelką wina, kieliszkami i serami - ktoś tu znał gust Cassandry - i leżały ułożone miękkie żółto-niebieskie poduszki, żeby mogli wygodnie usiąść i rozkoszować się widokiem.

Issy zatrzymała się w drzwiach prowadzących na taras i rozglądała podejrzliwie. Nie tak miało być. Spodziewała się ponurego gmaszyska, przypominającego sierociniec z powieści Dickensa. A tu nawet te cholerne kaczkę człapią radośnie pomarańczowymi łapkami, spiesząc w kierunku domu po okruszki. Głupie ptaszyska, pomyślała, znowu nieszczęśliwa. Nie pojmowała, skąd to się bierze, czemu chce pograć się w rozpacz, ale tak czuła i już. Powtarzała sobie, że kiedy zobaczy Sam, wszystko będzie lepiej.

- Zjemy kolację w pubie - oznajmiła Caroline. - O siódmej. Dzisiaj gotuje Sarah. To moja asystentka - poinformowała rodziców. - Samotna matka. Właściciel mieszkania wypowiedział jej umowę, więc za kilka dni zamieszka w małym domku, tu, koło mnie. A kiedy otworzę restaurację, będzie u mnie pracowała. Stanowimy zgrany zespół.

- A kiedy to nastąpi? - zainteresował się ojciec. W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

- Jak najszybciej. Zamówiłam już meble, umówiłam dostawców, obmyśliłam już nawet menu. Oczywiście początkowo restauracja będzie czynna tylko w weekendy.

- Póki się nie rozkręci - podsumował i uniósł w toaście kieliszek czerwonego wina.

- Przyniosę bagaże z samochodu. Oprócz moich - podkreśliła szybko Issy.

- Więc zatrzymasz się w pubie? - zawołała za nią Caroline.

- Przecież nie tutaj - rzuciła przez ramię. Cassandra westchnęła.

- Za wszelką cenę chce być wredna. Lepiej wyrzucić z siebie to, co masz jej do powiedzenia, zanim będziemy musieli jechać.

- I zmierzyć się z konsekwencjami - dodał ojciec. Caroline wiedziała, że nie będzie to łatwe, no i oczywiście wszystkiemu winna będzie właśnie ona.

## *Rozdział 57*

HENRY OPRÓŻNIŁ SWÓJ KIELISZEK i poszedł pomóc Issy z bagażami. Cassandra niespokojnie spojrzała na Caroline.

- No i? Co jej powiesz?

- Prawdę. Słyszałam, że to najlepsze rozwiązanie.

- Hm. - Cassandra się zamyśliła. - Ale może powinnaś to trochę osłodzić. No wiesz: „Posłuchaj, mam dla ciebie niespodziankę”.

- Znam Issy i wiem, że to nie podziała - odparła. - Nie, powiem jej, jak jest, a potem...

- A potem poczekasz na cios. Matki zawsze muszą oberwać. A kiedy minie szok i dziewczyna za-

cznie logicznie myśleć, zrozumie, że nie miałaś z tym nic wspólnego, że to wszystko wina Jamesa.

- Mamo, to zawsze jest moja wina - poprawiła Caroline znudzonym głosem. - Takie już są nastoletnie córki. Nie pamiętasz? Obwinałam cię o wszystko: o moją krótkowzroczność i o to, że nie mogę nosić szkieł kontaktowych, i miałam ci za złe, że na plaży na Ibizie nosiłaś bikini, a ja umierałam ze wstydu.

Cassandra parsknęła śmiechem.

- Do dzisiaj noszę bikini na Ibizie - przyznała się. - Więc lepiej nie jedź tam ze mną.

- Teraz i ja do ciebie dołączę - stwierdziła Caroline. - W bikini dla pań w średnim wieku.

- Z czego się śmiejecie? - Issy wróciła. Stała w drzwiach, mierząc je oskarżycielskim wzrokiem, jakby miała im za złe, że się śmieją, kiedy ona cierpi.

- Issy, chodź tutaj, usiądź z nami - zapraszała Caroline. - Chciałam ci coś powiedzieć.

- Chyba nie chcesz znowu wyjść za mąż? - Chociaż po matce można się wszystkiego spodziewać.

- Nie, skądże!

Issy widziała, że babcia trzyma mamę za rękę.

- Więc o co chodzi?

- Wczoraj wieczorem miałam gości - zaczęła Caroline. - Była burza, ulewa, pioruny...

- Wiem, jaka tu jest pogoda - przerwała jej córka ze zniecierpliwieniem.

- W drzwiach pubu stanęła kobieta, przemoczona, jak my, tamtego pierwszego wieczoru, pamiętasz?

- Oczywiście. Znalazłyśmy wtedy Ślepą Brendę, tylko nie wiedziałyśmy jeszcze wtedy, że jest ślepa.

- No właśnie... ta kobieta, ładna niebieskooka blondynka, była z dzieckiem, pięcioletnią dziewczynką. Były zmęczone i zmarznięte. Przyleciały aż z Singapuru.

- Z Singapuru? - Issy przyglądała się jej z niedowierzaniem.

- Tak, Issy. - Caroline z trudem dobierała słowa. - Wiesz mniej więcej, co zaszło między mną a tatą. Prawda jest taka, że przestał mnie kochać i zakochał się w innej. W tej kobiecie.

Issy odwróciła się i odeszła. Słyszała słowa matki, ale nie chciała tego słuchać.

- Wracaj! - zawołała ostro babka. Zatrzymała się, ale stała tyłem do matki.

- Twój ojciec mieszkał z nią już wtedy, gdy był z nami - oznajmiła Caroline.

Issy spojrzała błagalnie na babkę, na tę skałę, opokę, na którą zawsze mogła liczyć. Niech sprawi, że mama przestanie mówić te straszne rzeczy.

- Posłuchaj, co mama ma ci do powiedzenia -poprosiła spokojnie Cassandra. - To ważne.

- Wydawało mi się, ojciec miał romans z tą blond Chinką - zauważyła Issy.

- Z nią też - przyznała Caroline.

Issy wbiła wzrok w kamienie. Nie chciała tego słuchać, ale nie miała innego wyjścia. To, co zaraz usłyszy, okaże się bardzo ważne. Drapała palcem u nogi omszały kamień na tarasie.

- Ona tu jest?

- Tak. Z córką.

Nagle miała wrażenie, że na jej żołądku zacisnęła się żelazna pięść. Inne porównanie nie przychodziło jej do głowy. To nie może być prawda, nie może. To ona jest córką swego ojca... tylko ona. Przez tyle lat...

- Ile ona ma lat? - wykrztusiła w końcu.



- Pięć. Nazywa się Asia. Jej matka twierdzi, że to córka twojego ojca.

Dopiero teraz Issy zrozumiała, czym jest rozpacz.

- To nieprawda! - krzyknęła. - Niemożliwe. Nie zrobiłby mi tego.

Caroline przypomniała sobie, że bardzo podobnie zareagowała na wieść o tym, że James popełnił samobójstwo. Nie zrobiłby mi tego. Ciekawe, czy Melanie miała rację i James naprawdę padł ofiarą morderstwa.

- Nie wiemy tego na pewno - zauważyła. - I dlatego musimy się dzisiaj spotkać. Prawda wyjdzie na jaw.

- Słucham? - Cassandra podniosła głowę. Caroline wzruszyła ramionami.

- Jest takie przysłowie, prawda? Oby okazało się prawdziwe.

Issy, wściekła, zaatakowała ją:

- Gdybyś od niego nie odeszła, nie wydarzyłoby się to wszystko.

Caroline odnalazła wzrok Cassandry i uśmiechnęła się smutno. Wiedziała, że to ona okaże się wszystkiemu winna.

- Skarbie - wyjaśniła - to się stało, zanim od niego odeszłam. Mieszkał z nią, wynajmowali apartament w Singapurze.

- W Singapurze? - Wydawało się, że dopiero teraz Issy naprawdę słucha słów matki. Gniewnie kopnęła kamień.

- Mała jest przerażona - ciągnęła Caroline. - To malutka dziewczynka, przeleciała przez pół świata i znalazła się w obcym miejscu, wśród obcych ludzi.

- Bez ojca - mruknęła Issy. - Jak ja.

- Owszem.

- Poznam ją?

- Tak. Dzisiaj. W pubie.

- Och, no tak. Kolacja.

Załamana, mierzyła je wzrokiem. Siedziały na murku, za ich plecami śmiesznie kołysały się kaczki.

- Wspaniały zjazd rodzinny - wycedziła zimno. - Postaram się nie sprawić ci zawodu i zachować się grzecznie. - Posłała Caroline lodowate spojrzenie.

- Taką mam nadzieję - odezwała się babka. -A ponieważ Melanie z córką zatrzymały się w pubie, daję ci do wyboru: nocujesz tam z nimi albo tu, u mamy. My z dziadkiem możemy zatrzymać się tutaj. Chyba że wolisz zaryzykować spotkanie z nimi.

- Wolę zaryzykować - odparła Issy bez chwili wahania. Nie patrzyła na matkę.

## *Rozdział 58*

PATRZĄC NA NIE, CASSANDRA WSPÓŁCZUŁA i Issy, i Caroline. Objęła wnuczkę ramieniem.

- Czy kiedykolwiek pomyślałaś, jak matka w tym wszystkim cierpi? - zapytała.

- Myślę o niej, naprawdę, naprawdę, tylko że... -Ale nawet wypowiadając te słowa, Issy wiedziała, że

to nieprawda. Ani przez chwilę nie myślała o matce. Teraz miała w głowie tylko jedno: że ojciec pokochał inną kobietę. - To drań - zawyrokowała, patrząc na Caroline. - Jak on mógł ci to zrobić?

- Już w porządku - odparła Caroline, choć w głębi duszy umierała z upokorzenia na myśl o zdradzie męża. To coś więcej niż zwykłe upokorzenie, o ile o upokorzeniu można powiedzieć, że jest zwykłe, jakby to była chwilowa sprawa, trudny moment, gdy wszyscy, znajomi i obcy, widzą, że jesteś nic niewarta. Nie, zdrada jest gorsza. Zdrada niesie rozpacz, podobnie jak żałoba, bo strata zawsze boli. Odszedł ktoś, kogo kochałaś, komu ufałaś. Odszedł z własnej woli. Odszedł do innej, którą wolał od ciebie. Żadna kobieta się z tym nie pogodzi.

- Poza tym zachowuję się tak, jak wszystkie nastolatki. - Issy spojrzała na babkę. - Mama pewnie była taka sama wobec ciebie.

- Nie do końca. - Cassandra nie odpuszczała łatwo.

- No i? - Henry miał już dość czekania. Wolał od razu wziąć byka za rogi. - Zobaczymy, jak będzie -mruknął, a Caroline uśmiechnęła się pod nosem.

Issy zmarszczyła brwi. Jej džinsy i koszulka były brudne i pogniecione po długiej podróży.

- Muszę się przebrać. Idę po torbę. - Już w drzwiach spojrzała na matkę. - Oczywiście nie zamieszkać tutaj, wolę zaryzykować w pubie. Tam przynajmniej jest Ślepa Brenda.

Caroline z westchnieniem poszukała wzroku matki.

Cassandra wzruszyła ramionami.

- Nastolatki już takie są. A potem nagle robią się słodkie jak miód i wierne jak stary pies. Pamiętaj, mówię z doświadczenia - zaznaczyła.

- Ale nie takiego - zauważyła Caroline. Jakkolwiek by było, pięcioletnie siostry nie co dzień zjawiają się na progu.

Tymczasem pokazała im resztę domu.

- Zobaczcie, gdzie się podziały wasze pieniądze - powiedziała.

- To teraz twoje pieniądze. - Ojciec zbył jej słowa wzruszeniem ramion.

- Pięknie tu - stwierdziła Cassandra, rozglądając się po saloniku. Słońce odbijało się w świeżo wypolerowanej drewnianej posadzce. I wtedy przypomniała sobie luksusowy apartament w Singapurze, elegancki, leniwy styl życia córki, i zrobiło jej się żal, gdy patrzyła na eklektyczne meble, kupowane na wiejskich wyprzedazach i w tandetnych antykwariatach. Obiecała sobie, że porozmawia z Henrym, żeby kupili Caroline przynajmniej porządną kanapę i wazon, bo stary imbryk to kiepski zastępnik, nawet jeśli ułoży się w nim polne kwiaty.

- Cudownie tu, prawda? - Caroline z dumą poprawiała kwiatki w dzbanku. - Śliczny ten staroświecki biało-niebieski imbryk. Jest metalowy, wiecie? Dziwię się, jak ludzie w epoce wiktoriańskiej nie pozatruwali się, zalewając go wrzątkiem.

- Właśnie wrzątek prawdopodobnie ocalił im życie - poprawił ojciec. - Caroline, odwaliłaś kawał dobrej roboty. Szczególnie podoba mi się ten żagiel pod sufitem.

- Jim to zrobił - odparła z jeszcze większą dumą. - Razem z Georgkim. Pomagali mi w remoncie. To moi przyjaciele - dodała.

A potem zostawiła rodziców w pokoju Issy, żeby mogli się odświeżyć, i poszła do kuchni.

Issy przebierała się w łazience dla gości, na parterze, koło restauracji. Spodziewała się odrapanych ścian, ciekącego sedesu

i popękanej umywalki, a tymczasem zobaczyła urokliwe wnętrze. Nawet mydło było prawdziwe, w miniaturowych kostkach, a nie to paskudztwo w płynie. Opłukała twarz, wytarła papierowym ręcznikiem i pożałowała, że nie ma przy sobie kremu nawilżającego. Przydałyby się tutaj miniatury potrzebnych kosmetyków. Może powinna podsunąć to mamie? Zaraz, zaraz, co jej chodzi po głowie? Niby dlaczego chce podpowiadać jej, jak usprawnić restaurację, której z założenia nienawidzi?

Zajrzała do torby podróżnej i spod koszulek oraz džinsów wyjęła czerwoną sukienkę kupioną w Bordeaux. Podciągnęła ją wyżej, żeby za bardzo nie odsłaniała piersi, przez to jednak stała się jeszcze krótsza. Włożyła czarne zamszowe koturny, kupione na imprezę u cholernego Lysandra, nie chesała się, bo podobał jej się artystyczny nieład na głowie, znalazła błyszczący firmowy Bourjois, kupiony we Francji, musnęła nim wargi. Trochę za różowy do czerwonej sukienki, ale ujdzie w tłoku.

Przez chwilę podziwiała swoje odbicie w lustrze i usiłowała wyobrazić sobie, jakby to było mieć młodszą siostrę. Zawsze była córeczką tatusia, jego laleczką. Tak do niej mówił i jeszcze nazywał ją skarbem tatusia.

- Asia Evans - powiedziała na głos, ciekawa, jak to brzmi. Zmarszczyła brwi. Jednego była pewna: jej ojciec nie nazwałby swojego dziecka Asia.

Zapięła torbę, po raz ostatni zerknęła w lustro, uznała, że wygląda wystarczająco dorośle i światowo, żeby zmierzyć się z każdą kobietą, twierdzącą, że była ojcu bliższa niż ona, i poszła do pozostałych, którzy już czekali w kuchni. Najważniejsze wydarzenia zawsze odbywają się w kuchni i była gotowa się założyć, że dzisiaj będzie tak samo.

- Dobra, jestem gotowa. - Zatrzymała się w drzwiach, rozkoszując się wrażeniem, jakie na nich zrobiła. Szkoda, że nie włożyła długich kolczyków, dopiero by było. Uśmiechnęła się pod nosem.

Patrzyli na nią ze zdumieniem, aż w końcu dziadek przerwał ciszę:

- Gotowa? No, to jedziemy.

Caroline zastanawiała się, jak to się stało, że jej mała córeczka dorosła w ciągu zaledwie tygodnia.

## *Rozdział 59*

TEGO DNIA JIM JUŻ RAZ BYŁ W PUBIE - odwoził Melanie Morton i jej córkę. Teraz jechał tam po raz kolejny. Dochodziła siódma wieczorem, lada chwila zacznie się wielkie posiedzenie i w końcu cała prawda wyjdzie na jaw. Zastanawiał się, czy Melanie Morton naprawdę z nim flirtowała, gdy odwoził ją po południu do pubu. Jim miał dwadzieścia siedem lat i spore doświadczenie we flirtach, bo zadebiutował w tej

dziedzinie, mając zaledwie trzynaście lat, kiedy koleżanka jego siostry przycisnęła go do ściany w sieni, w której poniewierały się kalosze, zanim wpadli do kuchni w rezydencji Thompsonów. Zdyszonym głosem oznajmiła mu, że jest słodki i czy nie uważa, że ma piękne piersi? Uniosła bluzkę, żeby mógł je dokładnie obejrzeć, a on posłusznie spojrział na dwie pełne półkule i przyznał, że rzeczywiście są śliczne.

Fakt, że ona miała całe siedemnaście lat, a on tylko trzynaście, utwierdził go w sympatii do „starszych” kobiet, które wiedziały o wiele więcej niż on. Tak było wtedy.

Z czasem dowiedział się o wiele więcej. Ilekroć się spotykali, uśmiechał się do niej szelmowsko i pozdrowiał tę, która chciała go uwieść, gdy był małym chłopcem. Dzisiaj miała męża i synów bliźniaków, w tym samym wieku, co Jim wtedy. Śmiało odwzajemniała uśmiech i posyłała mu na dłoni całusa.

Bezczelna, ale zabawna.

Melanie to co innego. Kiedy wcześniej wioził ją do pubu, posadziła małą na tylnym siedzeniu, a sama usiadła koło niego i zapaliła papierosa. Nie zapytała, czy mu to nie przeszkadza, choć nie lubił palenia i drażnił go dym w kabinie furgonetki. Poza tym uważał, że nie powinna palić przy dziecku. Uchylił okno, żeby przewietrzyć wnętrze samochodu.

- Przepraszam - mruknęła tylko, zerkając na niego zza zasłony rzęs. Uchyliła okno i wydmuchała dym na zewnątrz. - Nie tak łatwo jest zerwać z nałogiem. Całe życie palenia, rozumiesz.

Jim stwierdził, że nie powinna wyrzucać płonącego papierosa. Co ona, nie wie, że w ten sposób

można wzniecić pożar? Pokazał jej popielniczkę i poradził, by w przyszłości korzystała z niej, nie z okna.

- Chcesz powiedzieć, że czeka nas wspólna przyszłość, Jim? - Odwróciła się do niego. - Wiem, wiem, wcale się nie znamy, nie powinnam w ogóle o tym myśleć ze względu na Caroline, ale uważam, że jesteś seksowny. Mężczyźni mnie uwielbiają - mruknęła mu do ucha. - Lubią niegrzeczne dziewczyny.

Jim pomyślał z niedowierzaniem, że ktoś tu chyba oszalał. Dopiero co się poznali, wieczorem mieli się spotkać w pubie, by raz na zawsze ustalić kwestię ojcostwa jej dziecka. I porozmawiać o domniemanym zabójstwie Jamesa. A ona próbuje go uwieść?

Zsunął jej dłoń ze swojego ramienia, gdy skręcali w stronę wioski.

- Niestety, zabrałaś się do niewłaściwego mężczyzny - oznajmił chłodno.

Roześmiała się.

- Och, Jim, nie obawiaj się, nic ci nie zrobię. Zahamował z piskiem opon i spojrzał na nią.

- Zabiłaś Jamesa Evansa?

Przez dłuższą chwilę patrzyła mu w oczy, a potem opadła na siedzenie.

- Odbiło ci, tak jak całej reszcie - odparła. Wysiadła, trzaskając drzwiami, odpięła małej pas bezpieczeństwa i weszła do pubu.

Jim nie mówił o tym Caroline, ale jeśli będzie trzeba, zrobi to.

A teraz znowu zaparkował przed pubem. Była dokładnie siódma wieczorem. Kurtyna w górę.



## Rozdział 60

RODZICE CZEKALI W LAND-ROVERZE, A CAROLINE zadzwoniła do Georgkiego. Streściła mu całą sytuację, ale zapewnił, że wie już wszystko od Jima.

- Poza prawdą - dodał.

- To tak jak ja - mruknęła. - Ale mamy nadzieję, że poznamy ją wreszcie, przynajmniej częściowo. Dzisiaj wieczorem, w pubie. Przyjdiesz? Chciałabym, żebyś tam był.

- Przyjdę. Zawsze możesz na mnie liczyć, wiesz o tym.

- Nigdy o tym nie zapominam - zapewniła. -Więc jak? O siódmej? W pubie?

- Będę.

Caroline usiadła za kierownicą land-rovera. Ojciec rzucił torbę Isabel na tylne siedzenie i usiadł koło córki. Cassandra i Issy zajęły miejsca z tyłu.

- No i co? - zaczęła Cassandra przyjaźnie. - Przeuroczy wieczór, jeden z tych, kiedy człowiek się zastanawia, dlaczego właściwie wyjechaliśmy z Anglii.

- Migreny - przypomniał jej mąż. - W takie noce migrena zawsze daje ci się we znaki.

Issy milczała. Kuliła się na siedzeniu i obciągała sukienkę, żeby wydawała się dłuższa.

- To nic nie da - poinformowała ją babka. - Jest krótka. Taką kupiłaś i taką musisz polubić, i nosić dumnie.

Issy spojrzała na babkę. Obie się roześmiały. Caroline zobaczyła białą furgonetkę Jima - parkował na ulubionym miejscu, za rogiem, pod drzewem,

koło kościoła. Zawsze się złościł, widząc na samochodzie ptasie kupy. Hummer Georgkiego wspinał się na wzgórze, czarny wynajęty samochód Melanie stał przed pubem, w miejscu, w którym nikt nigdy nie parkował, żeby nie blokować wejścia.

- Wygląda na to, że są już wszyscy - stwierdziła, wysiadła i przy okazji uderzyła się w ramię. Zły znak, pomyślała, przytrzymując drzwi Cassandrze. Niezdarność nigdy nie wróży nic dobrego. Muszę być spokojna, opanowana, uważać na słowa, zadawać odpowiednie pytania. Szkoda tylko, że nie wiem, jak to się robi.

Zaparkowała za samochodem Jima. Georgki pojechał dalej.

- Tam, koło furty. - Wskazała kierunek ręką. Czekala, aż zaparkuje i podejdzie do nich.

- Mój Boże - zaczęła Cassandra spokojnie. - Co to za olbrzym.

- Żałuj, że go nie widziałas w kombinezonie, z maską ochronną na twarzy i wiertarką w dłoni - rzuciła Caroline.

- Miło mi. - Georgki uklonił się oficjalnie. Według Caroline to było uroczę. Po chwili przedstawiła mu ojca.

- A to Issy. - Otoczyła córkę ramieniem.

- Nie zapomnę - zapewnił i zmierzył ją tak gorącym spojrzeniem, że zaczęła się zastanawiać, co właściwie miał na myśli.

Poczuła podejrzliwe spojrzenie matki, ale już szli do pubu, przed którym czekała Sam, jasnowłosa i pulchna, w dzinsowych szortach i koszulce z zespołem Duran Duran.

- Och, Sammy! - Issy puściła się biegiem, podobnie jak Sam. Spotkały się w połowie drogi, uściskały serdecznie, przekrzykiwały się, zapewniały, jak bardzo za sobą tęskniły. Issy odsunęła się na wyciągnięcie ręki.

- Widziałas ją? - zapytała.

- Nie. Zdaje się, że chcą z niej zrobić niespodziankę.

Nie miały czasu na dalsze rozmowy, bo zjawili się dziadkowie. Cassandra serdecznie uściskała Sam i zapewniła, że wszystko o niej wie, naprawdę wszystko. Sam zaczerwieniła się, ciekawa, co miała na myśli.

Weszły do środka i od razu otoczył je znajomy zapach - drewna na kominku, zapiekanek z kurczakiem, piwa, wina i jedzenia.

- Sarah pewnie już gotuje - mruknęła Issy. Sam to potwierdziła i dodała, że Niezdarna Lily dzisiaj pomaga w pubie, zamiast odrabiać lekcje. Maggie nie była tym zachwycona, ale nie miała tu dużo do powiedzenia; decyzję podejmowała mama Lily. Poza tym zdawała sobie sprawę, że Sarah i Lily umierają z ciekawości, nie wiedząc, co się dzieje.

Jesus stał przy drzwiach do kuchni.

- Dzisiaj zjemy tutaj - oznajmił, kiedy skończyły się powitania. Uśmiechnął się z aprobatą na widok Cassandry i podał jej rękę. - Nie spodziewałem się, że Caroline ma taką uroczą mamę - ocenił. Cassandra wstrzymała oddech, policzyła do dziesięciu i spokojnie odparła, że ludzie zawsze jej to mówią.

Poszli za Jesusem do kuchni, gdzie już czekała Maggie. Sarah uwijała się przy piecu, Mały Billy

siedział w foteliku i radośnie machał nóżkami. Lily zmywała, nagle onieśmielona, i jak to ona, upuściła talerz, zaklęła, przeprosiła, posprzątała. Maggie witała wszystkich z uśmiechem, a Jim czekał z boku -w końcu nie należał do tej rodziny. Caroline jednak go zauważyła.

- Mamo, przedstawiam ci Jima. - Wzięła go za rękę i pociągnęła do przodu. - Odgrażałam się, że przedstawię go jako mojego chłopaka, ale to nie byłaby do końca prawda.

Jim posłał jej zbolale spojrzenie; chyba nikt nie chciałby być w taki sposób przedstawiany rodzicom dziewczyny. A Caroline to jego dziewczyna, w każdym razie wkrótce nią będzie, jeśli uda mu się jeszcze kiedyś dopaść ją na osobności.

Isabel rozglądała się w poszukiwaniu kota. Oczywiście leżał na środku stołu, ale wstał, kiedy powiedziała:

- A to Ślepa Brenda. - Kotka, po swojemu, zamruczała cicho, kiedy Issy wzięła ją na rękę. - Pamięta mnie - uznała z ulgą.

Caroline tymczasem rozglądała się dokoła. Nigdzie nie widziała Melanie.

## *Rozdział 61*

JIM ROZEJRZAŁ SIĘ I SZYBKO POLICZYŁ OBECNYCH: Jesus i Maggie, Sam i Issy, Caroline, Cassandra i Henry, on sam i Georgki, nieco dalej Sarah i Lily. Właściwie może powinien też policzyć Małego Billy'ego; za kil-

ka lat może się okazać świadkiem na procesie. A zatem jedenaścioro, a właściwie jedenaścioro i pół, licząc niemowlę. Wszyscy czekali na główne gwiazdy wieczoru.

- Brakuje tu jeszcze jednej osoby - stwierdziła Caroline, mając na myśli Marka.

- Dwóch - poprawiła Issy. Miała na myśli Jamesa.

- Gdyby to wszystko działo się w powieści Agathy Christie, siedzielibyśmy w bibliotece - oświadczył Jim i wziął od Jesusa szklanekę piwa. Upił spory łyk i starł pianę z górnej wargi. - Wszyscy podejrzani i zaangażowani w sprawę zebrani w jednym miejscu, żeby Poirot mógł wyjawić rozwiązanie zagadki: kto to zrobił?

- O ile pamiętam, to zawsze ktoś ze służby - mruknęła Cassandra, podziękowała Maggie za martini z dwiema oliwkami, rzadkość w angielskich pubach.

- Szkoda, że nie ma z nami Herkulesa Poirot, on zawsze wiedział, co robić - skwitowała Caroline. Podziękowała za alkohol; zależało jej na jasności myślenia. Sprawa toczyła się o wielką stawkę, zarówno z punktu widzenia Issy, jak i jej samej, że już nie wspomni o tym drugim dziecku. Biedactwo, pokonała pół świata tylko po to, żeby matka... co właściwie? Zaprezentowała ją jako dowód rzeczowy? Przyjrzała się Issy, tulącej ślepą kotkę do piersi. Wyglądała idiotycznie w tej czerwonej sukience (sprawka jej babki), zmęczona, z biustem niemal na wierzchu. Zauważyła krytyczny wzrok matki; Caroline bez słów pokazała, że ma podciągnąć dekolt. Issy zmarszczyła brwi i wykonała polecenie. Spojrzała na Sam.

- Prawie zapomniałam! Mam dla ciebie prezent! Dam ci go od razu, zanim przyjdą. - Nie musiała mówić: „Zanim przyjdą i wszystko zepsują”.

- Super! - Sam z zachwytem oglądała ciemnoniebieski flakonik perfum o nazwie Soir de Paris, „paryski wieczór”. - Dzięki, że o mnie pamiętałaś.

Issy wzruszyła ramionami.

- To bardzo stare perfumy, były modne w latach czterdziestych czy pięćdziesiątych.

- Pachną cudownie - stwierdziła Cassandra z rozmarzeniem w głosie. - Pamiętam je z mojej młodości.

- Nie! - krzyknęły dziewczynki z niedowierzaniem, a tymczasem drzwi uchyliły się i do środka weszła mała Asia Evans. Weszła, czy raczej została wepchnięta.

W pierwszej chwili Caroline zastygła w bezruchu, ale zaraz zerwała się na równe nogi, podobnie jak Cassandra i Maggie. Podbiegły do dziewczynki, która stała nieruchomo, z kciukiem w buzi, wbijając w nie smutne spojrzenie ciemnych oczu.

- Chodź, kotku. - Maggie wzięła ją na ręce. - Chodź, usiądź z nami przy stole, zjemy razem kolację. Na pewno chętnie napijesz się oranżady, co? A potem powiesz nam, gdzie twoja mamusia.

Asia zeszywniała. Nie chciała nawet usiąść.

- Proszę bardzo, możesz sobie postać - zauważyła Maggie.

Mała stała nieruchomo. Podniosła piąstkę do ust, wbiła wzrok w podłogę.

Caroline wyczuwała napięcie w postawie dziewczynki i po raz kolejny ogarnęła ją fala współczucia.

Spojrzała na Issy, która zerknęła na nią znad kociego łebka. Ukrywała twarz w futerku Ślepej Brendy, jakby nie chciała, żeby Asia ją zauważyła, uznała Caroline.

- Skarbie, powiedz, gdzie twoja mamusia? -zwróciła się Caroline do Asi, ale mała tylko zwiesiła główkę jeszcze niżej.

- Suka zostawiła ją tu samą - odezwała się Cassandra.

- I doskonale wiedziała, co robi - dodał Jim, wstał, podszedł do drzwi, otworzył je... i, tak jak się spodziewał, za nimi stała Melanie. Podśluchiwała. -Proszę, wejdź, publiczność już czeka - powiedział, otworzył je i teatralnie zaprosił ją do środka. - Scena jest twoja - rzucił, gdy minęła go, spowita obłokiem perfum Versace.

I nagle wydawało się, że Melanie straciła - nie wiadomo - panowanie nad sobą, rozum czy może cierpliwość, bo dramatycznie osunęła się na kolana i zalała łzami.

- Nie macie pojęcia, jakie to trudne - wychlipała. Ukryła twarz w dłoniach. - Nie macie pojęcia, jak nam ciężko, zostałyśmy tylko we dwie, Asia i ja. James nie powinien był tak nas zostawiać, on...

- Nie zostawił was - oznajmiła Caroline chłodno. - Sama mówiłaś, że został zamordowany.

- Przecież nie wiem tego na pewno! - krzyknęła Melanie z oburzeniem i na chwilę podniosła głowę.

Czyżby już się wycofywała z poprzednich oskarżeń, dumiała Caroline.

- Ja też uważam, że został zamordowany - wtrąciła się Issy. Przyglądała się Melanie, która niezdarnie

gramoliła się z kolan, przeszkadzała jej w tym wąska czarna spódnica. Włożyła do niej czarną szyfonową bluzkę z wielką kokardą pod szyją. Delikatny makijaż sprawiał, że dzięki jasnym włosom i niebieskim oczom wydawała się uosobieniem niewinności.

Caroline zastanawiało jednak, że córka wcale nie jest do niej podobna - nie odziedziczyła po matce ani oczu, ani karnacji, ani koloru włosów.

- Mark także uważa, że Jamesa zamordowano -zauważyła. - Obecnie tą sprawą zajmuje się policja.

Melanie wygładziła spódnicę opinającą krągłe biodra. Nagle coś ją zdenerwowało.

- No cóż, nie mogą wezwać mnie na świadka -zastrzegła. - Nie było mnie w Hongkongu, kiedy James...

- Kiedy to się stało - dokończyła za nią Issy. Popatrzyły sobie w oczy nad stołem, a potem Issy zerknęła na, być może, przyrodną siostrę. - A kim jest twoja prawdziwa mamusia? - zapytała.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Asię, która zwiesiła główkę jeszcze niżej i milczała.

- Mam nadzieję, że masz jakiekolwiek dowody -mruknął Henry, tym razem do Melanie, ona jednak odwróciła się na pięcie i podeszła do drzwi. Asia się rozplakała. Jesus przyniósł jej paczkę chusteczek. Gdzieś w tle rozległy się brzęk tłuczonych talerzy, krzyki Sarah i przeprosiny Lily.

- Niemożliwe, że jesteś matką Asi. - Issy odnalazła wzrok Melanie. - Mój ociec nie związałby się z kobietą taką jak ty. Lubił kobiety z klasą, takie jak moja mama. Wiem, że potrafił kochać i że kochał mnie.



Nagle Asia wybuchła płaczem. Melanie sprawiała wrażenie, że zupełnie o niej zapomniała. Issy pochyliła się i położyła małą rękę na ramieniu.

## *Rozdział 62*

MELANIE POSZŁA DO BARU I PO CHWILI WRÓCIŁA, niosąc szklankę z przezroczystym płynem - zapewne była to podwójna wódka, bo raczej nie woda. Henry wstał, by przytrzymać jej krzesło.

- Proszę, Melanie, usiądź tutaj, naprzeciwko mnie - powiedział.

Spojrzała na niego czujnie.

- Dziękuję - mruknęła. Zapewne zastanawiała się, czemu nagle jest dla niej taki miły. Upiła spory haust wódki i postawiła szklankę na stoliku.

Potem do baru poszedł Jesus i wrócił z piwem -dla siebie i Jima, i martini dla Cassandry. Usiadł. Wszyscy z wyczekiwaniem wpatrywali się w Melanie.

- Po pierwsze - zaczął Henry - skoro przyjechałaś tu, żeby nam udowodnić, że Asia jest dzieckiem Jamesa, a ty jej matką, zapewne masz przy sobie akt urodzenia. Chcielibyśmy go zobaczyć.

Poderwała się triumfalnie.

- Ha! Wiedziałam, że tak będzie! Poczekajcie! -Upiła kolejny łyk wódki i wyszła.

Słyszeli stukot jej obcasów - najpierw coraz cichszy, gdy szła na górę, i coraz głośniejszy, gdy wracała. Z arkuszem papieru w dłoni. Znowu sięgnęła po wódkę.

- Proszę bardzo. Oto dowód! - Położyła arkusz na stole.

Henry go wziął, przeczytał, podał Cassandrze, która zapoznała się z jego treścią i przekazała go Caroline.

Henry odchrząknął i oznajmił:

- Moi drodzy, to akt urodzenia Asi. Jej rodzicami są James Evans i Melanie Morton. Na dokumencie widnieją podpisy obojga rodziców i wszystkie niezbędne poświadczenia notarialne.

Caroline ponownie sięgnęła po dokument. Cały czas nie mogła w to uwierzyć. Jakim cudem James miał dziecko z tą prostytutką, wulgarną kobietą o wystających zębach i drapieżnym błysku w niebieskich oczach? Jak mógł kogoś takiego pokochać? Powróciły wspomnienia ich miłości. James, taki piękny (jeśli o mężczyźnie można powiedzieć, że jest piękny, James z całą pewnością był), a ona taka młoda, zakochana. Łączyło ich coś wspaniałego. Ich związek nie przetrwał, ale cieszyła się, że w ogóle się wydarzył i że może wspominać Jamesa takiego, jaki był, a nie - jaki się stał.

Melanie rozparła się na krześle i wyjęła papierosa.

- No i co teraz?

Jim wstał, wyjął jej papierosa z dłoni, zgasił pod kranem.

- Tu nie wolno palić — zauważył.

- Brawo - szepnęła Niezdarna Lily. - Co za małpa, nie?

Sarah pokręciła głową, żeby Lily się nie wtrącała.

- Przepraszam - sapnęła Lily. - Bardzo się wciągnęłam.

Po chwili obie oparły się o zlew, skrzyżowały ręce na piersi i z zapartym tchem czekały, co będzie dalej.

Melanie usiadła wygodniej. Odprężyła się wyraźnie.

- Więc chcecie wiedzieć, czemu tu jestem? Przywiozłam córkę Jamesa! - Triumfalne nuty w jej głosie były bardziej słyszalne po podwójnej wódce.

Jesus dał Maggie znak, żeby jej dołąła. Alkohol znosi wszelkie hamulce, a pijani mówią więcej.

- Moja córka... obie potrzebujemy pomocy. Finansowej. James mi niczego nie zostawił. Nie dostałam ani dolca. Mając małe dziecko, nie mogę pracować, to mnie przytłacza, mógł przynajmniej pomyśleć o córeczce. I o mnie, ma się rozumieć. O jej matce - dodała z uśmiechem i spojrzała na Caroline. - Wiesz, jak to jest, prawda? Różnica między nami jest taka, że James pewnie zadbał o przyszłość Issy. Mówił, że ma mnóstwo pieniędzy.

Caroline pomyślała o marnej sumce, którą dostała po rozwodzie. Teraz oczywiście wiedziała, że James miał poważne kłopoty; w innej sytuacji zapewniłby Issy lepsze zabezpieczenie.

- Nie, Melanie, niczego nam nie zostawił - powiedziała. - W tym rzecz. Żadnych pieniędzy.

- Ależ owszem! - Melanie piła już drugiego drinka. Zmrużyła oczy. - Są na koncie w Hongkongu. Fundusz powierniczy dla Isabel Evans, do którego uzyska dostęp, gdy skończy szesnaście lat.

- Szesnaście?! - krzyknęła Cassandra. - Przecież to już w przyszłym tygodniu.

- Co za fundusz powierniczy? - zdziwiła się Caroline. - Nic mi o tym nie wiadomo, wiem tylko o pieniądzach na wykształcenie Isabel.

Melanie wzruszyła ramionami.

- James sam mi o tym mówił. Zapewniał, że jest tam mnóstwo pieniędzy i że są dla Asi. A ja jestem jej mamą, więc dla mnie też.

- Nie jesteś moją mamą - odezwała się Asia. Zdumione spojrzenia wszystkich skierowały się na nią. Znowu zaczęła płakać. A po chwili szlochała na całe gardło.

Issy złapała ją za rękę i razem z Sam wyprowadziły małą na korytarz. Poszły do pokoju Sam i ułożyły ją na łóżku. Asia szlochała coraz głośniej.

- O Boże - jęknęła Issy. - To chyba naprawdę moja siostra.

Tymczasem w kuchni Henry był już całkowicie przekonany, że Melanie kłamie.

- Melanie, chciałbym zobaczyć twój paszport - zagaił.

Drgnęła niespokojnie.

- Paszport pokazuję tylko osobom uprawnionym. Nie macie prawa...

- Chyba jednak mamy.

- A ja uważam, że nie, i koniec dyskusji. - Dopięła wódkę do dna i mierzyła go wyzywającym spojrzeniem.

Maggie wstała i wyszła.

- Lepiej będzie, jeśli nam go pokażesz - przekonywał Henry. - W innym wypadku będę zmuszony wezwać policję.

- Co ty opowiadasz, jaka policja...

Wróciła Maggie z paszportem.

- Ludzie zawsze chowają dokumenty w szufladzie z bielizną - wyjaśniła i podała go Henry'emu.

Otworzył go, spojrzął na zdjęcie, przeczytał nazwisko.

- A to ciekawe - zauważył. Rozejrzał się po twarzach zebranych. - Moi drodzy, przedstawiam wam Jacqueline Ferris, stanu wolnego, lat trzydzieści osiem, zamieszkałą w Singapurze. Bezdzielną.

Caroline odetchnęła z ulgą. A więc Melanie nie jest matką Asi. Może cała ta historia to jeden wielki wymysł, próba wyłudzenia pieniędzy. Odnalazła wzrok matki.

- Bogu dzięki - szepnęła Cassandra bezgłośnie.

Melanie wpatrywała się w stół, nerwowo bawiła się szklanką wódki, w której topniały kostki lodu.

Henry wyjął z paszportu złożoną kartkę papieru, wyprostował, przeczytał i oznajmił:

- Mam tu oświadczenie prawdziwej Melanie Morton, która niniejszym upoważnia panią Jacqueline Ferris do zabrania jej córki, Asi Morton Evans, do Anglii, na miesiąc. Wygląda na to, że prawdziwa matka jest z nią w zмовie, żeby wyłudzić od nas pieniądze.

- Brawo, Poirot - powiedział Jim. Wszystko było już jasne.

Jesus otworzył butelkę wina, Maggie przyniosła kieliszki. Sarah ocknęła się, podała smażone kawałki kurczaka, wysuszone na wiór. Ani Maggie, ani Caroline nie zaserwowałyby czegoś takiego, ale na nic innego nie było czasu, przecież tyle się działo!

Henry spojrział na córkę i pomyślał o wnuczce, która w pokoiku na piętrze zajmowała się przyrodnią siostrą.

- Cóż, Caroline - zaczął. - Chyba w końcu znamy prawdę.

Caroline wcale nie była taka pewna. To w końcu Asia jest córką Jamesa czy nie?

### *Rozdział 63*

GAYLE LEE CHEN WIEDZIAŁA OD RAZU, że coś jest nie tak, ledwie otworzyły się drzwi windy i weszła do swojego eleganckiego apartamentu w Hongkongu. Nikt jej nie witał - ani boy w białych rękawiczkach, ani pokojówka w czarnej sukience i białym fartuszk. Przez chwilę wsłuchiwała się w ciszę, a potem podeszła do przeszklonej ściany. Szyby były lekko przyciemniane, co sprawiało, że słoneczny blask nie oślepiał. Ten apartament zachwyił ją przede wszystkim widokiem na zatokę Repulse. Za dnia patrzyła z góry na zatłoczone miasto i ołowiane morze, w porze monsunów upstrzone białymi grzywami fal, na których łodzie wirują, przewracają się. Wolała jednak noc, kiedy miasto mieniło się neonami, które lśniły jak klejnoty - rubiny, szafiry, szmaragdy i miliony brylantów. Przywodziły na myśl te, które zdobyła i nosiła - na szyi, nadgarstkach i dłoniach.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w swoją szkatułkę, jak pieśczośliwie myślała o tym mieście, a potem podeszła do stolika przy wejściu. Od razu,

ledwie przekroczyła próg, spojrzała na prawdziwą szkatułkę, ale wolała udawać, że jej nie widzi. Teraz jednak nie miała innego wyjścia. W tej szkatułce spoczywa jej przyszłość.

Uniosła wieko i spojrzała na broń, która zabiła Jamesa.

Tamtej nocy, gdy to się stało, poszła za nim na jacht, potem do baru, jednego, drugiego... czekała w samochodzie, aż sam wróci na pokład. Był pijany i zasnął na kanapie. Liczyła, że uda jej się zwalić na niego winę za brakujące miliony i jej mafijni zleceniodawcy dadzą jej spokój.

Zobaczyła torebkę od Hermesa i szalik, domyśliła się jakimś cudem, że to miał być prezent pożegnalny dla niej, jakby te wszystkie lata nic dla niego nie znaczyły. A jednak nie mogła znieść myśli o rozlewie jego krwi i starannie owinęła mu głowę szalikiem. Zaskoczony, uniósł powieki i spojrzał na nią.

Poznał ją? Miała nadzieję, że nie. Nie chciałyby, żeby zapamiętał ją jako tę, która pociągnęła za spust.

Nikt niczego nie słyszał, nikt niczego nie widział, a nawet jeśli, nikt nie zwrócił uwagi. A James, jej ukochany James, odszedł. Już żadna inna go jej nie odbierze. Tylko ona wiedziała, jak zginął. To ich ostatni wspólny sekret.

W mieszkaniu było pusto. Zdjęła buty, boso poszła do sypialni. Nieobecna służba zawsze jej nienawidziła, nie znosili jej arogancji, jej dążenia do perfekcji, jej braku zainteresowania ich losem - liczyło się tylko to, co mogą dla niej zrobić. Człowieczeństwo było Gayle Lee Chen całkowicie obce i między innymi ten chłód tak zafascynował Jamesa. Wiedziała, że

chciał ją zdobyć, złamać; walczył z nią latami, prowokował, zrywał - i zawsze wracał. Rzuciła na niego czar. Pragnął jej i pieniędzy. A potem zakochał się w innej i nawet ona okazała się bezsilna. Zrozumiała, że nawet ona jest zwykłą śmiertelniczką.

Zerknęła na złoty zegarek od Cartiera przy łóżku. Czas ucieka. Musi się spieszyć.

Szkatułkę z pistoletem podrzucił do apartamentu jej pracodawca; mężczyzna, którego pieniądze miała zainwestować, a zamiast tego je ukradła. Od lat uchodziło jej to na sucho; część z nich zresztą naprawdę zainwestowała i zarobiła dla niego niemałą sumkę. Ale nie wszystkie. Jakoś jej się udawało, od lat balansowała na krawędzi. Ale teraz przyszedł koniec. Ten człowiek wiedział o Jamesie. Wiedział

O wszystkim i wiedział, jak dokonać zemsty. Dał jej wybór: pistolet albo policja.

Gayle wzięła szybki prysznic, podeszła do toaletki i spojrzała na swoje odbicie w weneckim lustrze z XVII wieku, w ozdobnej złotoczonej ramie. Platynowe włosy, klasyczny bob to jej znak firmowy. Wystarczyło, by weszła do pokoju, i wszyscy wiedzieli, kim jest. Podniosła rękę i ściągnęła perukę z głowy. Nikt nie wiedział, że to peruka, no, może tylko fryzjer w Indiach, który zrobił ją specjalnie dla niej z cudownych europejskich włosów. „Z włosów samych dziewic”, zapewniał, rechocząc.

Teraz z lustra patrzyła inna twarz - ta sama Chinka, która w tradycyjnej granatowej kurtce

i spodniach grała w kasynie. Wystarczyła chwila, by z miejskiej elegantki przerodziła się w prostą wieśniaczkę.



Zmyła z twarzy makijaż, włożyła granatowe spodnie i kurtkę, miękkie pantofle na guziki.

Nie marnowała czasu. Po raz ostatni rozejrzała się po luksusowej sypialni, po jej królestwie, wyszła do holu, wyjęła broń ze szkatułki, upewniła się, że pistolet jest naładowany, i wsunęła go do kieszeni, gdzie spoczął koło zwitku dolarów, spiętego gumką.

Po raz ostatni zerknęła w lustro. Widziała w nim drobną, podstarzałą Chinę, anonimową mieszkankę tego wielkiego kraju. Wystarczyło dwadzieścia minut, by czas cofnął się o sto lat. Wyglądała jak jej matka i matka jej matki, gdy w zakasanych spodniach stały po kolana w wodzie i zgięte wpół pracowały na polach ryżowych. Czyli jednak niczego nie udało jej się osiągnąć.

Zjechała na parter windą dla służby, bo już nie śmiała wsiąść do luksusowej, wykładanej boazerią, którą zazwyczaj docierała do apartamentu. Nikt nie zauważył jej wyjścia. Nikt nawet na nią nie spojrział. Nikogo nie obchodziła.

Niecałą godzinę później detektyw Huang wjechał windą do apartamentu pani Chen. Miał w ręku nakaz aresztowania pod zarzutem zabójstwa Jamesa Evansa. Ale nie było jej tam, nie było nikogo. Spóźnił się. Hongkong to wielkie miasto. Chiny to olbrzymi kraj. Można w nim zniknąć. Na zawsze.

## Rozdział 64

W PUBIE HENRY ZWRÓCIŁ SIĘ DO MELANIE:

- Słuchaj, opowiedz nam wszystko po kolei. Masz do wyboru, nas albo policję.

- Jezu, chyba nie musimy posuwać się aż tak daleko! - Wytarła nos w chusteczkę.

- Ależ owszem - mruknęła Cassandra. - Tu chodzi o dziecko.

Melanie podniosła wzrok znad mokrej chusteczki. Zrozumiała, że ją pokonali. Usiadła prosto, tym razem skromnie trzymając kolana razem. Wyprostowała szyfonową kokardę pod szyją i zaczęła:

- No, dobrze. Asia rzeczywiście nie jest moją córką. Chciałam im pomóc. Bo to naprawdę córka Jamesa. Jej matka potrzebowała pomocy, a sama nie chciała tego zrobić.

Caroline odetchnęła z ulgą i miała wrażenie, że wstrzymywała oddech od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła Asię, śniadą, z wyrazem zagubienia w ciemnych oczach.

- Biedne maleństwo - sapnęła.

- Cóż, przynajmniej w końcu znamy prawdę -zauważyła Cassandra.

- Jeśli to jest prawda - zastrzegł Jim. Melanie łypnęła na niego z oburzeniem.

- Nie kłamie. Zrobiłam to, bo chciałam im pomóc.

- Czyli skłamałaś. - Cassandra nikomu nie odpuszczała.

Caroline tymczasem myślała gorączkowo: o Boże, a więc Issy ma siostrę... przyrodnią siostrzyczkę.

Jak na to zareaguje? Co zrobi? Już i bez tego nasze stosunki są napięte, a teraz... I co właściwie zrobić z Asią.

- Czekamy, Melanie - ponaglił Henry. - Chociaż właściwie teraz powinniśmy zwracać się do ciebie: Jacqueline.

- Jackie. No wiecie, jak Jackie Kennedy.

- Tylko bez pereł - mruknęła Cassandra, a w myślach dodała: i bez klasy.

- No, dobrze. Więc to było tak. Już od jakiegoś czasu mieszkam w Singapurze. Pracuję w barze, można powiedzieć, że jestem hostessą, ale to porządny lokal, żadnych prostytutek, nie muszę się rozbierać ani nic.

Rozejrzała się po ich twarzach. Wszyscy słuchali w skupieniu.

- No więc - podjęła przerwany wątek. - Często widywałam pewną kobietę. Pracowała w butiku z ciuchami naprzeciwko. Mają tam fajne rzeczy, nie z najwyższej półki, ale też nie chłam. Właśnie tam kupiłam tę bluzkę. - Dotknęła palcem kokardy pod szyją i zebrani westchnęli głośno. - No, tak. Mijałyśmy się na ulicy, ona wchodziła do sklepu, czasami przez chwilę rozmawiałyśmy... Po pewnym czasie zaczęłyśmy umawiać się na lunch i gadałyśmy coraz więcej. Zwierzyła mi się, że jest po uszy zakochana, ten facet ma na imię James i bardzo ją kocha, że kiedy z nim jest, to jakby unosiła się nad ziemią, w obłokach.

Caroline poczuła bolesne ukłucie w miejscu, w którym, gotowa była przysiąc, kiedyś miała serce. James, James, James. Dlaczego? Kiedy? Gdzie

się podzielała nasza miłość? Nasze życie jak we śnie, wśród chmur?

- Mama Asi naprawdę nazywa się Melanie Morton. To porządna dziewczyna. - Jackie zerknęła na Caroline, ciekawa jej reakcji, ale Caroline zamknęła oczy. Miała nieprzeniknioną minę. - I wtedy Melanie zaszła w ciążę. James powiedział, że nie może się z nią ożenić. Jeszcze nie. - Jackie się roześmiała. - Zauważyliście, że w takich historiach facet zawsze mówi: „Jeszcze nie teraz”. A Melanie urodziła dziecko. Jamesa nie było w tym czasie w Hongkongu, podróżował służbowo, więc nazwała małą Asia, na cześć kontynentu, na którym ją poczęto. Bo Melanie jest pół Tajką, pół Wietnamką. I jak wiele osób, które poznałam podczas podróży po świecie, Melanie nie ma żadnej rodziny. Radziła sobie jednak, zarabiała na życie, pracując w sklepie, póki nie pojawiło się dziecko. James umieścił je w przytulnym mieszkanku. A potem przychodził coraz rzadziej, dawał coraz mniej pieniędzy, przestał im pomagać w ogóle...

Znana historia, pomyślała Caroline. To samo spotkało ją, zapewne mniej więcej w tym samym czasie.

- Ilekroć jednak się zjawiał, okazywał miłość córeczce. Rozpieszczał je obie, Melanie i Asię, kupował im ubrania, prezenty, zabierał do restauracji. Melanie opowiadała, że nie chciał iść nawet na kolację bez Asi, więc miała znać wiele najlepszych restauracji. Oczywiście, jeśli akurat był przy kasie, bo po kilku latach było jasne, nawet dla zaślepionej Melanie... no wiecie, nie żenił się z nią i w ogóle... no więc było jasne, że James ma kłopoty finanso-

we. Pracuję w barze i słyszę różne plotki, popytałam też tu i tam. Nikt niczego nie wiedział, ale jedno było jasne: James działał na kilku frontach naraz. Oczywiście wszyscy wiedzą o tobie, Caroline, o waszej córce, o rozwodzie. Wiedzieli także o Gayle Lee Ching...

- Chen - poprawiła Caroline odruchowo.

- Tak, Chen. No, a kiedy Jamesa zamordowano...

- Skąd wiesz, że go zamordowano? - zainteresował się Henry.

- Nie wiem. Prawdziwa Melanie jest tego pewna. Powtarzała, że James za bardzo kochał swoją córkę, żeby odebrać sobie życie, i że za żadne skarby świata nie zostawiłby ich na lodzie, a tymczasem właśnie tak się stało. I dlatego jestem tutaj z małą Asią, żeby wyciągnąć od was, skąpcy, jakąś forszę dla Melanie i córki Jamesa, bo prawdziwa Melanie nie chciała tego zrobić. Zasuwa w tym butikku siedem dni w tygodniu, posyła małą do przedszkola, urabia sobie ręce po łokcie... Zaproponowałam, że przyjadę zamiast niej. Że udam matkę i wyciągnę od was pieniądze, które powinien był zostawić jej James.

- A ile chciałaś na tym zarobić? - Henry nie dawał za wygraną.

- Słucham? Chciałam pomóc Melanie! Zrobiłam to z dobrego serca! Sama powinna była się tym zająć - Ale jest na to zbyt dumna - domyśliła się Caroline. Rozumiała ją aż za dobrze. Znała to uczucie.

- Idę o zakład, że zażądałaś połowy tego, co uda ci się uzyskać  
- ciągnął Henry.

Jackie śmiało patrzyła mu w oczy.

- A nawet jeśli? - Wzruszyła ramionami. - Beze mnie nie miałyby nic.

Caroline spojrzała na ojca.

- Bez względu na wszystko musimy zająć się prawdziwą matką i Asią.

Wszyscy skinęli głowami.

- Jackie powinna wyjechać jak najszybciej - dodała Cassandra.

- Co takiego? - Jackie nie ukrywała oburzenia. - Muszę zająć się dzieckiem!

- Nie musisz, ja się nią zajmę - ucięła Caroline. - Zaraz zadzwonię do Marka, do Singapuru. Opowiem mu o wszystkim. Córeczka Jamesa zostanie tu z nami, póki nie zdecydujemy, co dalej.

- Jeśli się okaże, że prawdziwa matka jest nieodpowiednia, zwrócimy się do władz - ostrzegł Henry.

Caroline wiedziała, że w takiej sytuacji musiałyby zaopiekować się córką Jamesa. Z westchnieniem pomyślała o Issy i napięciach między nimi. Nie wiedziała, jak się to wszystko skończy.

- Najpierw zadzwonię do linii lotniczych - zdecydował Henry.

- Niech Jackie wraca do domu.

- Im szybciej, tym lepiej - zgodziła się Maggie. - A potem zajmiemy się prawdziwą matką.

Sarah nastawiła wodę na herbatę, a Lily wyjmowała kubki z kredensu, wyjątkowo niczego nie tłukąc.

## Rozdział 65

KIEDY CAROLINE DO NIEGO ZADZWONIŁA, Marka nie było w Singapurze. Siedział w herbaciarni w Hongkongu, w dzielnicy, do której nie zapuszczają się turyści. Starsi mężczyźni o zakurzonych stopach zaglądali tu na poranne *dim sum*. Nierzadko mieli ze sobą wiklinowe klatki z kanarkami. Stawiali je ostrożnie na ławce obok siebie i pozwalali, by ptaszki oglądały posiłek. Czasami podsuwali im żywego świerszcza. Mark nieraz zastanawiał się, czy po powrocie do domu kanarki opuszczają wiklinowe więzienie i śpiewają z radości. Taką miał przynajmniej nadzieję.

Kelner o sokolim wzroku podjechał z wózkiem ze smakołykami. Mark wybrał gotowane na parze pierożki won-ton z krewetkami i bułeczkę ze słodką fasolą. Dostał też herbatę w małej filizance. Imbryk stanął na stoliku.

- Cieszę się, że gustuje pan w naszym śniadaniu. - Detektyw Huang zajął miejsce naprzeciwko.

Kelner go znał. Szybko wrócił do ich stolika. Wybór Huanga był o wiele bardziej egzotyczny niż to, co zamówił Mark: gotowane na parze bułeczki z dziwaczną galaretowatą rybą, węgorz, jaja i ryż. I kolejny imbryk herbaty.

- Uznałem, że najlepiej będzie się spotkać tutaj, z dala od ciekawskich spojrzeń - zaczął Huang, gdy pochłonął *dim sum* z węgorzem i popił gorącą zieloną herbatą. - Są dokoła pana osoby, które nie powinny o tym wiedzieć. A poza tym mam dla pana informacje.

- Mam nadzieję, że dobre? O ile w tej sytuacji można w ogóle mówić o dobrych wieściach.

- Dobre. I złe. Choć właściwie nie wiem, jak je potraktować. Po pierwsze, wiemy, że zabiła Jamesa.

Nie pytał kto, zainteresowało go jednak, skąd wiedzieli.

- Wsyłał ją świadek. Widział, jak wchodziła na łódź, słyszał strzał, widział, jak zbiega z pokładu, mówi, że potknęła się na trapie, tak jej się spieszyło. Na wielkich obcasach, tak powiedział. To taki szczegół, który utwierdził nas w przekonaniu, że mówi prawdę. Zresztą zgadzał się czas i facet bardzo dokładnie ją opisał.

- Skąd wiedział, że to ona? Huang wzruszył ramionami.

- Wszyscy ją znają, czy raczej wszyscy o niej słyszeli.

- A kim jest ten świadek? Huang się roześmiał.

- Cóż, z pewnością nie jest to osoba godna zaufania. Pani Chen została wrobiona. Zdradził ją jeden z jej współpracowników. Pracuje dla mafii, zarabia za dużo nielegalnych pieniędzy i dzięki temu od lat żyła w luksusie. Większym niż do tej pory sądził jej pracodawca. Aż niedawno się dowiedział, że pani Chen kręci własny interes na boku... Miał dwa wyjścia. Mógł ją zabić albo załatwić w inny sposób. Tak było łatwiej, bardziej elegancko, a co więcej, pani Chen odwaliała za niego całą mokrą robotę. Nie musiał nawet brudzić sobie rąk.

- I co dalej? - Mark nie wierzył, że pani Chen nie zaczęła działać. Na pewno zatrudniła już najlepszych adwokatów albo ma alibi nie do podważenia i jest w stanie udowodnić, że w czasie morderstwa była zupełnie gdzie indziej. Kobieta jej pokroju może wszystko.

- Zabiła go - powtórzył detektyw Huang. - Proszę o tym nie zapominać. Na broni nie było jej odcisków, ale wiemy, że kupiła



ten pistolet na tydzień przed morderstwem. Widziano ją na łodzi, kiedy padł strzał, i jak później zbiegała z pokładu...

- I to wystarczy?

- A pana zdaniem nie?

Mark pomyślał o Jamesie, dobrodusznym, słabym, uczuciowym, rozdartym wewnątrz, miotającym się między dwiema kobietami, między prawdą a kłamstwem.

- Wystarczy - przyznał. - Kiedy ją aresztujecie? -zapytał detektywa, który już zbierał się do wyjścia.

- Na razie załatwiamy sprawy papierkowe, gromadzimy dowody, potem zdobędę nakaz. Dzisiaj wieczorem. - Z uśmiechem poklepał Marka po ramieniu. - Niech pan czeka na wieści - rzucił. Minął klatki z kanarkami i podszedł do drzwi.

W kieszeni Marka zadzwonił telefon. Caroline.

- Caroline - zaczął. - Mam dobre wieści.

- Może ja zacznę? Czy chcesz mówić pierwszy?

- Nie, słucham.

Nie przerywał, dopóki nie skończyła.

- Jutro rano wracam do Singapuru - oznajmił. -Znajdę ją, oczywiście. Ale to smutna historia.

- I smutna dziewczynka - usłyszał w słuchawce. Kiedy się rozłączyli, uświadomił sobie, że nie

powiedział jej, że pani Chen będzie aresztowana za

zabójstwo Jamesa. Przez dłuższą chwilę w milczeniu sącył herbatę. Jaka jest w tym wszystkim rola Caroline? Znał odpowiedź. Jak zawsze, musiała posprzątać po Jamesie.

## *Rozdział 66*

MARK, PO POWROCIE DO SINGAPURU, pierwsze kroki skierował do butik, w którym pracowała prawdziwa Melanie Morton, matka Asi. Znajdował się w centrum handlowym Orchard Road. Wieczorem jak zawsze było tu tłoczno.

Rzadko tu bywał i musiał pytać o drogę. Sklep okazał się dość znany i większy, niż przypuszczał. I pełen klientów.

Po tym, jak Caroline opisała dziewczynkę, od razu rozpoznał jej matkę - drobna, ciemnowłosa, o delikatnych rysach i bystrych, czarnych oczach, lekko skośnych.

Podszedł do niej.

- Melanie Morton?

- Tak. - Podniosła głowę.

- Chodzi o pani córkę - zaczął.

Podniosła rękę do serca, wydawała się przerażona, więc zapewnił ją, że małej nic nie jest.

- Obecnie jest pod opieką byłej żony Jamesa -uspokoił ją. - Dowiedzieli się, że Jackie Ferris podszywa się pod panią.

Prawdziwa Melanie Morton ukryła twarz w dłoniach.

- Wiedziałam, że nie powinnam się na to zgadzać, ale Jackie przekonywała, że tak trzeba. Nie mogłam się zdobyć na to, żeby zwrócić się do rodziny Jamesa z prośbą o pomoc. Zawsze będę pracowała dla córki... Ale Jackie mówiła, że Asia ma prawo. Że powinna coś dostać. A ja... cóż, zarobię na nasze utrzymanie, ale to tyle; nie zapewnię jej wykształcenia, a chciałabym, żeby miała w życiu łatwiej niż ja. Ojciec ją kochał. Naprawdę.

- Musimy porozmawiać - zdecydował Mark. - Proszę powiedzieć w sklepie, że idzie pani na przerwę.

Wreszcie pozna prawdę.

O wiele, wiele później, oddzwonił do Caroline i opowiedział o spotkaniu z matką Asi. Uwierzył, gdy mówiła, że jej zdaniem Jackie naprawdę chciała im pomóc. Teraz Melanie wstydziła się, bo wiedziała, że postąpiła niewłaściwie. Nie chciała, żeby Jackie dalej opiekowała się małą, i zaraz prześle faksem upoważnienie dla Caroline.

- Tylko tymczasowe - zaznaczył Mark. - Póki się wszystko nie wyjaśni.

- Wyjaśni? Jak? - Caroline wiedziała tylko, że ma na głowie nieszczęśliwe dziecko, tęskniące za matką. - Oczywiście, że się nią zajmę, ale przecież James nie zostawił żadnych pieniędzy.

- Melanie to porządna kobieta - powiedział Mark. - James niesłusznie wobec niej postąpił - dodał, choć przecież James zawsze taki był; robił, co chciał, nie przejmował się konsekwencjami, aż wreszcie los się na nim zemścił. Ale tu nie chodziło

tylko o Asię. - Jeszcze jedno - przypomniał sobie. -Mało brakowało, a zapomniałbym o Jamesie.

- Doprawdy nie wiem, jak ktokolwiek z nas mógłby o nim zapomnieć, zwłaszcza teraz - mruknęła Caroline.

- Zobaczysz to w telewizji. Wejdź do sieci, tam na pewno już coś jest. Policja z Hongkongu wystawiła nakaz aresztowania Gayle Lee Chen za zabójstwo Jamesa.

- O Boże. Naprawdę uważają, że to zrobiła?

- Detektyw Huang mówi, że mają dowody. I świadka, który zobaczył ją wchodzącą na pokład, słyszał strzał i widział, jak zbiegała z trapu.

- I co, tak nagle, nie wiadomo skąd, znaleźli świadka?

- Caroline, ona to zrobiła, tylko to ich interesuje. Posłuchaj, pani Chen zniknęła. Chiny to wielki kraj, pewnie już nigdy więcej o niej nie usłyszymy.

Przypomniała sobie elegancką, lodowatą piękność w hotelu Peninsula. Platynowe włosy, rubiny na palcach... kobieta marzeń Jamesa.

Przytłoczona nadmiarem wrażeń, oddała słuchawkę matce, poprosiła, żeby porozmawiała z Markiem, który jej wszystko wyjaśni, a sama usiadła na poduszce na murku otaczającym taras od strony rzeki, bo nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa.

- Jak ja to powiem Issy? - zapytała na głos. Usłyszał ją Henry. Nie wiedział do końca, co się

stało, ale mniej więcej się domyślał, słysząc fragmenty rozmowy Cassie z Markiem.

- Znajdziesz sposób - zapewnił. - Jak zawsze.

## Rozdział 67

ASIA OBUDZIŁA SIĘ O ŚWICIE. Odwróciła główkę na boki, popatrzyła na dziewczynki, między którymi leżała. Obie spały, miały zamknięte oczy i lekko rozchylone usta. Trzymały ją za ręce. Uniosła głowę, żeby im się przyjrzeć, i znowu opadła na posłanie. Nie chciała ich budzić, chciała, żeby ta chwila trwała bez końca.

Kiedy Issy w końcu uniosła powieki, napotkała nieruchome spojrzenie Asi.

- Jezu! - sapnęła, zaskoczona. - Co ty robisz?

- Czekam, aż się obudzisz - wyjaśniła mała szczerze. - Jestem głodna.

Issy przypomniała sobie, że poprzedniego dnia nie jadły kolacji. Wyciągnęła rękę, szturchnęła Sam.

- Pobudka - mruknęła. - Asia i ja umieramy z głodu.

Sam powoli wracała do rzeczywistości.

- Co za Asia?

- Ja. - Asia na dobre zaczęła mówić. - Siostra Issy.

- O rany - sapnęła Issy. - Skąd wiesz?

- Tatuś mi mówił.

- James? Twój tatuś?

Asia z powagą skinęła główką.

- I twój.

Issy nie chciała pytać Asi bezpośrednio o jej mamę, ale zaczęła okrężnie:

- Moja mamą jest Caroline.

- A moją Melanie Morton - odparła Asia dumnie.

Sam odnalazła spojrzenie Issy i obie jęknęły głośno.

- Mamusia czeka na mnie w domu, w Singapurze - ciągnęła Asia. - Mówiła, że muszę tu przylecieć z Jackie. Powiedziała, że Jackie będzie jak druga mamusia i mam być grzeczna i nic nie mówić. No to byłam grzeczna i nic nie mówiłam, póki się nie przestraszyłam i przestało mi się podobać.

- Spokojnie - mruknęła Issy. - Chodź, pójdziemy do łazienki, umyjemy ręce, uczeszymy się i zobaczymy, co dalej.

Asia przycupnęła na sedesie, grzecznie złożyła ręczki na kolanach i ufnie patrzyła na Issy stojącą w drzwiach.

- Czy twoja mamusia tu jest? - zapytała.

- Nie. - Issy przypomniała sobie, że Caroline przecież nocuje w szopie.

- Ale moja jest! - zawołała Sam z pokoju. Rozczesywała jasne włosy. - Przygotuje ci śniadanie. Chyba mamy owocowe płatki.

- Nie lubię - stwierdziła Asia. Umyła ręce, a Issy pomogła jej je wytrzeć i pomyślała: A więc to takie uczucie mieć młodszą siostrzyczkę.

Zastały Maggie w kuchni. Przed chwilą skończyła rozmawiać z Caroline i wiedziała wszystko o prawdziwej matce Asi. A także to, że Gayle Lee Chen zastrzeliła Jamesa.

Pocałowała małą w czoło, przekazała jej pozdrowienia od prawdziwej mamy Melanie i oznajmiła, że do powrotu do Singapuru zaopiekuje się nią Caroline.

- Wolałabym, żeby opiekowała się mną Issy -stwierdziła mała poważnie. Maggie się uśmiechnęła.

Tego ranka mała wyglądała inaczej. Oczywiście po wczorajszym płaczu miała czerwone oczy. Maggie chyba jeszcze nigdy nie słyszała takiego ryku. Ale teraz w ciemnych oczach zamiast łez błyszczała radość.

Maggie z dezaprobatą pokręciła głową, patrząc na wygniecioną sukienkę i skarpetki, zwinięte w obwarzanki.

- Nie masz żadnych szortów? Ani koszulki? Dżinsów? - zdziwiła się.

- Mam, w domu. - Asia wygładziła poły sukienki. - Jackie mi to kupiła. Nie podoba ci się?

- To sukienka wizytowa. - Issy usiadła za stołem. Sam wrzuciła grzanki do tosterka, Maggie sięgnęła po sok. - Nie lubi owocowych płatków.

- To dostanie ryżowe. - Maggie postawiła na stole miskę i poszła do lodówki po mleko.

Asia spojrzała spod oka na karton płatków i na Issy.

- Tych też nie lubię - szepnęła.

- No cóż, mamy tylko takie. - Issy nasypała płatków do miseczki i zalała je mlekiem.

Sam udało się nie przypalić czterech grzanek. Postawiła na stole talerz z pieczywem i poszła po swój ulubiony dżem truskawkowy. Posmarowała grzankę, nałożyła dżem i położyła na talerzyku Asi, koło miseczki z płatkami. Maggie nalała jej soku i wszystkie trzy patrzyły, jak mała zajada z apetytem.

Asia w pięć minut uporała się ze śniadaniem, wypła sok i spojrzała na nie wyczekująco.

- I co teraz? - zapytała.

- Pysznic - zdecydowała Issy. - No, chodź. - Rola starszej siostry wchodziła jej w krew.

Maggie pojechała do Burford i kupiła malutką koszulkę z napisem „Cotswolds” z przodu i uśmiechniętą owcą na plecach. Do tego bawełniane szorty i klapki - oby były dobre. Przynajmniej teraz mała będzie wyglądała normalnie, a nie jak uciekinierka z królewskiej gali.

Zadzwoiła komórka Issy. To matka, z pytaniem, jak się czuje.

- Dobrze - zapewniła. - Asia też, zjadła śniadanie, a teraz się kąpie. Poproszę Maggie, żeby nas przywiozła.

- Nie! - krzyknęła Caroline ostro. - Nie, nie przywoź jej. Najpierw chciałabym porozmawiać z tobą w cztery oczy. Maggie cię podrzuci i pogadamy.

- O czym? - Issy była ciekawa, co jeszcze mogło się spieprzyć.

- Och... dowiesz się na miejscu - ucięła Caroline. - I jeszcze jedno: dziękuję, że wczoraj zajęłaś się Asią. Miałaś rację, nie powinna była tego wszystkiego słuchać.

- Asia jest spoko, mamó. To miły dzieciak.

- Cieszę się, że tak mówisz. - Caroline była w szoku. - Więc do zobaczenia wkrótce?

- Jasne. - Issy nadal nie pojmowała, czemu nie może przyjechać z Asią, przecież w pubie nadal jest ta cała Jackie, śpi w starym pokoju Caroline. Tego ranka nikt jej jeszcze nie widział i Issy miała nadzieję, że uda jej się wyjść bez spotkania z nią.



## Rozdział 68

KONIEC KOŃCÓW TO JESUS ZAWIÓZŁ ISSY DO SZOPY; Maggie postanowiła zostać z Asią i Sam, zobaczyć, co zrobi Jackie, kiedy wreszcie się pojawi. Dochodziło południe, a jej nie było widać. Asia jednak wcale się tym nie martwiła, powiedziała tylko, że jej prawdziwa mama nigdy nie śpi tak długo, bo przed pracą musi ją odwieźć do przedszkola.

Sam zaproponowała, że zabierze ją na spacer, i oddaliły się uliczką. Asia człapała za dużymi klapkami, podskakując u boku Sam.

- A będą lody? - zapytała. Sam zapewniła, że oczywiście.

Maggie uznała, że czas obudzić Jackie. Zapukała do drzwi jej pokoju. Nikt nie odpowiadał. Zapukała jeszcze raz, głośniej, a gdy nadal nie było reakcji, weszła do środka. Zaciągnięte zasłony, nietknięte łóżko... nigdzie nie widziała walizki Jackie. Zbiegła na parter, wyszła przed pub, bo tam zazwyczaj stał wynajęty samochód Jackie. Oczywiście nie było po nim śladu.

Od razu zadzwoniła do Jesusa, który akurat dojeżdżał do szopy.

- Dobrze - skwitował. - Przynajmniej oszczędziła nam zachodu i nie musimy jej wyrzucać.

Był piękny poranek, Caroline siedziała z rodzicami na tarasie i rozkoszowała się ciepłymi promieniami słońca. Henry czytał „Telegraph”, a Cassandrą dolewała sobie kawy z ekspresu i rozmyślała, że

Caroline powinna kupić sobie taki nowoczesny ekspres, w którym wsadzasz do środka kapsułkę i po chwili masz pyszną, idealną kawę z puszystą pianką. Sama miała taki w domu i do tego stopnia lubiła taką kawę, że często pozwalała sobie na drugą filiżankę. Musi albo przejść na kawę bezkofeinową, albo pożegnać się z przespanymi nocami. Westchnęła. Cóż, to już nie te lata, żeby przetańczyć całą noc, ale teraz może przynajmniej popląsać wieczorami. Czule spojrzała na Henry'ego, który jak co rano drzemał nad gazetą. Kochała go od lat i marzyła, że córka zazna takiej miłości, że ktoś będzie jej zawsze towarzyszył w niełatwej drodze przez życie.

Caroline założyła okulary przeciwsłoneczne i obserwowała, jak rzeka toczy się leniwie, obmywa kamienie, pieni się od niechcenia. Zastanawiała się, jak powiedzieć córce, że jej ojciec został zamordowany. I kto to zrobił. To nie fair. Świadomość, że ojciec nie żyje, to jedno, co innego przyjąć do wiadomości, że zginął z własnej ręki, a potem dowiedzieć się, że padł ofiarą morderstwa... to trudne nie tylko dla Issy; także dla niej, dla Caroline. Cały czas myślała o ostatnich chwilach jego życia, o tym, co czuł, co myślał. Miała nadzieję, że nie cierpiał. Wiedziała jedno: nie zasłużył na taki koniec. Bo James nigdy nie był zły.

- Wszystko będzie dobrze, Issy zrozumie. - Cassandra obserwowała ją uważnie i wiedziała, co chodzi jej po głowie. - Od początku była o tym przekonana, pamiętasz?

- Tak, kiedy się dowiedziała, że tata nie żyje, powiedziała: „Został zamordowany”.

Cassandra skinęła głową. Dostrzegła w oddali furgonetkę Jesusa.

- Jedzie Issy. Zostawimy was same. - Szturchnęła męża, który uniósł powieki. - Czas na nas, Henry -ponagliła. Wstał posłusznie.

- Powodzenia, skarbie - zwrócił się do Caroline. - Wołaj, gdybyś nas potrzebowała.

Issy wysiadła z furgonetki, pomachała Jesusowi na pożegnanie i przez chwilę stała przy drzwiach wejściowych. Wspominała pierwszy raz, gdy znalazły się tu z mamą, w potokach deszczu, pod szyldem „Bar, grill i tańce”, jakby wyjętym z amerykańskiego filmu i zawieszonym tu, w małej angielskiej wsi. Szyld wisiał nadal. Wyblakły kawałek drewna zainspirował matkę do snucia planów, w których, jak zdecydowała Issy, nie będzie dla niej miejsca.

A teraz patrzyła na budowlę z miodowego kamienia, którą oceniał wielki kasztanowiec, na lśniące okna, kwiaty przy podjeździe, i po raz pierwszy musiała przyznać, że tamtej deszczowej nocy to nie mama bardzo się pomyliła, tylko ona. Nie wiedziała jeszcze, jak to będzie z restauracją, ale widać, że teraz był tu prawdziwy dom. Mama dokonała cudu.

Issy nadal stała, podziwiając widok, gdy usłyszała chrzęst żwiru pod stopami Caroline.

- Jak tu pięknie - powiedziała. - Mam wrażenie, że widzę to wszystko po raz pierwszy, a ty dostrzegłaś to od samego początku.

- Teraz to naprawdę dom. - Caroline wzięła Issy pod rękę i razem wyszły na taras.

- Wiem o Asi - zaczęła Isabel. - Ale chodzi o coś więcej, prawda? - Przysiadła na żółto-niebieskiej

poduszce na murku. Właściwie nie chciała słyszeć odpowiedzi matki. Odwróciła się, cisnęła kamyk do rzeki, widziała, jak kaczki popłynęły w tamtą stronę, przekonane, że to coś do jedzenia. Też mają restaurację, pomyślała. Chciałaby się uśmiechnąć, ale wiedziała, że to poważna sprawa. Czuła to. - Pewnie chodzi o tatę - mruknęła. - O Asię też?

- Nie, skarbie. Chciałam ci powiedzieć, że miałaś rację. Twój ojciec nie popełnił samobójstwa.

Issy wyprostowała się gwałtownie. Dzięki ci Boże, dzięki, dzięki, dzięki...

- Idę o zakład, że zgadnę, kto to zrobił - odezwała się po chwili. - Ta blond Chinka.

Caroline skinęła głową.

- Wiem od Marka, że policja jej poszukuje. Musiałam cię o tym powiadomić, zanim przeczytasz o tym w Internecie albo usłyszysz w telewizji. Przykro mi, kochanie. Wiem, że bardzo ci ciężko.

- Tobie też. - Issy uklękła przy matce, położyła głowę na jej kolanach, poczuła jej dłoń we włosach. Słuchała szumu rzeki, cykania świerszczy, cichego plusku wody... i poczuła, jak ogarnia ją spokój.

- Tak jest dobrze, mamó - szepnęła. - Dobrze, że w końcu znamy prawdę.

## *Rozdział 69*

NASTĘPNEGO RANKA CAROLINE OBUDZIŁA SIĘ PÓŹNO. Z kuchni dobiegały odgłosy przestawianych naczyń

i smakowite zapachy - znak, że Cassandra wzięła się do roboty.

Caroline przeciągnęła się leniwie. Przez uchylone okno wpadała letnia bryza, niosąc zapach siana i krów. Jej krów, jak przywykła myśleć, jej czekoladowych pięknych krów o wielkich, smutnych oczach. Mają takie piękne długie rzęsy. I zostawiają za sobą ogromne krowie placki - nauczyła się już, że to oznaka dobrego żywienia, a zatem i dobrego mleka. Co wieczór rolnik i jego pies zganiali je z pastwiska. Pies, czarno-biały border collie, w niczym nie przypominał Frisky'ego, psa starego Rice'a, który co wieczór przesiadywał w pubie u stóp swego pana i ani drgnął, chyba że w pobliżu pojawiło się jedzenie. Ten pies ciężko pracował i robił to z przyjemnością. Caroline nauczyła się też, że trzeba unikać drogi dojazdowej w porze dojenia, jeśli nie chce utknąć za stadem powolnych krów na dobre dziesięć minut.

Z łóżka wyciągnął ją zapach smażonego bekonu. Wstała, narzuciła stary, sprany szlafrok. Najwyższy czas kupić nowy, bo ten nie dość, że był sprany i stary, to jeszcze w wielu miejscach wytarty niemal na wylot. Cassandra nie będzie zadowolona.

Weszła pod prysznic, umyła się błyskawicznie, wyskoczyła spod strumienia wody, wytarła się i włożyła czystą bieliznę (ostatnią parę, trzeba dzisiaj zrobić pranie). Wcisnęła się w słynny obcisły żółty sweterek i czarne spodnie do jogi, którą zawsze chciała ćwiczyć, ale nigdy nawet nie spróbowała, przeczesła włosy szczotką, wsunęła kosmyki za uszy, założyła okulary i pobiegła do kuchni na śniadanie.

Uśmiechnięta od ucha do ucha zatrzymała się w drzwiach.

- Dzień dobry, mamó! - zawołała. Pocałowała rodziców w policzki.

Henry postawił na stole koszyczek z rogalikami, które godzinę wcześniej kupił w piekarni Wrightów. Wyjął z lodówki francuskie masło i dżem, Cassandra tymczasem układała na talerzach smażony bekon tak kruchy, że rozpadał się przy najmniejszym dotknięciu, bo wiedziała, że właśnie taki jej rodzina lubi najbardziej. Potem przyszła kolej na jajka, usmażone na tłuszczu z bekonu.

- Może smażonego chlebka? - zapytała. Caroline jęknęła głośno.

- Boże, mamó, to cudowne! Dzięki ci, Boże!

- Wydaje mi się, że możemy dziękować Bogu za znacznie więcej niż tylko starą matkę - zauważyła Cassandra, która bynajmniej nie wyglądała staro w dzinsach i niebieskiej koszuli z cieniutkim złotym paskiem.

- Chodzi ci o Asię? - domyślił się Henry. - Mamy mu dziękować za to, że ta sprawa się wyjaśniła?

- Jeszcze nie do końca - zauważyła Caroline. - Muszę ją odwieźć do domu.

- Nie przejmuj się. - Henry starł z podbródka odrobinę żółtka. - Myją odwieziemy.

- Co? Nie, to niemożliwe. James chciałby, żebym zaopiekowała się jego córką.

- Ależ to robisz - odparła Cassandra. - Issy, zapomniałaś już?

Caroline zmarszczyła brwi. Czyżby w tym całym zamieszaniu ignorowała uczucia własnej córki? Is-

sy była bardzo opiekuńcza wobec małej, ocierała jej łzy, ba, pozwoliła jej nawet potrzymać ukochanego kociaka. Przyznała matce, że rola starszej siostry okazała się całkiem łatwa i bardzo jej się spodobała. W pewnym sensie, zauważyła Caroline, dzięki Asi Issy chyba wybaczyła Jamesowi. Nie może pozwolić, by jej rodzice odwozili Asię do domu. Sama musi to zrobić. To jej obowiązek.

Nałożyła jajko na grzanekę, przykryła paskiem bekonu, przekroiła na pół, złożyła dwie kromki i z rozkoszą wbiła zęby w kanapkę.

- Pycha - powiedziała z pełnymi ustami. - Mamo, uwielbiam twoje śniadania. Powinniśmy je serwować w restauracji, ludzie zjeżdżaliby się z całego hrabstwa na twoje omlety i jajecznice.

- Dzięki. - Cassandra posmarowała rogalik dżemem brzoskwinowym i zauważyła niewinnie: - Nie zapomniałaś o czymś?

Caroline znieruchomiała.

- O czym?

- Najpierw przełknij, a potem mów. Niczego cię nie nauczyłam?

Caroline uśmiechnęła się, bo nagle poczuła się jak mała dziewczynka.

- Przepraszam - mruknęła. - Ale to jest takie pyszne.

- Zachowujemy się jak prosiaki - przyznał Henry, wycierając talerz chlebem, a potem przypomniał sobie, skąd się bierze bekon i mruknął: - Oj, przepraszam, może nie jak prosiaki, nie skojarzyłem...

Caroline roześmiała się, póki nie dotarło do niej, co przed chwilą powiedziała Cassandra.

- O Boże! Jak mogłam zapomnieć o urodzinach własnej córki?

- Też się nad tym zastanawiałam. - Cassandra dołała sobie kawy, wyszła na chwilę i wróciła z kolorową paczką przewiazaną pomarańczową wstążką, za którą zatknięto kartkę z życzeniami. - Czarna sukienka, taka sama jak ta czerwona - wyjaśniła Caroline. - Mam nadzieję, że przynajmniej pamiętałaś

o prezencie - dodała. Wcale nie była pewna, czy Caroline miała głowę do prezentów w całym zamieszaniu ostatnich dni.

- Tak. - Caroline pomyślała o podarunku dla córki, który czekał na górze, w jej pokoju. Musi go jeszcze tylko zapakować. A może lepiej nie, pomyślała, może wręczy go tak, jak jest. To będzie bardziej znaczące, bardziej symboliczne.

- A co zrobimy z przyjęciem? - zapytał Henry, bo według niego urodziny bez przyjęcia się nie liczą.

- Też o tym myślałem - odezwał się Jim od drzwi. Zapukał we framugę. - Przepraszam, może przeszkadzam?

- Cóż, nie załapałeś się na jajecznicę - stwierdziła Cassandra z uśmiechem. Co prawda trochę za młody dla Caroline, ale podobało jej się, z jaką troską

i bezpośredniością odnosi się do jej córki. - Ale mamy kawę i rogaliki.

- Ale nie ekierki - dodała Caroline.

Jim usiadł koło niej. Cassandra podsunęła mu koszyczek z rogalikami, Henry - masło i dżem.

- Wystarczy dżem, dzięki - powiedział. - Mm, pycha, brzoskwinowy - mruknął.

Cassandra się uśmiechnęła, to także jej ulubiony smak.

Nalała mu kawy i nastawiała ekspres, żeby zaparzyć świeżą porcję.

- Koniecznie musisz sobie sprawić taki włoski ekspres - zwróciła się do córki, ale ta jej nie słuchała.



Obserwowała, jak Jim smaruje rogalika dżemem, szybko, precyzyjnie - pewnie z tą samą pewnością szlifuje kawałek drewna. Miał bardzo długie palce. Drobne ciemne włoski na grzbiecie dłoni stawały się coraz gęstsze na jego szczupłych, ale silnych ramionach; była ciekawa, czy porastają też inne części jego ciała. Zaraz jednak odepchnęła tę myśl od siebie. Nieprzyzwoite myśli przy śniadaniu? Roześmiała się na głos.

- Co cię tak bawi? - Jim spojrzał na nią ciekawie.

- Zastanawiam się nad słowem „nieprzyzwoity”. Chyba czasami używam go w niewłaściwym kontekście - odparła spokojnie, przekonana, że i tak się nie domyśli, co jej chodziło po głowie.

- Słowo „pożądliwy” byłoby bardziej na miejscu - odparł tak cicho, żeby tylko ona go słyszała. Taki miał zamiar.

- Pożądliwy to bardzo niefortunne słowo - wtrąciła się Cassandra. Czyli słyszała. Stała przy kuchennym blacie, tyłem do nich. Wymienili zdumione spojrzenia.

- Cóż, w tej chwili chodzi mi po głowie słowo „ impreza” - stwierdził Jim, pochłonał rogalika i poprosił o dolewkę kawy. - Chciałem powiedzieć, że moja pracownia jest do waszej dyspozycji, za darmo. Znam chłopaka, który sobie dorabia jako didżej,

moja siostra ma kolorowe lampki, ja załatwię balony z helem. Maggie i Caroline zajmą się przekąskami.

- Ja też. - Cassandra podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu. - Zróbmy to - zaproponowała radośnie.

- A co będą pić? - zaniepokoił się Henry. - Pamiętajcie, to jeszcze dzieci, Issy kończy szesnaście lat, nie dwadzieścia jeden.

- Poncz - odparła Cassandra.

Issy zaniepokoiła się, jakim cudem zaproszą gości w ostatniej chwili, ale Jim miał gotową odpowiedź:

- Młodzież teraz tak funkcjonuje, liczy się tu i teraz. Poza tym w sobotnią noc chętnie wybiorą się na imprezę.

- Musimy powiadomić Issy - stwierdziła. - Mam jej coś jeszcze do powiedzenia. Postanowiłam, że osobiście odwiozę Asię do Singapuru. I chcę, żeby Issy poleciała ze mną.

Zapadła długa cisza. Wszyscy analizowali jej słowa. W końcu odezwała się Cassandra:

- Oczywiście masz rację. Na razie to ty odpowiadasz za dziecko Jamesa. A Issy to jej siostra przyrodnia. Asia nie ma nikogo innego.

- To słuszna decyzja - pochwalił Henry.

- Będę tęsknił - oznajmił Jim, patrząc Caroline prosto w oczy.

Cieszyła się, że jednak nie wystąpiła tego ranka w starym szlafroku. Była też ciekawa, jak Issy zareaguje na jej plan. Najpierw jednak wręczy jej prezent urodzinowy.

## Rozdział 70

ZADZWONIŁ TELEFON CAROLINE. ISSY.

- Mamo? Chyba nie zapomniałaś?

- Skądże. - Caroline skrzyżowała palce za plecami i komicznie przewróciła oczami, patrząc na Cassandrę. Drobne kłamstewka bardzo poprawiają humor. - Po prostu mamy tutaj małe urwanie głowy, ale w tej chwili zaśpiewam ci *Sto lat*.

I zrobiła to, a pozostali jej zawtórowali. Issy roześmiała się, a Caroline po raz kolejny tego ranka podziękowała Bogu.

- Bo widzisz, właśnie rozmawialiśmy o przyjęciu - zaczęła.

- Co? Jakim przyjęciem? - Issy, która siedziała w kuchni w pubie, zmarszczyła brwi i spojrzała na Sam. Przyjaciółka stała obok niej z małą Asią. Dziewczynka tuliła do piersi Ślepą Brendę, której to się nie podobało. Wrywała się z jej objęć i przy okazji drapnęła ją pazurkiem.

- Au!-jęknęła Asia.

- To nie wina Brendy - tłumaczyła Sam. - Wzięłaś ją na ręce, choć tego nie chciała. - Mała jęczała i marudziła, ale Sam przekonywała ją, żeby nie zachowywała się jak mała dzidzia, więc Asia się uciszyła i słuchała, co mówi Issy.

- Przyjęcie! - pisnęła. Sam zawtórowała jej radośnie.

Issy uśmiechała się od ucha do ucha, triumfalnie uniosła kciuk.

- Oczywiście - mówiła do telefonu. - O siódmej w stajni Thompsonów... tak, wiem, w pracowni. Muszę teraz podzwonić, później dam ci znać, ile będzie osób.

- Musimy porozmawiać - uznała mama. - Za pół godziny po ciebie przyjadę.

- Muszę podzwonić...

- To ważne.

Issy zgodziła się, słysząc powagę w głosie mamy.

- O rany! - sapnęła i przybiła piątkę z Sam i z Asią, żeby mała nie poczuła się wykluczona. - Będzie impreza!

- A ja mogę przyjść? - zapytała Asia.

- Oczywiście. Ty i wszyscy inni. Sam, dzwoń do twoich znajomych, ja do moich. Do wszystkich, oprócz Lysandra.

- A kto to jest? - Asia ciągle o coś pytała.

- Na pewno nie chciałyś go poznać - mruknęła Sam i zaczęła wystukiwać numer. Prędko, zanim wróci mama.

Issy drgnęła, kiedy Asia dźgnęła ją w bok.

- A ja mam ładną sukienkę - oznajmiła mała z uśmiechem.

- Nie wątpię. - Issy też się uśmiechała.

Caroline naradzała się z Maggie przez telefon. Poprosiła, żeby ściągnęła do pomocy Sarah i Lily, jeśli to możliwe. Maggie zaproponowała, że wyśle Jesusa na rynek po kilkanaście kurczaków z różną, a sama przygotuje ostre tacos, tak koło setki. Caroline miała zrobić sałatkę kartoflaną.

- Pamiętaj - mówiła Caroline - nastoletni chłopcy zjedzą wszystko, co im podsuniesz, dziewczyny będą udawały, że nie są głodne, ale kiedy tylko chłopcy się oddalą, pochłoną wszystko, co zostawią chłopcy. Zrobię też hot dogi - dodała. - I hamburgery. I zadzwonię do Wrightów, zamówię ciastka i tort.

- I lody - podsunęła Maggie.

- Czekoladowe czy waniliowe?

Maggie zapytała dziewczynki. Jedne i drugie, usłyszała.

Caroline powiedziała, że napojami zajmie się Cassandra - przygotuje poncz, oczywiście bezalkoholowy, ale i tak trzeba będzie sprawdzać plecaki wchodzących chłopców.

- Nastolatkom nie można ufać - stwierdziła. - Tak przynajmniej słyszałam. A Jim zajął się didżejem i dekoracjami.

Dziewczynki pisnęły głośno z radości, gdy przekazała im tę informację.

- Wam zostało już tylko jedno - stwierdziła, gdy odłożyła słuchawkę i spojrzała na rozczochrane dziewczyny. - Musicie umyć włosy i zdecydować, w co się ubrać.

- A prezenty? - Sam nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła wręczyć Issy swój podarunek.

- Później - zdecydowała Maggie, lecz Issy już zdierała niebieską folię z paczuszki od Sam.

- Cudowna! - Asia zaglądała jej przez ramię, gdy wyjęła z paczuszki czarną koszulkę. - Super na dzisiaj! Do džinsów.

Maggie westchnęła i z nostalgią pomyślała o czasach, gdy szesnastolatki na imprezy wkładały sukienki.

- Do tego obcasy - dorzuciła Sam. Issy się rozpromieniła.

- Racja.

Maggie zdecydowała wtedy, że równie dobrze i ona może wręczyć jej prezent.

- Od Jesusa i ode mnie - oznajmiła.

Były to kolczyki, złote koła, nie za duże, nie za małe.

- W sam raz - zapewniła Issy i ucałowała ją serdecznie. - Kocham cię, Maggie - szepnęła.

- A ja nie mam dla ciebie żadnego prezentu - stwierdziła Asia z powagą. W jej oczach zalśnił smutek.

- Ty jesteś moim prezentem. Moją nową siostrzyczką - zapewniła Issy, a potem, gdy poczuła, że zaraz się rozklei, żartobliwie szturchnęła Asię w bok, miała odpowiedziała tym samym i zaraz ze śmiechem zaczęły ganiać się po schodach.

## *Rozdział 71*

CAROLINE PRZYJECHAŁA PO ISSY, która wskoczyła na przednie siedzenie land-rovera i cmoknęła matkę w policzek.

- Coś takiego! Szesnaście lat! - stwierdziła Caroline, wrzuciła odpowiedni bieg i pojechała główną ulicą. Odruchowo sprawdziła, czy Issy zapięła pas.

- Wyobrażałaś sobie coś takiego? No wiesz, kiedy się urodziłam? Albo kiedy byłam mała, jak Asia?

- Skądże. Nikt sobie nie wyobraża własnego dziecka jako dorosłej osoby. Wydaje się, że to bardzo odległe, że po drodze są jeszcze szkoły, podróże, kłopoty... i tyle innych przyjęć urodzinowych.

Poczuła dłoń Issy na swojej. Uśmiechnęła się do córki.

- Mamo, dzięki za imprezę.

- To był pomysł Jima. Cóż, właściwie dziadka, ale Jim wszystko zorganizował i zaproponował, że urządzimy tę imprezę w jego pracowni. Jeszcze jej nie widziałaś, ale jest tam sporo miejsca, wystarczająco...

- Na ile osób? - Issy wiedziała, że w sobotnią noc wszyscy chętnie wybiorą się na imprezę.

- No, nie wiem, czterdzieści?

- Mamo!

- Czterdzieści to naprawdę sporo. I uprzedzam, na wypadek gdyby to ci chodziło po głowie, że sto to zdecydowanie za dużo.

- No, tak z pięćdziesiąt. - Issy ustąpiła, choć wiedziała, że przyjdą też niezaproszeni goście, którzy dowiedzą się o imprezie od innych. - A właściwie dokąd jedziemy?

- Na spacer. - Wyjechały z wioski, zatrzymały się przy małym zagajniku, przy ścieżce prowadzącej do lasu. Wsiadły i przez dłuższą chwilę szły w przyjaznym milczeniu.

W końcu Issy przerwała ciszę:

- Posłuchaj, wiem, że chodzi o tatę, czuję, że znowu o nim myślisz.

Caroline zatrzymała się i spojrzała na nią.

- To prawda. Odwiozę Asię do domu i chciałabym, żebyś mi towarzyszyła.

- Mamo! - Issy wpatrywała się w nią ze strachem. - Jak mogę tam wrócić? A ty?

- Asia jest dzieckiem twojego ojca. Jesteśmy za nią odpowiedzialne. To twoja przyrodnia siostra, nie zapominaj. Pomyśl o niej. Nie ma na świecie nikogo, podobnie jak jej mama. James, który chyba naprawdę je kochał, nie żyje.

- Skąd wiesz, że ją kochał? - Issy pogodziła się z myślą, że ona i Asia mają tego samego ojca, ale powrót do Singapuru, do domu, i spotkanie z kobietą, dla której zostawił mamę... nie, to niewłaściwe.

- Wiem, o czym myślisz - przyznała Caroline. -I naprawdę długo się nad tym zastanawiałam, ale powiedz mi, Issy, co innego możemy zrobić?

Issy zwiesiła ramiona.

- Kiedy to wszystko się skończy?

- Nigdy - ucięła Caroline. - Wylatujemy pojutrze. Dziadek zarezerwował bilety. A przy okazji... -dodała, zmieniając temat. - Mam dla ciebie prezent.

Wyjęła z kieszeni jedwabną chusteczkę i podała jej.

Issy poznała ją - należała do ojca. Była ciekawa, skąd Caroline ją wzięła, ale przypomniała sobie, że Mark przysłał im rzeczy osobiste Jamesa. Myślała, że mama nawet do nich nie zajrzała, ale najwyraźniej się myliła. Rozwinęła ją i ujrzała sygnet ojca.

Zawsze go nosił. W jej wspomnieniach zawsze miał go na palcu... aż do śmierci. Powróciły wspomnienia, aż wydawało się, że jest tutaj, z nią.



- Pomyślałam, że tata chciałby, żebyś go miała -wyjaśniła Caroline, gdy Issy zaczęła płakać. Objęła ją. - Chciałby, żebyś go nosiła. Na pewno.

- Tak, będę go nosiła - szepnęła Issy. - A płaczę, bo mi się przypomniał. - Przymierzyła sygnet, zsuwał się i z małego palca, i z serdecznego, ale na tym przynajmniej się trzymał.

- Zmniejszymy go - przyrzekła Caroline, ciągle niepewna, czy postępuje właściwie.

- Później - mruknęła Issy. - I wtedy już nigdy go nie zdejmę. Czuję się, jakby tata osobiście złożył mi życzenia. Dziękuję, bardzo dziękuję. - Serdecznie uściskała matkę, bo wiedziała, że Caroline pograżyła się w tych samych wspomnieniach.

## *Rozdział 72*

IMPREZA ZACZYNAŁA SIĘ O SIÓDMEJ WIECZOREM. Maggie i Jesus zjawili się furgonetką pod pracownią Jima w tej samej chwili, co Caroline z rodzicami. Jim już stał w drzwiach. Przesunął meble pod ściany, część nawet wyniósł, tak że na gości czekała wielka, pusta przestrzeń. Wywoskowaną drewnianą posadzkę, marzenie każdego tancerza, otaczały wynajęte stoliki i krzesła.

Następnie przyjechał Georgki w towarzystwie Sarah i Lily, które zaraz zabrały się do pracy - nakrywały stoły papierowymi obrusami w biało-czerwoną kratkę. Didżej ustawiał sprzęt, Jim tymczasem

instalował oświetlenie, które mrugało i co chwila oślepiało Jesusa.

- Stroboskopy - wyjaśnił Jim. - Podobno są we wszystkich klubach.

Maggie i Caroline zajęły się poczęstunkiem. Urządziły bufet pod najdalszą ścianą, rozkładały plastikowe kubeczki i papierowe talerzyki. Cassandra kosztowała poncz i dorzucała cząstki cytryny. Obok postawiła miskę oliwek, dzięki którym napój będzie wyglądał poważniej, i gałązki mięty.

- Będzie im się wydawało, że sączą mojito - powiedziała do córki. Caroline w to nie wierzyła, ale tylko uśmiechnęła się pod nosem.

Lily postanowiła udekorować stoliki kwiatami nasturcji w małych wazonikach - świetny pomysł, nie zauważyła jednak, że na kwiatkach nadal siedzą zielone gąsienice, bo nasturcje to ich ulubione pożywienie, i teraz zielone robaczki rozpełzły się po stołach.

Lód był pod ręką, oświetlenie działało, didżej był gotowy, jedzenie pachniało smakowicie.

Mieli akurat dość czasu, żeby się przebrać.

Issy wystąpiła w czarnej sukience od babci, wręcz nieprzyzwoicie obcisłej, i czarnych koturnach kupionych na imprezę u Lysandra. Ciemne włosy upięła w kok za pomocą spinki Caroline. W jej uszach kołysały się, ma się rozumieć, kolczyki od Maggie i Jesusa, na palcu miała złoty sygnet ojca. Według Caroline wyglądała na co najmniej dwadzieścia lat.

Sam miała na sobie obcisłą, oczywiście, czerwoną bluzeczkę, dzinsy rurki i czerwone koturny, któ-

rych Maggie nigdy u niej nie widziała, a które dodawały jej z dziesięć centymetrów wzrostu. Jasne włosy spływały gładko na ramiona. Obie dziewczyny umalowały oczy i musnęły usta różowym błyszczkiem.

Asia paradowała w kolejnej eleganckiej kreacji - tym razem białej w czerwone groszki. Bóg jeden wie, gdzie Melanie chciała z nią chodzić, zastanawiała się Caroline, ale właściwie dobrze wyszło, bo w końcu Asia znalazła się na prawdziwym przyjęciu. Mała odmówiła jednak włożenia skarpetek i bucików, więc biegła w za dużych klapkach od Maggie.

Dorośli nie wysilali się, mieli na sobie to, co zwykle, choć według Caroline Jim wyglądał zabójczo w dżinsach opadających nisko na wąskich biodrach, ze skórzanym pasem ze srebrną sprzączką i w kowbojskiej koszuli. Nie poszedł jednak na całość i zamiast kowbojskich butów włożył zwykłe mokasyny.

Mały Billy został u koleżanki Sarah, która jak zwykle zjawiała się w białej koszulce i dżinsach - po pierwsze, nie miała innych ciuchów, po drugie, przyszła przecież do pracy. Lily tymczasem zachwycała białą mini (tak krótką, powiedziała Cassandra do Caroline, że ledwie zakrywała jej pośladki), czarną bluzeczką i pantoflami na obcasach. Ciemne włosy ani drgnęły, tak mocno spryskała je lakierem. Jej oczy znikły za okularami przeciwsłonecznymi.

- Jezu - mruknął Jesus. - Nie poznałbym cię.

Byli gotowi, gdy zjawiała się pierwsza furgonetka. Didżej zaczął grać, światła pulsowały, jedzenie pachniało smakowicie, goście wyglądali wspaniale, Asia siedziała na podeście koło didżeja.

Godzinę później impreza rozkręciła się na dobre. Maggie i Jesus, Cassandra i Henry pożegnali się szybko, zostali tylko Caroline i Jim.

- Zatańczymy? - Jim wyciągnął do niej rękę, ale z uśmiechem pokręciła głową.

- Nie, nie, nie mogę, nie teraz...

- Owszem, możesz. - I ani się obejrzała, zapomniała na chwilę, że ona ma lat trzydzieści osiem, a Jim dwadzieścia siedem. Przynajmniej raz w życiu dała się ponieść chwili.

Issy obserwowała ją kątem oka. Szturchnęła Sam w bok.

- Spójrz na mamę - szepnęła. - Jest jeszcze całkiem młoda.

Na dworze rozległ się warkot silnika, hamował motocykl.

- Harley - orzekła Issy. - Znam ten odgłos.

- Jak to? - zapytała Sam, ale Issy już ciągnęła ją do drzwi, zaintrygowana.

Młody mężczyzna na motorze miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, džinsy, okulary przeciwsłoneczne. Zsiadł z motocykla, zdjął kask. Nażelowane włosy sterczały niesfornie.

Obie dziewczyny wpatrywały się w niego z zachwytem: taki dorosły, taki inny, taki seksowny!

- Kto to jest? - rzuciła szeptem Sam.

- Nie wiem — sapnęła Issy. — Ale to nieważne. Jest boski. Skąd się tu wziął?

Harleyowiec, który dowiedział się o imprezie i postanowił na nią wpaść, omiótł je wzrokiem, ponownie założył kask, wskoczył na motor i odjechał. Mimo obcasów i makijażu uznał, że są za młode.

- Jaka szkoda. - Issy westchnęła.
- Ale Sam złapała ją za rękę i pociągnęła do środka.
- Chodźmy już, bo jeszcze coś nas ominie - powiedziała.

### *Rozdział 73*

KILKA GODZIN PÓŹNIEJ, W MDŁYM ŚWIETLE przygaszonych świateł, przy ogłuszającej muzyce, Issy stwierdziła, że straszna z niej flirciara i że bardzo podoba jej się chłopak, z którym tańczyła. Bo niby dlaczego nie? Był wysoki, dzinsy rurki opinały, jak jej się zdawało, bardzo kształtne pośladki. A do tego miał jasne włosy, opadały mu na piwne oczy, którymi cały czas się w nią wpatrywał, nawet kiedy tańczyli. Właściwie w ogóle nie spuszczał jej z oka.

Nie znała go wcześniej, ale wiedziała - bo pytała - że ma na imię Alex, i dowiedziała się od znajomych, że szaleją za nim wszystkie dziewczyny. No cóż, nie ona. Ona się w to nie bawi. Owszem, jest słodki, ale w ogóle się nie uśmiechał, ani razu, choć tańczyli już od dziesięciu minut.

Jakby wyczuł, o czym myśli, zatrzymał się i spojrzał na nią tak naprawdę. Wydawało jej się, że chce jej coś powiedzieć, i oczywiście domyślała się, co to takiego. Nie była aż taka niewinna, wiedziała, kiedy chłopak ją podrywa. Co więcej, wiedziała też, że sama tego chce.

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Przeciskali się przez roztańczony tłum, minęli bar, ze stojącymi

na nim pustymi kubkami po ponczu, stolik, za którym stała Sarah i wydawała jedzenie. Dostrzegła drzwi obok stołu. Alex otworzył je. Poszła za nim.

Sarah widziała, jak zamykają się za nimi drzwi, i rozważała, czy nie pobiec za nimi, uznała jednak, że jak impreza to impreza i wszyscy mogą się dobrze bawić. Przecież nie co dzień kończy się szesnaście lat. Czasami jednak chciałyby cofnąć czas i znowu być nastolatką. Zacząć wszystko od nowa. No tak, ale to oznaczałoby, że nie miałyby Małego Billy'ego, a bez niego jej życie po prostu nie byłoby pełne.

Dolała ponczu do wielkiej misy. Usiłowała podnieść z jej dna plasterki limonek, ale nie chciały pływać po powierzchni i smętnie opadały na dno.

Dobrze, że nie ma alkoholu, pomyślała, ale i tak rozejrzała się bacznie. Podejrzewała, że chłopcy przynieśli piwo. Słyszała brzęk puszek, a nie sądziła, by taszczyli dietetyczną colę.

Wróciła za zaimprovizowany bufet i rozglądała się w poszukiwaniu Lily - dostrzegła ją wśród tancerzy, wyróżniała się króciutką spódniczką i długimi, opalonymi nogami. Dobrze chociaż, że nie kryje się w kącie z jakimś przystojniakiem i nie daje mu tego, czego nie powinna, pomyślała Sarah. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Wróciła myślami do Issy. Drzwi nadal były zamknięte. Siedzą tam już od dobrych dziesięciu minut. Westchnęła niespokojnie, nie wiedząc, co robić, ale doszła do wniosku, że jak impreza, to impreza, i zajęła się wydawaniem tacos z ostrym sosem. W przerwie zjadła jedno. Pyszne.

Issy drżała, gdy Alex muskał dłonią jej dekolt. Cudownie. Zsunął elastyczny materiał i myślała, że zemdleje, kiedy zamknął jej pierś w dłoni. O Boże, należała do niego, naprawdę... Całował jej pierś, a pod nią ugięły się nogi... czuła nadciągające trzęsienie

ziemi... i wtedy wsunął jej rękę pod spódnicę. Nie tak, jak Lysander, teraz było inaczej... Naprawdę?

Odepchnęła jego dłoń i starała się opanować drżenie kolan, powtarzając sobie, że musi wziąć się w garść, nie może być taka łatwa. Zresztą naprawdę chciała, żeby ten chłopak ją polubił, a nie tylko ją obmacywał. Jednocześnie pragnęła czegoś więcej. Nie wiedziała, jak się uporać ze swoimi emocjami i jak to skończyć.

Całowała się już z chłopcami, pozwalała się dotykać, ale zawsze to oni prosili, a ona łaskawie się zgadzała. Teraz było inaczej. Co robić, kiedy nie wiesz, czego chcesz? Kiedy tracisz panowanie nad sytuacją?

Przypomniała sobie, co Cassandra kiedyś mówiła o seksie, i już wiedziała. Sama musi zdecydować, że to nie ten chłopak, bo on posunie się o wiele dalej, jeśli mu na to pozwoli.

Spróbował ją pocałować, ale go odepchnęła.

- Przestań - powiedziała, a jego oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia.

- Przecież tego chcesz - mruknął. - Dziewczyny zawsze tego chcą.

- Wiesz co? Bujaj się - prychnęła, nagle zła, na niego i na siebie. - Przepraszam - rzuciła, podciągnęła sukienkę i podeszła do drzwi. - Wybrałeś niewłaściwą dziewczynę.

Słyszała, jak westchnął, zanim zatrzasnęła za sobą drzwi. Nie mogła się powstrzymać, musiała to zrobić. Nogi miała jak z waty.

Poczuła na sobie wzrok Sarah. Uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Wszystko w porządku? - zapytała Sarah.

- Jasne.

Issy wzięła się w garść i rozejrzała w poszukiwaniu Sam. Przyjaciółka tańczyła z młodszym od nich chłopcem, którego obie znały ze szkoły. Powtarzała sobie, że wszystko jest w porządku. No dobra, można by dyskutować, czy nadal jest *virgo intacto*, ale przez Lysandra, Alex był całkiem fajny. Rzecz w tym, że to ona nie jest jeszcze gotowa, nie wie, jak sobie radzić z chłopakami, czy pozwolić się dotykać, doświadczyć tego cudownego uczucia, jakby całe ciało balansowało na krawędzi... Niby skąd ma to wiedzieć? Nawet jeśli ma już szesnaście lat?

Cassandra i Henry wyszli wcześniej i teraz leżeli w swoich łóżkach w pokoju Issy. Żadne z nich jeszcze nie spało.

Henry oderwał się od lektury. Czytał *Grę o tron*; serial telewizyjny spodobał mu się tak bardzo, że zapragnął przeczytać książkę.

- Nie lubię spać sam - oświadczył. Cassandra zerknęła na zegarek.

- Impreza jeszcze trochę potrwa - stwierdziła, wstała i podeszła do jego łóżka. Było im trochę ciasno, ale tak właśnie wyglądały początki ich małżeństwa: mało pieniędzy, wynajęte mieszkanko i pojedyncze łóżko, które zachęcało do miłości.  
Henry



ją objął. Przytuliła się do niego, jak zawsze, od tyłu lat.

- Nadal mi się podobasz, wiesz? - szepnęła. Roześmiał się.

- Bogu dzięki - sapnął. - Ale właściwie czemu ciągle masz na sobie tę koszulę?

Zerknęła na swoją białą koszulę nocną.

- Taka dziewczica - przyznała z krzywym uśmiechem. - Ale przecież zawsze śpię w koszuli - zauważyła.

- Nie we Francji. - Henry śmiał się głośno. - To chyba sprawa tutejszego powietrza - mruknął i pocałował ją mocno.

## *Rozdział 74*

DOCHODZIŁO WPÓŁ DO DRUGIEJ, impreza trwała w najlepsze. Caroline siedziała na kanapie, przesuniętej pod ścianę, żeby zrobić miejsce na tańce, i oparła głowę na ramieniu Jima.

- Czy te dzieciaki nie mają domów? - zapytała, patrząc na tańczących, spowitych blaskiem świateł i kłębam zakazanego dymu tytoniowego.

- Póki nie podpalą mi pracowni, nie narzekam. - Jim przyciągnął ją do siebie. Doszła do wniosku, że bardzo jej się to podoba.

Właściwie to mało powiedziane; lubiła czuć męskie ramię, rozkoszowała się kobiecością, która budziła się w niej w takiej chwili. Przez moment nie była niczyją matką i poczuła się jak nastolatka. Zaraz

jednak upomniała się, że owszem, jest matką i właśnie dlatego jest tutaj. Odsunęła się od niego, wyprostowała, poprawiła włosy. O Boże, znowu to robi, bawi się włosami jak smarkula, a jest sfrustrowaną gospodynią domową, która obściskuje się z młodszym mężczyzną na kanapie, po ciemku. Obściskuje się? Czy ona jeszcze w ogóle pamięta, jak to się robi?

- Opowiedz mi o Jamesie - poprosił nagle Jim.

- A co chcesz wiedzieć? - Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Zbyć go, mówiąc, że „To była szczenięca miłość, no wiesz, a potem mnie zdradził, rozumiesz”. A może po prostu mu przypomnieć, że to nie jego sprawa?

- Dlaczego z nim zostałam?

Jim przyciągnął ją do siebie i ułożył sobie jej głowę na ramieniu. Nie widziała jego twarzy, ale czuła ciepło jego ciała, ciężar ramienia.

- Zakochałam się w Jamesie od pierwszego wejrzenia - zaczęła. Postanowiła mieć to już za sobą. - Nie byłam w stanie mu się oprzeć nigdy, nawet kiedy się dowiedziałam, że ma kochankę. Zaklinał się, że to już skończone, że liczymy się tylko my.

- Chyba był czarujący.

- Polubiłbyś go. Wszyscy go lubili. Jamesa nie sposób było nie lubić, on... był jak narkotyk. Zawsze skupiał na sobie całą uwagę. I za to go kochałam.

- Więc co się w końcu stało?

- Okłamywał mnie przez cały czas. Nie wiedziałam, co się dzieje, nie rozumiałam, jak może mi to robić. Oczywiście wiedziałam, że coś jest nie tak, że chodzi o coś więcej niż romans, choć nie miałam pojęcia o Melanie i Asi. Teraz wiem, że przerastały go

obciążenia finansowe, a sprawę komplikowała Gayle Lee Chen, bo poprzez nią związał się ze światkiem kryminalnym, a kiedy ziemia zaczęła jej się usuwać spod nóg, ratowała się, obciążając winą Jamesa. Dziwne - dodała po chwili. - James był bardzo lojalny. Nie kochał Gayle Lee. Chyba nigdy jej nie kochał, nie tak jak mnie czy matkę Asi. Mark mówił, że Gayle Lee obawiała się, że ją zdradzi, i dlatego go zabiła. A potem, kiedy światek przestępczy zwrócił się przeciwko niej, zniknęła.

- Myślisz, że jeszcze kiedyś wróci?

- Nie sądzę, chyba że jako ktoś zupełnie inny. - Wzruszyła ramionami. - Wszystko jest możliwe.

- A ty? Zmieniłaś się? - Odwrócił jej twarz do siebie, delikatnie uniósł podbródek.

- Mam nadzieję - rzekła miękko. - Naprawdę mam taką nadzieję - powtórzyła, gdy ją pocałował.

- Mamo? Mamo! - Issy jej szukała.

- Tu jestem. - Caroline wstała szybko, wygładziła spódnicę, wytarła usta wierzchem dłoni. - Co się dzieje?

- Ktoś zwymiotował w łazience.

- Super - mruknął Jim za jej plecami. I dodał filozoficznie: - Tak musiało być.

Pod pracownię podjechała pierwsza z furgonetek, które miały zabrać gości.

- O cholera - zaklęła Issy. - Już?

- Druga godzina - zauważyła Caroline, zdziwiona, że jest tak późno. Weszła do środka, żeby przejąć dowodzenie.

Stroboskopy już zgasły, młodzi ludzie stali w półmroku, rozjaśnianym jedynie sznurami kolorowych

lampek. Caroline zobaczyła Lily na kolanach jednego z chłopców i szybko ją ściągnęła.

Sarah, zajęta zbieraniem plastikowych kubków do foliowego worka na śmieci, próbowała przywołać Lily do porządku.

- Chodź no tutaj! - zawołała. - Bo skończysz jak ja.

- Wyluzuj - obruszyła się Lily, obciągnęła spódniczkę, poprawiła bluzkę. - Ja tylko chcę się dobrze bawić.

- Jak my wszyscy - mruknęła Caroline, pogrążona we wspomnieniach.

Dziewczyny stały przy drzwiach i żegnały gości, gdy pod drzwi podjechał Georgki swoim hummerem.

- Kogo podwieźć? - zagadnął. Skrzyżował ręce na piersi i mierzył tłum groźnym spojrzeniem. Caroline była gotowa się założyć, że połowa dzieciaków umierała ze strachu. I że Georgki od dawna czekał na tę właśnie chwilę. Kochany Georgki. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Mamo? - Issy podeszła do niej.

- Tak?

- To była świetna impreza.

Caroline uśmiechnęła się i po raz kolejny podziękowała Bogu.

- Fakt.

## *Rozdział 75*

DWA DNI PÓŹNIEJ LECIAŁY DO SINGAPURU. Asia poprosiła o miejsce przy oknie. Zjadła trochę, pograła w gry na

iPadzie Issy, a potem zasnęła, tak malutka i krucha, że Caroline zrozumiała, że nie mogłaby zostawić jej na pastwę losu. W ciągu zaledwie kilku dni Asia stała się częścią tej rodziny. Ciekawe, jaką osobą okaże się matka dziewczynki.

Issy miała zamknięte oczy.

- Mamo? - szepnęła.

- Tak?

- Opowiedz mi o seksie.

Caroline jęknęła w duszy. Akurat tu i teraz? Co robić? Wcześniej zbywała córkę, ilekroć pojawiał się ten temat, zresztą Issy zaznaczyła, że już wszystko wie, że w szkole mieli pogadankę oraz pokaz z bananem i prezerwatywą. Caroline oczywiście zaprowadziła ją do ginekologa, powiedziała jej o antykoncepcji, chciała, żeby córka była zabezpieczona, na wszelki wypadek... Ale czemu chce rozmawiać o seksie akurat teraz?

A może domyśla się czegoś w związku z Jimem? Ale jakim cudem? Czyżby ona inaczej wyglądała? Inaczej się zachowywała? Słyszała, że kobiety po seksie promienieją, że są bardziej świadome swego ciała. Ale przecież jeszcze nie spała z Jimem.

- Wiem, o co chodzi - ciągnęła Issy, a Caroline odetchnęła z ulgą, przynajmniej nie będzie musiała szeptem uświadamiać jej w samolocie, rozprawiając o ptaszkach i pszczołkach.

- No, dobrze - zaczęła i nie miała pojęcia, co dalej.

- Wiem, jakie to uczucie. - Słowa córki zaszokowały Caroline.

- To znaczy, jeszcze tego nie robiłam, bo pewnie się nad tym zastanawiasz. - Przypomniał

jej się Lysander i dodała: - Chłopcy już próbowali, ale wiesz, mam, czasami to bardzo dziwne. Czuję to, ale nie mogę się zdecydować. Coś ze mną nie tak?

Nie tak? Wręcz przeciwnie! Ale jak to wyjaśnić? Szukała we wspomnieniach, starszych i nowszych, i nagle przypomniało jej się pewne zdanie, które usłyszała dawno temu, a które zdawało jej się pięknie tłumaczyć seks.

- Chodzi o to, żeby się zakochać - odezwała się. - Ktoś kiedyś powiedział, że zakochanie się to najwspanialsze uczucie, do którego zdolni są ludzie.

- Czyli trzeba być zakochanym, żeby uprawiać seks?

Caroline gorączkowo szukała w głowie właściwych słów.

- Seks to coś wspaniałego - zaczęła ostrożnie. - Wiesz, może być naprawdę cudowny, kiedy jesteś w związku z mężczyzną, na którym ci naprawdę zależy. Bo wtedy to stan, a nie czynność. Nie doświadczysz nawet w części całej potęgi seksu, jeśli nie zaangażujesz się nie tylko ciałem, ale i sercem. Rozumiesz?

- Chyba tak. Czy tata właśnie to czuł do mamy Asi?

- Mam taką nadzieję - odparła Caroline i zdała sobie sprawę, że naprawdę tak jest.

- A do tej blond Chinki?

- To chyba było co innego. Obsesja.

- A do ciebie?

- Przez długi, długi czas było cudownie - przyznała. - Bardzo się kochaliśmy.

Issy ścisnęła jej dłoń.  
- Cieszę się, że mi to wyznałeś.

## *Rozdział 76*

MARK CZEKAŁ NA NIE NA LOTNISKU CHANGI. Wyszły z terminalu zmęczone, tylko Asia podskakiwała niecierpliwie. Uśmiech znikł z jej buzi, kiedy Mark oznajmił, że jej mamy tu nie ma.

- Woląca poczekać na ciebie w domu - wyjaśnił. -Ma dla ciebie niespodziankę.

Caroline poczuła się lepiej na jego widok - taki znajomy, taki bliski, taki duży, masywny, brodaty, w kremowym garniturze i, na serio, w krawacie, choć na dworze było bardzo gorąco i pewnie lada chwila lunie deszcz.

- W ogóle się nie zmieniasz - stwierdziła.

- Ale ty tak. - Przyglądał się jej tęsknie i widział zmianę: była w niej miękkość, mniej napięcia, aura kobiecości, której nie widział od dawna.

- Gdzie się zatrzymamy? - zapytała.

- U mnie, uznałem, że tak będzie lepiej niż w hotelu. Najpierw tam pojedziemy, a potem oddamy Asię.

Apartament Marka mieścił się w niedawno rewi-talizowanej dzielnicy. Dawne magazyny przerabiano na lofty, butiki, kafejki, kluby i restauracje z widokiem na rzekę.

Jego mieszkanie było na najwyższym piętrze. Ogromną przestrzeń dzieliły ekrany z matowego

szkła. Było tam jasno, przestrzennie i nowocześnie, a w kuchni nieużywane sprzęty pokryły się patyną zapomnienia.

Pokój gościnny wydawał się żywcem wyjęty z włoskiego pisma o wystroju wnętrz, łazienka intrygowała bielą kafelków i ciemnym odcieniem luster. Issy była zachwycona, ale Caroline miała nadzieję, że łóżka, idealnie zasłane szpitalną bielą, okażą się wygodniejsze niż na pierwszy rzut oka. Jednak gorący prysznic z masażem przywrócił jej chęć do życia i kwadrans później wyszła z łazienki odświeżona, nasmarowana kremem i mniej spięta.

Asia czekała na kanapie, wyprostowała nogi, oglądała telewizję. Caroline poprosiła Issy, żeby pomogła małej się umyć. Otworzyła jej walizkę, wyjęła szorty i różową koszulkę - w ulubionym kolorze dziewczynki. Klapki muszą wystarczyć.

Po prysznicu Issy zaplotła jej warkoczyk i związała go gumką, choć Asia z dezaprobatą zauważyła, że jej mamusia zawiązałaby kokardkę.

Caroline z Markiem sęczyli szampana przy oknie i rozmawiali ściszymi głosami, a dziewczynki oglądały telewizję. Program był po mandaryńsku, ale Issy co nieco rozumiała, bo dorastała przecież w Singapurze. Asia trzymała ją za rękę.

- Nie mam pojęcia, jak pomóc Melanie - mówiła Caroline. - Nie mam pieniędzy.

- Nie jest tak źle, jak się wydawało na początku. Oczywiście nie ma tych pieniędzy dużo, nie po tym, co się stało, ale James naprawdę założył fundusz powierniczy dla ciebie, Issy i Asi.

- No tak! Jackie pewnie o tym wiedziała i chciała położyć łapę na kasie.



- To wina banku - tłumaczył Mark. - Popełniono błąd podczas wstępnej analizy. W każdym razie jest tych pieniędzy tyle, że Melanie będzie mogła wykupić mieszkanie, ale nadal będzie musiała pracować.

- Podobnie jak ja - skwitowała Caroline. - Nie ma w tym nic złego. W dzisiejszych czasach kobiety muszą pracować na siebie.

- Ale dziećmi trzeba się opiekować i James, mimo swoich wad, zdawał sobie sprawę, że spoczywa na nim ten obowiązek. Życie toczy się dalej - zauważył. - A twoje? Co słychać?

- Dobrze. Świetnie. - Caroline upiła łyk szampana. - Słuchaj, współniku, lada dzień otworzę naszą restaurację. Czekam już tylko na meble. Sarah teraz, podczas mojej nieobecności, wprowadzi się do domku i sprawdzi, jak działa sprzęt kuchenny. Wiem już nawet, co będę podawała, przynajmniej na początku. Planuję przyjmować do czterdziestu gości, tylko w piątki i soboty.

- Cóż, czyli na razie nie mam co liczyć na zawrotne zyski. - Uśmiechnął się.

- Czekaj, czekaj, ani się obejrzysz, a goście będą walili drzwiami i oknami - powiedziała i z nagłym strachem zapragnęła mieć rację. Od tego wszystko zależy.

Mieszkanie Melanie mieściło się w budynku niedaleko Orchard Road, blisko butiku, w którym pracowała. Asia siedziała cichutko, Caroline widziała, jak Issy trzymają za rączkę i zapewnia, że wszystko będzie dobrze, że mama na nią czeka.

Ale Melanie nie czekała w holu. Asia weszła do windy i wcisnęła przycisk szóstego piętra.

Caroline głęboko zaczerpnęła tchu. Chwila prawdy, pomyślała. Zaraz zobaczy kobietę, którą pokochał jej mąż. Nie, to nie tak. Ją też kochał, tylko w którymś momencie przestał. I dlatego na świecie są Issy i Asia.

Melanie czekała przy drzwiach. Była drobna, miała delikatne tajskie rysy, cudownie gładką skórę koloru miodu i długie ciemne włosy, upięte w kok długą szpilką. Ubrana była w bursztynową koszulkę na ramiączkach, obcisłe džinsy i balerinki.

Rozłożyła ramiona i Asia rzuciła jej się na szyję. W milczeniu obejmowały się z całej siły. A potem Melanie i Caroline spojrzały sobie w oczy.

- Dzień dobry - odezwała się Melanie. - Zapraszam.

Mieszkanko było malutkie i skromne - salonik połączony z kuchnią i kącikiem jadalnym, kanapa przed wielkim telewizorem, a na niej kolorowe jedwabne poduszki. Przeszklone drzwi prowadziły na mały balkon.

W kącie znajdował się malutki ołtarzyk z bóstwem przypominającym Buddę i zapaloną świeczką. Przed nim stała ofiara - miseczka owoców.

- Siadajcie, proszę - mówiła Melanie. - Napijcie się czegoś?

Jej angielski był równie doskonały jak jej rysy. Nic dziwnego, że James stracił dla niej głowę, dumiała Caroline. Taka delikatna, urocza i przejęta.

- Bałam się tego spotkania - zwróciła się do Caroline. - Zdaję sobie sprawę, że nie możesz mnie polubić, to zrozumiałe, ale opiekowałam się moją córką, choć popełniłam błąd, wysyłając ją do was.

- Nie zrobiłaś nic złego - zapewniła Caroline. Powtarzała sobie, że kiedy James poznał i pokochał Melanie, ich związek już się wypalił. - Bardzo nam miło poznać Asię, siostrę Issy.

Do tej pory Melanie ani razu nie spojrzała na Issy, która kuliła się w rogu kanapy i uparcie wpatrywała we własne stopy.

- Issy się mną opiekowała. - Asia pociągnęła mamę za nogawkę. Spojrzała jej w oczy.

- Więc musimy jej podziękować. Melanie w końcu spojrzała na Issy.

- Jesteś równie ładna jak twoje imię - powiedziała. - Isabel to piękne imię. James mi o tobie opowiadał.

Issy od niechcienia wzruszyła ramionami. Milczała. Wcale nie chciała poznawać kochanki ojca.

Melanie odwróciła się, poszła do kuchni i po chwili przyniosła butelkę portugalskiego *vinho verde*. Rozlała alkohol do kieliszków, stojących na tacy, na której były też sok pomarańczowy dla Asi i puszka coli dla Issy.

Zdumiona, podniosła głowę. Nawet jej rodzona matka nie wiedziała, że colę podaje się w puszcze! I to tak schłodzoną, że aż parzy palce, jak ta tutaj. Spojrzała na Melanie, podziękowała i zobaczyła, że jest o wiele młodsza od jej mamy. I śliczna, jak modelka z reklamy singapurskich linii lotniczych. I zde-nerwowana tak bardzo, że mało brakowało, a upuściłaby tacę. Issy przytrzymała jej dłoń i Melanie uśmiechnęła się z wdzięcznością. Miała idealnie białe zęby, choć pewnie nigdy w życiu nie była u dentysty.

- Mamusiu! - Asia usiadła na kanapie koło przyrodniej siostry.
- Musisz pokochać Issy.

Issy poczerwieniała jak burak i szturchnęła Asię w bok. Mała jęknęła i wylała sok na kanapę i jedwabne poduszki.

Caroline się roześmiała.

- Jak w domu - stwierdziła. Wtedy Melanie też się roześmiała.

A potem Mark poważnie porozmawiał z Melanie, powiadomił ją o niewielkiej sumce, dzięki której wykupi mieszkanie i pośle Asię do szkoły. Nie rozplakała się, słysząc te słowa, ale złożyła ręce i skłoniła się nisko.

- A teraz wypijmy za Jamesa - zaproponował Mark. Wziął byka za rogi, jak to później opowiadała Caroline.

- James był dobrym człowiekiem - oznajmiła Melanie lojalnie.

- Dobrym tatusiem - dodała Asia.

- Tak. - Issy zgadzała się z obydwiema.

Caroline też uniosła kieliszek, ale nie mogła wyznać tego na głos; w końcu zawsze o tym wiedziała, prawda? A potem zamknęła wspomnienie o Jamesie i wspólnym życiu w zakamarku pamięci, gdzie zostanie na zawsze. Asia usiadła jej na kolanach, Issy wypytywała Melanie o ołtarzyk w kuchni i przypomniała sobie, że taki sam był w ich starym mieszkaniu, a Mark uśmiechał się jak kot z Cheshire.

Oby tylko nie poprosił jej o rękę.

## Rozdział 77

GODZINĘ PÓZNIEJ CAROLINE WIEDZIAŁA, że nie mają sobie wiele do powiedzenia. Z Melanie łączyło ją to, że miały córki z Jamesem, ale poza tym ich drogi zapewne nigdy by się nie spotkały. Nigdy się nie zaprzyjaźnią. Już miała zasugerować, że na nie czas, gdy Asia przypomniała sobie o niespodziance.

- Gdzie jest, mamusiu? - dopytywała niespokojnie. - Czy to iPhone?

Mark roześmiał się i mruknął:

- Pomyśleć, że dawniej chciały dostać plastelinę.

- W sypialni - odparła Melanie.

Usłyszały piski i krzyki, a potem Asia wróciła biegiem, tuląc do piersi śliczne czarne kocię. Issy zaraz osunęła się na kolana, głaskała i uspokajała maleństwo. Kociak zamruczał głośno.

- Och, mamusiu, jaka cudowna niespodzianka! -zawołała Asia.

- Jak go nazwiesz? - zapytała Caroline.

- Jak to jak? Brenda, ma się rozumieć. - Asia powiedziała to takim tonem, jakby wszystkie kocięta tak miały na imię. - Nie jest ślepy, więc tylko Brenda - wyjaśniła.

- Ale musisz obiecać, że będziesz się nią opiekowała - zastrzegła Issy.

- Tak, tak, tak! - piszczała Asia.

Nadeszła odpowiednia chwila, żeby się pożegnać. Były całusy i uściski, a dziewczynki zaczęły płakać.

- Musisz mnie odwiedzić, siostrzyczko - szepnęła Issy. Asia obiecała, że do niej przyjedzie.

Caroline bardzo się cieszyła, że poznała Asię, powiedziała, że na pewno jeszcze się spotkają.

- Zobaczymy ją jeszcze kiedyś, prawda? - zapytała Issy w samochodzie. Caroline zapewniła, że tak, a w duszy dodała, że zrobi wszystko, by tak było. Nie mogła pozwolić, by z życia Issy znikła także siostra.

Wszyscy zgłodnieli, więc zatrzymali się przy ulicznym straganie i urządzili sobie małą ucztę, objadali się ostrą wieprzowiną i makaronem tak delikatnym, że rozpływał się w ustach.

Kiedy wracali do Marka, mijali budynek, w którym mieścił się ich dawny apartament.

- Może rzucimy okiem? - zaproponował Mark od niechcienia. - Tak się składa, że mam przy sobie klucz.

Caroline zerknęła na Issy i zobaczyła błaganie w jej wzorku. Wiedziała, że musi się zgodzić.

Winda pachniała jak dawniej, płynem do drewna i środkiem do czyszczenia lusterek, otworzyła się z tym samym cichym szelestem, i ich oczom ukazało się przestronne mieszkanie, które przez tyle lat było ich domem. Takie samo, a zarazem zupełnie inne, puste, pozbawione duszy.

Caroline szukała wspomnień i ich nie znalazła. To wszystko to już przeszłość.

Czekała cierpliwie, gdy Issy obchodziła poszczególne pokoje, zaglądała do garderoby, w której jako dziecko bawiła się krawatami ojca, do kuchni, w której razem jadali kolację, do jej dawnego pokoju dziecięcego.

Powoli podeszła do matki. Caroline wzięła ją za rękę.

- To już koniec, mamó - skwitowała cicho. Przeszłość wreszcie stała się przeszłością.

Później, gdy Issy poszła spać, Caroline siedziała na twardej nowoczesnej kanapie w saloniku Marka i patrzyła na światła zatoki. Z pobliskiego klubu docierały dźwięki muzyki, odgłosy śmiechów, gdzieś w oddali zatrąbił klakson.

- To wszystko już przeszłość, Caroline? Czują, że na nią patrzy, i wiedziała, do czego zmierza.

Zdjęła okulary, odsunęła grzywkę z oczu i odetchnęła głęboko.

- Tak - odparła stanowczo. - Tu już nie ma dla mnie miejsca. Nie jestem tą samą osobą, co dawniej. Nie pasuję tutaj, Mark.

- Więc nie wyjdiesz za mnie? Roześmiała się.

- Przecież nawet mnie nie prosiłeś o rękę.

- Bałem się, bo wiedziałem, co odpowiesz.

- Ale nadal będziemy przyjaciółmi. Potrzebuję cię. - Wzięła go za rękę. Była ciepła i silna, jak on.

- Jest ktoś inny? - Musiał znać prawdę, żeby już na nic nie liczyć.

Zastanowiła się, pomyślała o Jimie i o tym, co między nimi zaszło. Cudowne, ekscytujące, wspaniałe. Ale czy prawdziwe?

Wzruszyła ramionami w nieodgadnionym geście.

- Może - przyznała.

Mark wstał i nalał im szampana, który został w lodówce od popołudnia, gdy jeszcze miał nadzieję.

- Słuchaj, lepiej niech ta restauracja okaże się sukcesem - pogroził jej. Oboje parsknęli śmiechem.

## *Rozdział 78*

Ku ZDUMIENIU CAROLINE NA LONDYŃSKIM LOTNISKU Heathrow czekał na nie Georgki.

- Miał być Jim, ale coś mu wypadło w ostatniej chwili - wyjaśnił i objął Caroline tak, żeby ich ciała się nie dotykały. Jakby się tego obawiał, pomyślała, całując go w policzek. I może naprawdę tak było.

- Cieszę się, że ty nas odbierasz - zapewniła. Georgki niósł walizki do samochodu. - Zawsze mnie cieszy twój uśmiech.

Usiadła na przednim siedzeniu, obok kierowcy, i odruchowo spojrzała na Issy.

- Pasy? - zapytała.

Issy westchnęła teatralnie. Matka zawsze o to pyta.

- Tylko dlatego, że się o ciebie troszczę - wyjaśniła Caroline spokojnie.

- Tak, mamo, oczywiście, że zapięłam pasy. Zawsze to robię, a ty zawsze o to pytasz. Nie musisz.

- Ale będę - odparła Caroline i nie czekając na kolejne pytanie, odpowiedziała od razu: - Dlatego.

Issy przewróciła oczami.

- Ale dlaczego?

- Bo jestem matką, a matki tak mają. Pogódź się z tym, Issy. Myślałam, że po tylu latach w końcu zrozumiałaś.



Georgki spojrzał na nią niespokojnie, przerażony, że się pokłóca.

Caroline odwzajemniła niespokojne spojrzenie -czy nie powinien raczej koncentrować się na jezdni. Z westchnieniem zamknęła oczy, niech chociaż przez chwilę Georgki i Issy sami sobie poradzą. Miała za sobą ciężkie dni, dopiero wysiadła z samolotu, jest ledwo żywa. Podobnie jak Issy, skarciła się zaraz. Teraz to ona jest okropna.

- Przepraszam - rzuciła za siebie, ale Issy już spała. Caroline wkrótce poszła w jej ślady.

Obudziły się jednak, gdy zjechali z autostrady. Issy ziewnęła i poprawiła sobie włosy.

- Witaj na ziemi - mruknęła Caroline.

- Ty też spałaś. - Issy czule poklepała ją po ramieniu. Zerknęła na Georgkiego, na jego surową minę i wielkie dłonie zaciśnięte na kierownicy, na potężne ciało. Mógłby spokojnie zagrać czarny charakter. - Wiesz, Georgki, ciebie można się naprawdę przestraszyć - stwierdziła.

Caroline zmarszczyła brwi, więc zaraz dodała:

- Bo jesteś taki duży i rzadko się uśmiechasz. Georgki wzruszył ramionami.

- Chodzi o to, że jestem Rosjaninem.

- Z Estonii - dodała Caroline.

- Z Serbii - poprawił.

- No tak, z Serbii. - W życiu nie zorientuje się w jego życiorysie. On chyba też nie.

- Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem. Bardzo lubię ciebie i twoją mamę. Jestem przyjacielem.

- Dobrym przyjacielem. - Caroline poklepała jego dłoń. - I zawsze nim będziesz.

Mark i Georgki, pomyślała, dwaj zakochani w niej przyjaciele.

Issy przyglądała się im uważnie. Chyba niemożliwe, żeby mama miała z nim romans? O Boże, oby nie! Nie, nie, na pewno nie, tłumaczyła sobie. Jeśli już, to z Jimem, który jest od niej chyba o połowę młodszy. Skuliła się na tylnym siedzeniu i pogrążyła w ponurych rozmyślaniach, jak sobie poradzić z matką.

Georgki zaparkował przed pubem i wziął ich walizki. Issy wpadła do środka. Caroline szła za nią i wspominała tamten wieczór, gdy przekroczyły ten próg po raz pierwszy. Dopiero teraz widziała, jak bardzo zmieniło się ich życie. Teraz miały przyjaciół, rodzinę, czułość, ciepło i wewnętrzny spokój, którego dawniej nie znała.

Cassandra stała za barem w czarnej sukience z głębokim dekoltem, pochylała się prowokacyjnie i nalewała piwo mężczyźnie, który przyglądał się jej z zachwytem. Caroline go znała: starszy wdowiec, mieszkał z rodziną córki.

Byli do tego stopnia pochłonięci rozmową, że Cassandra nawet ich nie zauważyła, póki Issy nie wrzasnęła:

- Jesteśmy! - Galopem popędziła w otwarte ramiona babki.

Cassandra ucałowała ją i powiedziała:

- Uciekaj stąd, bar to nie miejsce dla ciebie. - Poklepała ją w pośladki i podeszła do córki, a Issy pobiegła do Sam. - Wydajesz się zmęczona - stwierdziła i odsunęła ją na odległość ramienia, żeby lepiej widzieć, jak zawsze, odkąd Caroline była małą

*Moje miejsce na ziemi*

dziewczynką. - Ale wydajesz się zadowolona - oceniła. - Jakby wszystko wreszcie było na swoim miejscu. Mam rację?

Caroline skinęła głową.

- Chyba tak. Mój świat wreszcie jest taki, jaki powinien być. Z kuchni wyszła Maggie.

- Stęskniłam się - oznajmiła. -I nie tylko ja. Posłała Caroline znaczący uśmiech, ta jednak

udawała, że nie wie, o co chodzi. Obie parsknęły śmiechem. Stali goście pomachali na powitanie, nawet Frisky przyczłapał, żeby go pogłaskała. A potem wkroczył Georgki z bagażami, wszyscy poszli do kuchni, gdzie Jesus już otwierał wino, a Sarah dumnie prezentowała swoje zapiekanki. Jutro wprowadzi się do domku, jeśli Caroline nie ma nic przeciwko temu. Ślepa Brenda leżała na stole, w samym centrum zainteresowania, i wtedy Mały Billy zaczął płakać. Sam i Issy zaraz do niego podbiegły, a Caroline podziękowała Bogu, że nie ma tu dzisiaj Lily, bo stłukłaby kolejny talerz.

Naprawdę, jest prawie idealnie, pomyślała.

## *Rozdział 79*

WSZYSTKIE GŁOWY ODWRÓCIŁY SIĘ później, gdy wszedł Jim; no, może poza psem Friskym, który łba nie podniósł, ale łaskawie łypnął jednym okiem. Jim poklepał go serdecznie, przywitał się z pozostałymi gośćmi i zamówił piwo u Cassandry stojącej za barem.

I ostre tacos, które rzucił psu. Frisky chwycił je w locie, pogryzł, przełknął i przyjął poprzednią pozycję z łbem na łapach. Dokoła rozległy się śmiechy i brawa. Jim ukłonił się lekko.

- Cześć. - Spojrzał na Cassandrę. - Zobaczyłem przed pubem samochód Georgkiego i domyśliłem się, że podróżniczki już wróciły.

- Owszem. I na pewno bardzo cię to cieszy. - Nalewała piwo powoli, żeby nie powstała piana.

- Dlaczego tak uważasz?

Postawiła przed nim piwo i spojrzała znacząco, dając do zrozumienia, że dobrze wie, o czym mówi.

- Uważaj na nią - poprosiła, ale uśmiechała się przy tym i Jim odetchnął.

Był zakochany w Caroline; nie mógł przestać o niej myśleć. Właściwie miał na jej punkcie obsesję, choć może to niewłaściwe słowo... Nie, bardzo dobre, doskonale opisuje stan jego uczuć. Rzuciła na niego czar.

- Caroline jest w kuchni - poinformowała Cassandra. - Trochę tam ciasno, więc po nią pójde.

Zniknęła za drzwiami, a po chwili Jesus zajął jej miejsce za barem. Przywitał się z Jimem i przez kilka minut gawędzili o pracy i pogodzie, aż wreszcie w progu kuchni stanęła Caroline.

- Cześć - powiedziała, a on uznał, że to najpiękniejsze słowo, jakie w życiu słyszał.

- Cześć. - Była już tak blisko, że czuł zapach jej perfum. - Co to? - zapytał, całując ją w szyję.

Odpowiedziała mu, że to perfumy So Pretty -, „taka ładna". Nie mógł się z tym nie zgodzić.

- Odwieźć cię do domu? - zagadnął, cały czas patrząc jej w oczy.

- A twoje piwo? - Widziała, że prawie nic nie wypił.

Pokręcił głową: nieważne. Podał jej rękę.

Nie widzieli ciekawskich spojrzeń, które towarzyszyły im aż do drzwi, ani nie słyszeli rozmów po ich wyjściu. I tak ich to nie obchodziło.

Caroline siedziała skromnie na fotelu pasażera. Jechali w milczeniu; tylko raz Jim zapytał o podróż, a ona odparła, że jest ledwo żywa.

Skreślił w podjazd i nagle była już w domu. Cassandra zadbała, żeby w środku paliły się światła i szopa wydawała się przytulna i gościnna.

- Jak w domu - stwierdziła, ale nawet się nie ruszyła.

- Może chciałabyś się przejść? - zaproponował. - Jest pełnia. Mój dziadek mawiał, że to noc bombowców, choć tak daleko od Londynu chyba nie mieli tu zbyt wielu nalotów.

Caroline spojrzała na niego i pomyślała, że właściwie nic o nim nie wie, o jego rodzinie, o tym, jaki naprawdę jest. Wiedziała tylko, że ma dwadzieścia siedem lat i nie ma partnerki, a ona ma trzydzieści osiem, prawie dziewięć, córkę i rozwód za sobą. Powtarzała sobie, że z tego nic nie będzie, nie może być. Ale i tak chętnie zgodziła się na spacer.

Jim szybko wysiadł i przytrzymał jej drzwiczki, objął ją w talii, przesunął dłonie na jej zebra, pomógł utrzymać równowagę. I wtedy między nimi

zaiskrzyło, pojawił się ten błysk, na który Caroline zawsze czekała. Przez chwilę stali wpatrzeni w siebie. W końcu wziął ją za rękę.

- Rzeka jest piękna w blasku księżyca - powiedział. - Jako dzieci przychodziliśmy się tu wykąpać, nieco dalej, za załomem, rzeka rozlewa się na tyle, że można popływać.

- Ojej- - Caroline wzdrygnęła się, a Jim miał ochotę znowu ją objąć. - Nienawidzę wodorostów, zawsze się boję, że się w nie zaplączę i utonę.

- Obiecuję, że im na to nie pozwolę.

Szli ścieżką prowadzącą z tarasu wzdłuż rzeki, spłoszyli kaczkę, która zaprotestowała gniewnie, a potem był już tylko odgłos ich kroków, szum rzeki, gdzieś w oddali zaryczała krowa.

Zatrzymali się, zdjęli buty, bosy podszli do wody, gładkiej, ciemnej, błyszczącej w świetle księżyca.

Jim poprowadził ją nieco wyżej, na trawiastą polankę.

- Usiądźmy tutaj - zasugerował.

Caroline podejrzliwie wpatrywała się w trawę.

- Krów tu nie było? Mam nadzieję, że to dziewiczy teren.

Jim roześmiał się głośno.

- Nie wiedziałem, że się tym przejmujesz. - Przyciągnął ją do siebie. - Nie, krów tu nie było. I teren jest dziewiczy.

Pomyślała wtedy, że jeśli ktoś tu jest dziewicą, to ona. Madonna wiedziała dobrze, o czym śpiewa, ale pewnie nawet Madonna nie zdołałaby się oprzeć Jimowi, gdyby przyciągał ją do siebie i całował, długo, namiętnie. Takie pocałunki nosiła w pamięci, prze-

konana, że już nigdy ich nie zazna. Cudownie, myślała. Cudownie, cudownie, cudownie.

- Jestem na to za stara - stwierdziła, kiedy się od niej oderwał.

- Na co? - Rozpinał jej bluzkę, a ona nie protestowała... Tyle, jeśli chodzi o pouczające przemówienia do Issy, o prezerwatywy na bananie i podkreślanie roli rozumu, nie tylko ciała. Zaraz zaraz, a czy była mowa o sercu? Bo jej waliło jak oszalone, kiedy Jim zsuwał jej bluzkę z ramion, a potem sam ściągnął koszulę i przyciągnął ją do siebie.

Caroline dotknęła jego pleców, czuła silne mięśnie pod gładką skórą. Jego dłonie znalazły jej piersi, a potem zamknął w ustach jej sutek, aż odrzuciła głowę do tyłu i oddała się chwili. A potem leżała na chłodnej trawie, a on nakrywał ją sobą i znowu całował.

Uniósł się na łokciach, żeby na nią spojrzeć.

- Jesteś piękna, wiesz o tym? - oznajmił. - Cudowna. I jestem w tobie zakochany.

Przez chwilę zastanawiała się, czy zakochanie to to samo, co miłość.

- Opętałaś mnie - dodał. Roześmiała się.

- A ty mnie - odparła. - No popatrz tylko, leżę półnaga na trawie, na dworze...

- Może spróbujemy nago - zaproponował. Caroline nie wiedziała, że potrafi się tak szybko

rozebrać, i dziękowała losowi za mdłe światło księżyca. Denerwowała się, jak Jim zareaguje, widząc jej ciało.

- Masz piękną pupę - ocenił, zamykając ją w dłoniach. - Cudowną. - Rozsunął jej nogi, dotknął

dłonią, aż jęknęła. - Jak kwiat - szepnął, pochylając głowę. - Jak płatki róży.

Caroline leżała na plecach, wpatrzona w gwiazdy, a potem świat eksplodował, była w innym świecie, na wpół zapomnianym, a teraz odnalezionym.

- Cudownie - mruzczała w przerwach między pocałunkami. - Jestem w niebie.

Czy kochali się godzinami? - zastanawiała się dużo, dużo później. W pewnym momencie zasnęła w jego ramionach, a potem obudziła się - znowu opętana. Nieważne. Okazał się cudownym kochankiem - niestrudzonym młodym kochankiem, upomniała się. A ona, starsza kobieta, cały czas czuła w ciele wspomnienie rozkoszy, jaką jej dawał.

Leżeli obok siebie na trawie, trzymając się za ręce. Księżyc nie wiadomo kiedy znalazł się o wiele niżej.

Jim usiadł i spojrzał na nią. Speszona, zakryła piersi rękami, przez co odsłoniła całą resztę ciała. Zachichotała niepewnie, nie wiedząc, co robić.

- Nie musisz się zasłaniać - oświadczył. - Przecież już wszystko widziałem. - Wstał ze śmiechem, nagi i tak niesamowicie piękny, o silnym, umięśnionym ciele, że znowu go zapragnęła.

- Popływamy? - zagadnął i pomógł jej wstać.

- A wodorosty? - jęknęła.

- Nie ma tu żadnych wodorostów, a gdyby były, wyratowałbym cię z opresji.

Stanął na brzegu i skoczył. Bez namysłu poszła w jego ślady. Krzyknęła. Woda była lodowata... cudowna. Płynęli obok siebie, na drugi brzeg i z powrotem.



- Szczęśliwa? - zapytał i objął ją pod wodą.
- Tak. - Bo przecież trzeba żyć chwilą, prawda?

## *Rozdział 80*

TEGO SAMEGO WIECZORU W PUBIE Issy i Sam leżały po ciemku, a Ślepa Brenda zwinęła się w kłębek między nimi. Przez otwarte okno wpadały ciepła bryza i blask księżyca.

- Tęskniłam za tobą - oznajmiła Sam.
- Ja też.
- Aleja bardziej.
- Nieprawda!

Parsknęły śmiechem i kotka fuknęła gniewnie.

- Och. - Issy pogłaskała mały łeppek. - Zapomniałam już, jaka jest drażliwa.

- Słyszałam, że ten Alex chodzi z dziewczyną ze Szkoły Świętej Marii.

Issy wiedziała, o jakiej szkole mówi.

- A więc jest starsza - uznała. - Ma co najmniej osiemnaście lat. - Pomyślała o imprezie i rozmowie z matką. Cieszyła się, że tak się skończyło. - To tylko chłopak - skwitowała. Wybaczyła mu, że się do niej dobierał, trzeba przyznać, że nie stawiała oporu. - Musi mieć starszą kobietę.

Sam zachichotała i przekazała inne plotki o wspólnych znajomych. Było tak dobrze, tak domowo, tak swojsko, że Issy niemal zapomniała o Singapurze i Asi.

- To fajny maluch - powiedziała nagle.

Nie musiała tłumaczyć, o co jej chodzi; zawsze rozumiały się w pół słowa, jak przy pisaniu esemesów.

- Chciałaś powiedzieć: fajna siostrzyczka - zauważyła Sam, oparła się na łokciu i spojrzała na przyjaciółkę. - Obawiałam się, co będzie, kiedy wyjechałaś, że będziesz zazdrosna. No wiesz, o ojca, że związał się z inną kobietą i urodziła się Asia.

- Asia jest fajna, podobnie jak Melanie, jej mama. - Issy nie powiedziała: „kochanka mojego ojca”, choć te słowa przeszły jej przez myśl. Dobrze, że Caroline wyznała jej, jak bardzo rodzice się kochali, kiedy ona przyszła na świat.

- To już zapomniana sprawa, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Za to mam siostrę.

- I przyjaciółkę - dodała Sam, a Issy pomyślała, że chyba jest trochę zazdrosna. Wzięła ją za rękę, żeby jej dać do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Ślepa Brenda też była zazdrosna, zsunęła się z poduszki i ułożyła między nimi.

- Gdyby była grubsza, wyglądałaby jak termofor - stwierdziła Sam. Obie zachichotały.

A potem Issy umilkła, myślała o mamie, o szopie, o planowanej restauracji. Caroline się starzeje, w przyszłym roku będzie miała trzydzieści dziewięć lat, a cały czas szamocze się, walczy z losem, stara się stanąć na nogi. Sama. Sama snuje marzenia, nikt jej nie pomaga. No dobrze, Cassandra i dziadek, ale oni mieszkają we Francji i wkrótce wyjadą. Issy miała wrażenie, że nagle wszystko się zmieniło, i zrozumiała, że teraz to ona musi opiekować się mamą, a nie odwrotnie. Musi się nią zająć, dopilnować, żeby

wszystko było dobrze, pokazać, że nigdy nie będzie sama.

- Naprawdę muszę wracać do domu - oświadczyła do Sam. Miała na myśli szopę.

- Czekałam, kiedy to zrozumiesz. - Sam wsparła się na łokciach i zajrzała jej w oczy. - Będzie mi ciebie brakowało - dodała.

- Mnie ciebie bardziej.

- Nieprawda!

Roześmiały się. Ślepa Brenda fuknęła gniewnie, a one znowu parsknęły śmiechem.

## *Rozdział 81*

NASTĘPNEGO RANKA CAROLINE OBUDZIŁA SIĘ we własnym łóżku. Wracali wzdłuż rzeki, boso, trzymając się za ręce, oszołomieni pożądaniem, co chwila dotykali się, zatrzymywali, całowali, lekko, bo byli zbyt zmęczeni na coś więcej. W każdym razie Caroline. Zmęczenie w końcu ją dopadło: lot do Singapuru, spotkanie z matką Asi, powrót, restauracja... I wszechogarniająca namiętność do Jima Thompsona o pięknym ciele i zmysłowych ustach, które wiedziały, jak całować. Chciał zostać na noc, spać z nią, obudzić się z nią w ramionach, ale się nie zgodziła. Musiała myśleć o córce - i swojej reputacji.

Na progu pocałowali się na dobranoc - czy może raczej na dzień dobry - a potem Caroline poszła na górę, rozebrała się ponownie i zasnęła. Dużo później

obudził ją chrzęst żwiru pod kołami samochodu. Wstała, oprzytomniała i podeszła do okna.

To był wóz dostawczy, mężczyźni już ustawiali na podjeździe wielką drewnianą skrzynię. Szybko włożyła dżinsy i koszulkę i wybiegła na dwór.

- Pani Evans? - Kierowca zerknął najpierw na fakturę, potem na nią.

- Tak, to ja. Co to jest?

- Meble, psze pani. Z Singapuru, tak tu jest napisane.

No tak! Komody i inne skarby, które Mark zabrał ze starego mieszkania. Dała napiwek kierowcy i jego pomocnikowi, a oni w zamian łomem podważyli drewniane wieko, wnieśli do restauracji dwie komódki z XIX wieku i odjechali.

Zachwycona, ustawiła je pod ścianą, naprzeciwko drzwi na taras, cofnęła się i podziwiała swoje dzieło. Ich prosta elegancja stawała się jeszcze bardziej widoczna na surowym kamiennym tle. Pomyślała, że Jimowi się to spodoba.

Po chwili poszukiwań znalazła lampy, które zawsze na nich stały - wysokie, smukłe szklane kolumny, zwieńczone prostymi, kremowymi abażurami ze złotym wykończeniem, które mieniło się delikatnie.

Zmęczona przeglądała zawartość skrzyń, owiniętą folią bąbelkową, i zastanawiała się, czy wypić poranną kawę, czy rozpakowywać dalej. Kawa wygrała. Poszła do kuchni, włączyła ekspres i modliła się, żeby deszcz poczekał, aż wniesie wszystko do domu.

Nalała sobie właśnie gorący płyn do kubka, gdy przyjechała Maggie.

- Pomyślałam, że zjawię się przed twoimi rodzicami. - Serdecznie uściskała Caroline, odsunęła ją na odległość ramienia, zmierzyła wzrokiem.

- Zadowolona - mruknęła. - Wiedziałam, że będziesz tak wyglądać.

- Jak? - Caroline uśmiechała się od ucha do ucha i wzruszyła ramionami. - No dobra, jestem zadowolona, bardzo, bardzo zadowolona, jeśli już musisz wiedzieć.

- Muszę wiedzieć wszystko! - Maggie wyjęła kubek z kredensu i nalała sobie kawy. - Siadaj i opowiadaj. - Wskazała krzesło obok siebie. Caroline usiadła posłusznie.

- Mags - zaczęła. - Byłam totalnie bezwstydną i strasznie mi się to podobało, i zrobiłabym to jeszcze raz. Jest cudowny, idealny, nie czułam się tak od czasów...

- Nie wymawiaj jego imienia, bo wszystko zepsujesz.

- Wiesz, jak to jest, kiedy mężczyzna na ciebie patrzy, kiedy uwodzi cię spojrzeniem...

- A ty uległaś.

- A nie powinnam?

Maggie zamyśliła się i upiła łyk kawy.

- Szczerze mówiąc, nie widzę powodu, dlaczego nie. Ani ja, ani wszyscy goście, którzy wczoraj widzieli was w pubie. Mielście dość efektowne wyjście.

Caroline się uśmiechnęła.

- Mówiłam, że jestem bezwstydną - mruknęła i obie się roześmiały. - A tak między nami, Mags. - Ściszyła głos, jakby bała się, że ktoś je usłyszy. -

Zastanawiałam się nad tym, zanim... no wiesz, zanim zdarłam z siebie ubranie.

- Zdarłaś?

- No cóż, Jim zaczął, a potem ja... Ale zastanawiałam się, co do niego czuję, no wiesz, w głowie i sercu, nie tylko w ciele. I wiesz co? Zależy mi na nim, Mags. Może nawet go kocham. Jeszcze nie wiem, ale mi na nim zależy. Bardzo. W każdym razie teraz.

- Więc dobrze, że postąpiłaś tak, a nie inaczej. Niewiele ludzi doświadcza takich uczuć; niektórzy nie zaznają ich przez całe życie.

- Jim powiedział, że jest we mnie zakochany. -Spojrzała pytająco na Maggie. - Wiem, że to nie to samo, co wyznanie miłości, prawda?

Maggie dramatycznie odstawiła kubek.

- Caroline Evans, masz trzydzieści osiem lat i uprawiałaś seks z facetem, który ci się podoba, z wzajemnością. Nie jesteś nastolatką, nie potrzebujesz moich rad. Nie wiesz jeszcze, że życie toczy się swoim torem, a miłości nie zaplanujesz? Bierz, co ci dają, a przyszłość pokaże co dalej. Jak zawsze.

Usłyszały warkot silnika i rozpoznały hummera.

- Jest Georgki. - Caroline wstała, podeszła do drzwi i zobaczyła, jak parkuje za skrzyniami. - Przywiózł Sarah i Billy'ego! - krzyknęła, gdy dostrzegła ich w stercie bagaży. - No tak, dzisiaj się wprowadzają.

Georgki wysiadł pierwszy, Sarah podała mu synka w nosidełku i sama wysiadła.

- Chyba nie jesteśmy za wcześnie? - zawołała. -Chciałam się wynieść, zanim ten drań właściciel

mnie wyrzuci. Zapłaciłam mu czynsz i w ogóle, ale on chce jak najszybciej wpuścić nowych lokatorów, którzy mu więcej zapłacą. Chociaż dach przecieka -prychnęła. Posadziła Małego Billy'ego na progu. Popatrzył na nich radośnie i podniósł zabawkę do buzi. Ślinił się. - Ząbkuje - wyjaśniła Sarah.

W tej chwili na podjeździe pojawił się kolejny samochód.

Caroline rozpoznała wóz rodziców i poprosiła Maggie, żeby nastawiła kawę. Pomachała i zmrużyła oczy. Czyżby w aucie była też Issy?

- Cześć, mamó. - Issy wygramoliła się z tylnego siedzenia i schyliła do środka po torbę. - Pomyślałam, że przyda ci się pomoc, więc jestem.

W pierwszej chwili Caroline zaniemówiła z wrażenia. Jej córka przyjechała tutaj, do szopy, której nienawidziła, gdzie nie chciała mieszkać, nazywać tego miejsca domem... i zaproponowała pomoc.

Powtarzała sobie, żeby nie robić z tego afery, zachować spokój, udawać, że to najnormalniejsza rzecz pod słońcem, nic takiego...

- Super - skwitowała. - Wszyscy na pokład!

- Ahoj! - zawołała Issy i obie parsknęły śmiechem. - Głuptas z ciebie, mamó, ale uwielbiam te twoje powiedzonka.

- Mam to po dziadku - odparła Caroline i zamknęła córkę w objęciach. Rozkoszowała się dotykiem czystych włosów i młodej skóry, pachnących jak u małego dziecka.

- Zaniosę torbę na górę - mruknęła Issy. - A przy okazji, dziadkowie mogą zostać w moim pokoju, prześpię się na kanapie.

- Ale... - Caroline chciała zaprotestować, ale Cassandra ostrzegawczo uniosła dłoń.

- Bierz, co ci dają, i ciesz się chwilą - poradziła jej. - Nie zawsze tak będzie. Ani się obejrzysz, a będzie normalnie.

- Normalnie?

- Normalnie. Issy będzie się buntować, a ty złościć. To jest normalne.

Na podjeździe pojawił się kolejny wóz dostawczy. Minał zjazd, musiał się cofnąć i Caroline zaczęła się zastanawiać, czy jednak nie zamówiła u Jima za małego szyldu. A potem wjechał na podjazd i zatrzymał się za samochodem rodziców, który stał za hummerem, furgonetką Maggie i dwiema wielkimi drewnianymi skrzyniami.

Jej meble! Krzesła. Stoły. Wyposażenie restauracji!

- Panowie, zapraszam na kawę - powiedziała do dostawców, gdy wyjmowali pakunki z wnętrza samochodu. - Wszyscy idziemy się napić.

Weszła do domu, w którym nagle zaroilo się od ludzi, rozbawionych, zajętych. Wszyscy tu są, pomyślała z uśmiechem. Oprócz Jima.

## *Rozdział 82*

JIM NIE MÓGŁ PRZESTAĆ MYŚLEĆ O CAROLINE; nie mógł zasnąć, był za bardzo spięty, za bardzo podekscytowany, choć podejrzewał, że ona śpi jak dziecko. Nie chodziło tylko o jej piękne ciało i reakcję na jego bliskość, pozbawioną pewnego wyrachowania, które



widział w innych kobietach, świadomie, precyzyjnie mówiących mu, czego chciały i w jaki sposób.

Był już kilka razy zakochany. A dokładnie - dwa. Pierwszy raz, gdy miał osiemnaście lat, jego wybranka siedemnaście. Jego siostra nazywała ich Romeo i Julią całej szkoły; byli wtedy jeszcze w liceum, wydawali się za młodzi, by wiedzieć, czym jest miłość. Ale oczywiście młodzi zawsze wiedzą, czym jest miłość, gdy uczucie spada na nich jak grom z jasnego nieba. Wszystko potoczyło się tak, jak to bywa z większością pierwszych miłości - rozjechali się na różne uniwersytety i odległość zabiła uczucie.

A potem przyszły kolejne doświadczenia, kolejne dziewczyny, które niewiele dla niego znaczyły, póki kilka lat temu nie poznał kobiety swoich marzeń. Poza nimi nic się nie liczyło, świat nie istniał. Już myślał, że to właśnie to, że bez niej nie może żyć, i poprosił ją o rękę, a ona powiedziała: nie. Bez chwili wahania. Tłumaczyła, że go kocha, ale nie chce zakopać się na wsi, bo przecież nie jeździ konno, nie bawi jej ogrodnictwo, nie lubi gotować. Z czasem została sławną aktorką, niemal gwiazdą, i wyszła za kolegę z branży. Nie wiadomo tylko, na jak długo, bo z nią nigdy nic nie wiadomo, pisano w gazetach. Jim się z tym zgadzał.

A teraz Caroline.

Postanowił pójść do niej, zobaczyć, czy już wstała, jak się czuje - i co czuje do niego.

Zbliżał się już do zjazdu do szopy. Na rogu stał szyld, który dla niej wyrzeźbił. Na łąkę wróciły krowy, przeżuwały trawę, a on uśmiechnął się na wspomnienie słów Caroline, gdy nazwała porośniętą trawą

brzeg dziewiczym terenem - w kwestii krowich placków.

Przypomniął sobie, jak zdjął jej okulary i schował do kieszeni... bez nich chyba nic nie widziała, ale to nie miało znaczenia. Liczyły się tylko miękkość trawy, tafla wody lśniąca w świetle księżyca, szum wiatru w koronach drzew. Nie chodzi tylko o wspaniały seks, powtarzał sobie, ale też o uczucia, czułość, namiętność.

Zaparkował za kilkoma innymi samochodami i zobaczył Sam z Issy. Siedziały na schodku, a między nimi, w nosidełku - Mały Billy. Zobaczył także dwie wielkie drewniane skrzynie oraz hummera Georgkiego i przypomniał sobie, że Sarah miała się dzisiaj wprowadzić. Zaraz, zaraz, czy to nie furgonetka Maggie? I wypożyczony samochód rodziców Caroline?

Przez chwilę stał niezdecydowany - w końcu może to nieodpowiedni moment? Ale popatrzył na skrzynie i pomyślał, że pomoc chyba jej się przyda, a oni z Georgkim mogą się wszystkim zająć. A poza tym nie mógł tak po prostu odejść, bo dziewczynki już go zobaczyły i machały radośnie.

- Cześć, dziewczyny! - zawołał do nich i spojrzał na Małego Billy'ego. Malec odprowadzał go wzrokiem.

Wszedł do restauracji.

- Dzień dobry wszystkim - powiedział. Goście trzymali w dłoniach kubki kawy i podziwiali piękne drewniane komódki. Założyłyby się

O każdą sumę, że to chińskie rzemiosło z XIX wieku,  
i to dzieło naprawdę zdolnego stolarza.

- Cudo - ocenił, patrząc na Caroline.
- Jesteś w samą porę. - Uśmiechnęła się do niego tak, że zapomniał o całym świecie. I czuł się z tym wspaniale.

### *Rozdział 83*

TYDZIEŃ PÓZNIEJ MAGGIE ZAPROPONOWAŁA, żeby Caroline zrobiła próbę generalną i zaprosiła przyjaciół oraz znajomych, którzy jej pomagali, na pierwszą kolację w swoim lokalu.

Caroline niespokojnie rozglądała się po restauracji. Pod najdalszą kanapą stanęła wyściełana ława, wzdłuż której zmieściły się cztery stoliki, dwa dwuosobowe, dwa - dla czterech osób. Nad ławą zawisło długie lustro, jak we francuskim bistro, tak że nawet goście siedzący tyłem do sali mogli zobaczyć, co się dzieje za ich plecami.

Pozostałe stoliki, w znacznej mierze czteroosobowe, można było bez trudu zmienić w stoliki dla dwóch, sześciu, a przy odrobinie wysiłku i ścisku, ośmiu osób, bo jak powtarzali jej wszyscy, trzeba się dostosować do klienteli. „Pamiętaj, liczysz zarówno na pary na randce, jak i grupy przyjaciół”, powtarzała Cassandra. Oczywiście, powinna o tym pamiętać, w końcu była w życiu w wielu restauracjach, ale teraz potrzebne jej było każde wsparcie, bo miała tyle na głowie.

Jej wymarzone krzesła obito materiałem w jasnobrązowym odcieniu, który idealnie komponował

się z miodową barwą ścian. Na razie nie było jeszcze obrusów, lampek, kwiatów, świec. Także na tarasie stały tylko stoliki pod nowiutkim zadaszaniem w kolorze kawy. Caroline zrobiło się słabo. Restauracja nagle wydała jej się pusta, i to nie dlatego, że nie było w niej gości. Straciła duszę.

- Nie mogę tu nikogo wpuścić - zwierzyła się Maggie. - Nie jestem gotowa. I nie wiem, czy kiedykolwiek będę. Nie wiem, co się stało, Mags. Owszem, umiem gotować i wiem, co chcę podawać, ale nie mam doświadczenia i bardzo się boję.

- I właśnie dlatego musisz to zrobić. - Maggie posłała jej surowe spojrzenie. - Weź się w garść, Caroline - poleciała stanowczo. - Od tego zależy twoja przyszłość.

No więc się wzięła. Po raz kolejny zakasała rękawy.

- Co mam robić? - zapytała.

- Po pierwsze, musisz zdecydować, kogo chcesz zaprosić, potem wybrać menu, a kiedy będziesz je planować, pamiętaj, dla kogo gotujesz, wiesz, co lubią jeść, i bierz się do roboty. Piątek to dobry dzień, na początku weekendu ludzie zawsze mają ochotę dokądś iść.

- Piątek? Ale to już za trzy dni! O Boże. - Zrobiło jej się słabo na samą myśl.

- Od kiedy jesteś taka religijna? - Maggie podeszła do drzwi i zawołała Sarah, która szła podjazdem z Billym w nosidełku i bukietem polnych kwiatów w ręku. - Wielkie otwarcie! - krzyknęła do niej. - W piątek. Dacie radę?

- O rany! - Sarah szeroko otworzyła oczy i nerwowo przeczesła palcami jasne włosy. - Jasne - odparła niespokojnie. - Oczywiście - dodała, patrząc na Caroline, w której wyczuwała ten sam niepokój. - Damy radę. - Uśmiechnęła się z otuchą.

- Jako przystawki podamy suflety serowe. - Caroline podjęła decyzję i od razu poczuła się lepiej.

- Czy to nie za ambitne? - Teraz to Maggie się przestraszyła.

- Nie, jeśli chodzi o moje suflety - uspokoiła ją Caroline. - Chodź, powiemy mamie i Issy. A potem do roboty.

Oczywiście Mark, jej cichy wspólnik, dowiedział się o terminie otwarcia pierwszy i oczywiście obiecał, że się stawi.

W środę wszystkie produkty były już na miejscu, nie licząc warzyw i jajek, które lokalni dostawcy przywiozą w piątek rano. W czwartek na stołach znalazły się jasnobrązowe obrusy (co tam koszty prania, po prostu uwzględni to w cenach dań, zdecydowała Caroline), na nich ciemnobrązowe podkładki i sztućce, cudownie staroświeckie i do siebie niepasujące - kupiła je na aukcji. Do tego jasnoniebieskie talerze, staroświeckie niebieskie solniczki i pieprzniczki, jasnoniebieska misa, w której będą pływały pojedynczy kwiat i kryształowe świeczniki.

Wystarczyła krótka wizyta elektryka i kinkiety zapłonęły miodowym światłem. Płócienny żagiel kołysał się lekko, ilekroć od strony otwartych drzwi na taras dotarł podmuch wieczornej bryzy. Na tarasie powiesiła lampiony - na drzewach i belkach pod

sufitem. Ułożyła poduchy na murku od strony rzeki i położyła na oparciu każdego krzesła niedrogi szal - na wypadek gdyby wieczorny chłód dawał się gościom we znaki.

A w piątek wieczorem wszystko było jak trzeba: w kuchni w specjalnych pojemnikach koło stanowiska szefa kuchni czekały posiekana cebula, seler naciowy, marchewki. Z piekarni Wrightów dostarczono chleb, w lodówce było dobre masło z wyciśniętym wizerunkiem krowy. Nieco dalej - ząbki czosnku, doniczki świeżych ziół i pudełka suszonych, sól, pieprz, mąka. Koszyczek bratków, tymianek i rozmaryn do dekorowania talerzy.

Caroline miała na uwadze, że gotuje dla miejscowych i dla przyjaciół, i pod tym kątem ułożyła menu: nie było specjalnie odkrywcze, ale musiała powoli się wdrożyć - podobnie jak jej goście. A poza tym proste jedzenie jest zawsze dobre i często sprawia większą przyjemność niż nowatorskie eksperymenty młodych szefów kuchni.

Ugotowała zupę szczawiową, ciemnozieloną. Poda ją z muszlą świętego Jakuba, cudownie świeżą, pachnącą zatoką, w której spoczywała jeszcze tego samego ranka.

W lodówce już czekała masa na suflety serowe, na blasze stały małe foremki, posmarowane masłem i wysypane tartym parmezanem. Za pół godziny napełni je masą i wstawi do pieca. Nieco dalej zieleniła się sałata. Szparagi zanurzy się w oliwie z oliwek, posypie solą, pieprzem oraz starym dobrym parmezanem i na jakieś dziesięć minut wstawi do pieca. Bakłażany już wcześniej pokroiła w plaster-

ki, obsmażyła na maśle, posypała solą i pieprzem, dodała garść koperku i ozdobiła odrobiną śmietany. Groszek, niedawno zerwany, czekał na krótką kąpiel w minimalnej ilości lekko osłodzonej wody. Sałatka z kuskusu, szpinaku i cytryny pachniała tak smakowicie, że niejedna osoba ukradkiem zjadała odrobinę, przechodząc obok. Dziki ryż z pomidorami powoli dusił się na małym ogniu, a w garnku z bardzo szczelną pokrywką drobniutkie młode ziemniaki dusiły się na łyżce masła.

Ciasto czekoladowe, dzieło Cassandry, ozdobiono czekoladową polewą. Caroline upiekła tartę z gruszkami - nauczyła się tego jeszcze w szkole gastronomicznej i dzięki tej tarcie zasłynęła w Singapurze.

Danie główne to krewetki królewskie, obtoczone w mące, usmażone z czosnkiem, szalotką i białym winem, oraz pieczeń Chateaubriand, natarta oliwą, solą, pieprzem, obsmażona krótko, pieczona przez zaledwie dwadzieścia minut. Później mięso pokroi się w plastry i poda ze specjalnym sosem Caroline, z odrobiną szampana, bo właśnie to piła w chwili, gdy go przyrządzała. I coś naprawdę egzotycznego, prawdziwe wyzwanie dla jej gości, ręcznie robiony makaron ryżowy, podany z drobnymi krewetkami i kurczakiem na ostro, z przyprawą, którą Mark zdobył dla niej na singapurskim bazarze.

Na ten wieczór zatrudniła dwie kelnerki z pobliskiej kawiarenki. Właśnie zakładały brązowe fartuszki. Issy i Sam kręciły się niespokojnie, sprawdzały po raz setny, czy wszystkie sztucce leżą na

swoim miejscu. Miały sprzątać ze stołów. Wystąpiły w rudych koszulkach, czarnych dżinsach i adidasach, żeby się nie pośliznąć.

Cassandra pełniła funkcję hostessy, w czarnej sukni z głębokim dekoltem. Według Caroline zachwyci wszystkich mężczyzn. Cassandra uśmiechnęła się radośnie, słysząc te słowa. Oczywiście miała też buty na niewysokim obcasiku.

Henry w czarnych sztruksach i białej koszuli miał zająć się winem. Georgki, w granatowym garniturze w prążki, czekał na zewnątrz, miał kierować ruchem, a Jim, w dżinsach i niebieskiej koszuli, na ten wieczór wcielił się w rolę parkingowego.

- Jak myślisz, dostanę jakiś napiwek? - zażartował do Cassandry.

- Jeśli tak, wszystko trafia do wspólnej puli, a potem dzielimy sprawiedliwie - odparła poważnie. Widziała, że Jim nie może się doczekać chwili sam na sam z Caroline, która teraz, gdy do godziny zero zostało już tylko kilka minut, pobiegła na górę z Sarah; miały się przebrać w nowe kuchenne stroje.

- Okropne te spodnie - burknęła Caroline, patrząc na swoje odbicie. Biało-czarne spodnie w paskudny wzór ze sztucznego włókna smętnie zwisały jej z bioder.

- Grubo w nich wyglądam - przyznała Sarah.

Oczywiście Sarah nigdy i w niczym nie wyglądała grubo, jednak obie zdecydowały, że spodnie są fatalne i muszą włożyć coś innego - najlepiej legginsy. Caroline pożyczyła Sarah czarne legginsy, a potem dumnie włożyły nowiutkie białe kucharskie bluzy z dwoma rzędami guzików.



- Dwa górne rozpięte, jak Gordon Ramsay -pouczyła Caroline, z dumą wpatrując się w napis: „Caroline Evans, szefowa kuchni”, wyhaftowany niebieską nicią. A więc to prawda. Nic już tego nie zatrzyma.

Sarah musnęła palcem swoje imię i funkcję: „kucharka”.

- Jakim cudem tu trafiłam? - mruknęła ze zdumieniem.

- Nie wiem, wiem tylko, że musimy sprostać temu zadaniu - odparła Caroline. Obie włożyły białe chodaki i poszły do kuchni.

Caroline zatrzymała się przy drzwiach. Spojrzała na restaurację. Jej marzenie. Na stolikach paliły się świeczki, kinkiety spowijały kamienne ściany ciepłym blaskiem, na tarasie mrok rozjaśniały kule mlecznego światła. Stary kamień, beżowe płótno, niebieskie talerze, lśniące sztucce, rzeka tuż obok, lekki wiaterek... zapach jedzenia z kuchni, odgłos otwieranego szampana, a potem - zgrzyt żwiru pod kołami, gdy zjawił się pierwszy samochód. I stary szyld nad drzwiami: „Bar, grill i tańce”.

To się dzieje naprawdę. Nie może tego zatrzymać. Zaczyna wszystko od nowa. I jest na to gotowa.

## *MOJE MIEJSCE NA ZIEMI*

### *WIELKIE OTWARCIE*

#### *MENU*

*Suflet serowy lub*

*Zupa szczawiowa z muszlą świętego Jakuba lub*

*Salatka firmowa Caroline*

*Piazza Navona - krewetki królewskie w białym winie, podane z dzikim ryżem i szparagami z pieca lub*

*Pieczeń Chateaubriand z sosem szampańskim, podana z młodymi kartofelkami, szpinakiem, kuskusem i groszkiem lub*

*Krewetki królewskie po singapursku, podane z kurczakiem na ostro, makaronem ryżowym i bakłażanem w śmietanie*

*Ciasto czekoladowe Cassandry lub*

*Gruszkowa tarta Caroline z posypką migdałową i śmietanką*

*Kawa, brandy i ciasteczka*

*Wina: Rosé Champagne Chardonnay z Bordeaux (dla odmiany!) Cabernet z Napa Valley, USA Wino deserowe Monbazillac*

*Szefowa kuchni Caroline Evans i kucharka Sarah życzą smacznego*